

SHULAMIT LAPID

GAZETA LOKALNA

(Przełożyła: Magdalena Sommer)

NOIR SUR BLANC
2000

Rozdział 1

Nikt nie miał pojęcia, kiedy Lizzi Badihi zjawiała się na przyjęciu u Hornshtyków ani z kim. Nikogo to zbytnio nie obchodziło. Lizzi z reguły nie wzbudzała większego zainteresowania, gdziekolwiek się pojawiała. Nie dlatego, że nie rzucała się w oczy - ze swoimi wielkimi stopami, przywodzącymi na myśl focze płetwy, ze spłaszczonymi piersiami, które przypominały o przyciąganiu ziemskim tym, którzy przypadkiem o nim zapomnieli, no i z tym szczególnym sposobem mówienia... Lizzi miała zwyczaj łączyć słowa niby ogniwa zardzewiałego łańcucha, przeplatając je nieustannymi „mój drogi” i „co?”. W redakcji nazywano ją „Lizzi Słowik”, o czym dobrze wiedziała. Mówiła też, że ma to w nosie, dopóki dają jej spokojnie pracować i nie wtrącają się do tego, co pisze. Była „naszym korespondentem” gazety „Czas Południa”, autorką praktycznie wszystkich tekstów. Wychodziła w środku nocy, jeśli okoliczności tego wymagały; zwilżała przedtem włosy, żeby się rozbudzić, malowała usta, wkładała parę olbrzymich słuchawek na uszy, a pager za pasek, i wlokła się ciężko po pustym chodniku, modląc się w duchu, żeby samochód zapalił, klient był w przewidzianym miejscu i żeby informacja przedostała się do prasy krajowej - za to dostawała premię.

Wiedziała dobrze, tak jak wszyscy w Beer Szewie, że ona i dziennik lokalny to jedno. Dzięki temu nie musiała się uciekać do podstępów ani przesadnie dbać o dobre manieri. Jeśli trzeba było, powiedzmy, przeprowadzić wywiad z matką denata lub z narzeczoną znanego piosenkarza, który zgwałcił prostytutkę i wybił jej cztery zęby, lub też dla odmiany z bohaterskim żołnierzem, dumą osiedla 4, wielkstopa Lizzi była zawsze na miejscu. Nie wątpiła, że Dahan, szef działu lokalnego gazety, zadzwoni do Tel Awiwu i oświadczy: „Lizzi Słowik jedzie do tego ćpuna, któremu wybili oko”, i niczym się nie przejmowała, bo była pewna, że nie omieszka dodać: „...i ona już wyciągnie z niego całą historię”.

Nie była specjalnie z siebie dumna, ale nie była też przesadnie skromna. Wiedziała, że jest profesjonalistką w swoim zawodzie, i sprawiało jej to przyjemność. Gdyby tak jak matka ciągnęła nią w przedziałni albo robiła zastrzyki w szpitalu „Soroka” jak siostry, Georgette i Hawacelet. wtedy również byłaby profesjonalistką i te zajęcia dawałyby jej satysfakcję. Tymczasem jednak, na dwa miesiące przed trzydziestymi urodzinami, była redaktorem gazety lokalnej z Południa - big deal - i tylko to robiło wrażenie na jej matce, Georgette i Hawacelet.

Od czasu do czasu siostry przychodziły i zasypywały ją pochwałami. Wtedy wiedziała, że na koniec poproszą o pożyczkę, na którą zawsze się zgadzała. Dając pieniądze, myślała, że następnym razem oszczędzi już im i sobie tych wszystkich pochlebstw. Ale kiedy nadchodził ten następny raz, znowu pozwalała siostronom opowiadać, jaka to jest zdolna i ważna, jakie są dumne, że ktoś taki jak ona należy do rodziny Badihi. która dotychczas nie mogła się poszczycić przed światem żadnym istotnym osiągnięciem. Pozwalała im w ten sposób odczuć, że ją przekonały - była to jedna drobna przyjemność przy całym upokorzeniu związanym z pożyczką. Miały dzieci, które musiały ubrać, nakarmić i posłać do szkoły, a to było ważniejsze od dumy.

Pracę w redakcji zaczęła jako sekretarka Dahana, który był wówczas odpowiedzialny za dział ogłoszeń. Wyreżano się nią, gdy nie miał kto pójść do magistratu i spytać, czemu zamknięto dopływ wody na osiedlu 4 albo kiedy skończą budować jezdnię na osiedlu 3. Szybko się nauczyła, że każda informacja ma swoją cenę. Tyle a tyle linijek szantażu lub przekupstwa. Ludzie przywykli powoli do tej dużej dziewczyny, ciągnącej płaskie stopy po chodniku, z ciężkimi, zmęczonymi powiekami, o oczach, których nic nie mogło zdziwić ani ożywić. Gdyby spytać kogoś w Beer Szewie, czy Lizzi żuje gumę, na sto procent odpowiedziałby: „Pewno, że żuje”. A przecież nigdy tego nie robiła. Tak została wychowana. Biedna dziewczyna może w życiu liczyć tylko na swoje dobre maniery. Teraz nie była już taka biedna, ale gumy nadal nie żuła. Wiedziała jednak, że wygląda jak krowa przeżuwiająca pokarm.

Nigdy nie rozmawiała o tym, że jest dziewczicą. O takich rzeczach się nie mówi. Jednak po prostu jej to ciążyło i już dawno temu postanowiła skorzystać z pierwszej okazji. Z biegiem lat ta pierwsza okazja zdawała się oddalać coraz bardziej i Lizzi znalazła się w sytuacji, gdy nie mogła już pójść do łóżka z kimkolwiek. Cóż bowiem powie temu „komukolwiek”, gdy ten odkryje, że jest pierwszy? Jeszcze gotów pomyśleć, że to na niego czekała wszystkie te lata, a jak tu wyperswadować coś takiego, żeby nikogo nie zranić ani nie obrazić. Gdyby, załóżmy, miała siedemnaście lat, wyszłaby tylko na idiotkę i została szybko zapomniana. W wieku prawie trzydziestu lat to jak pójść pierwszy raz w życiu do opery. I wytłumaczcie teraz, że to nie miłość od pierwszego wejrzenia! Obserwowała często Dahana, któremu zdarzało się znikać w Country Clubie albo w hotelu naprzeciwko kasy chorych z kolejną właścicielką modnego butików albo napaloną licealistką. „Gdyby mnie ktoś szukał, będę po południu” - mówił. Zjawiał się potem ze zmęczonymi oczami, wnosząc do redakcji zapach miłosnej przygody.

Lizzi i Dahan odnosili się do siebie z wzajemnym szacunkiem. Niegdyś pracowali razem w małym biurze na tyłach supermarketu. Idąc tam, musieli wymijać skrzynki z kapustą i furgonetki z chlebem. Razem też przeprowadzili się do labiryntu nowiutkich pokoi usytuowanych nad drukarnią. Doceniał to, że nigdy jeszcze nie uznała jakiegoś zadania za niemożliwe, szła na każdą konferencję prasową, sprawdzała każdy okrucieństwo informacji, który do niej dotarł. Bardziej jeszcze cenił fakt, że nigdy nie odkryła przed jego żoną ani nikim innym tych drobnych przygód, na jakie sobie od czasu do czasu pozwalał.

Ona podziwiała jego ambicję, jego niezmordowaną pogoń za pieniędzmi i sukcesem, a także za kobietami, z pełną świadomością, że znalazła się w pobliżu bomby, której odłamki mogą i jej dosięgnąć. To on zdecydował, że Lizzi ma zrobić prawo jazdy i kiedy powinna się wyprowadzić od matki. Pomógł jej nawet zdobyć kredyt. To on w końcu przekonał właścicieli gazety, że ta oto Lizzi, przez wszystkich uważana za głupią krowę, jest cennym nabytkiem w redakcji i warto by jej przyznać samochód.

Co prawda niecodziennie się zdarza, że mieszkaniec Beer Szewy zostaje podniesiony do godności sędziego okręgowego, jednak z punktu widzenia miejscowej gazety przyjęcie u Hornszyków nie przedstawiało większej wartości. Zasługiwało co najwyżej na kilka linijek w kolumnie towarzyskiej. Dahanowi jednak udało się ostatnio zdobyć reklamy od firmy „Israha - Instrumenty Muzyczne” i polecił Lizzi, aby była miła i poszła do domu sędziego Hornszyka, następnie przemyciła w tekście zdanko o pianinie Jackiem Danzigu, a przy tej wyjątkowej okazji również o fortepianie, na którym zagra w czasie wieczoru. Dahan dobrze wiedział, że o czwartej rano Lizzi musi być na przejściu granicznym. Nie pytała, co dostał Jackie Danzig w zamian za wprowadzenie jej na przyjęcie. Była pewna, że zrekompensowano mu to w jakiś sposób. Nie spotkała się jeszcze z sytuacją, która nie miała swojej ceny.

Dom stał na wzgórzu w kępie drzew. Srebrzyste tamariszki w ogrodzie świadczyły, że właściciele są doświadczonymi gospodarzami. Pnącza bugenwilli pokrywały ścianę frontową, tworzącą szachownicę z szarych i różowych kamieni. Dwie splecione ze sobą ścieżki zakręcały pod drzwiami wejściowymi, znikając następnie gdzieś za domem.

Jackie i Lizzi zatrzymali się na chwilę w wejściu, ściskając dłoń Hornszyka, po czym ruszyli dalej po śliskim czarnym marmurze posadzki. Powoli przyzwyczajali wzrok do oślepiającego blasku ogromnych kandelabrow. Jackie odwrócił się od swej towarzyszki i pospieszył w stronę białego fortepianu, który ustawiono pod jedną ze ścian. „A idź w cholere!” - powiedziała Lizzi do jego pleców w czarnej jedwabnej koszuli i wyszła do ogrodu. „Można by pomyśleć, że jestem

trędowata” - mruzczała, stając w pobliżu baru i obserwując, co się dzieje w wielkim salonie. Jackie Danzig grał na białym fortepianie firmy „Israha”. Światło kandelabrow połykiwało na jego różowej muszce. Romantyczna melodia wywoływała uśmiech na twarzach gości i porywała ich do tańca. Lizzi przypomniała sobie nagle, że podobno jest on kochankiem jakiejś sławnej kobiety, lecz nie pamiętała której. Urodził się w bloku na osiedlu 3, tak jak Lizzi. Byli mniej więcej w tym samym wieku. Słodkiej i rytmicznej melodii, która spływała spod palców Jackiego, przeczył otepiały wyraz jego twarzy. A może nie? Gracze miejscowej ligi, którzy przyjechali na gościnne występy - oto, kim byli. Coś poruszyło się w jej pamięci, mającąc niewyraźnie na samym skraju. Za chwilę iskierka zabyłśnie. Pozwoliła sobie błędzić wzrokiem od salonu do ogrodu i z powrotem do drzwi wejściowych.

Kilkanaście osób tańczyło na niewielkim tarasie. W ogrodzie tłoczyło się już około dziesięciu par. Niektóre przysiadły przy okrągłych stolikach pod girlandami kolorowych lampionów, inne poruszały się w plamach światła i cienia. Rozpoznała kilkoro gości. Ją też paru rozpoznało i zdziwiło się, co tu robi. Nie należała ani do tego miejsca, ani do tego czasu. Sędzia Hornszyk raczej nie pasuje do Lizzi Słowik, księżniczki miejscowego brukowca. Wszyscy wiedzieli, że gdyby tylko chciał, mógłby teraz siedzieć w Jerozolimie albo Tel Awiwie. Jeżeli jego kariera posuwała się zbyt wolno, to dlatego, że zdecydował się - tak, tak - zdecydował się zamieszkać właśnie tutaj. Nie cierpiał specjalnie z powodu wyroku, który sam na siebie wydał. Był miejscowym intelektualistą, sędzią Południa i sumieniem Negewu. Od czasów Ben Guriona nie było człowieka, który nadałby tak wielkie znaczenie pustyni, jak Pinchas Hornszyk, sędzia. Stał teraz na progu swojej willi, trzymając w lewym ręku pęk sztucznych ogni. Prawą ręką wyciągał po jednym i wręczał każdemu z gości. „Przyjęcie odbywa się w ogrodzie” - mówił do nich z bladym uśmiechem, który drżał mu na wargach jak nieszczelna żaluzja. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby pragnął oszczędzić gościom najmniejszej zwłoki. Dlaczego jego przyjaciele, rodzina - zdumiała się Lizzi - nie zmusili go, by opuścił ten groteskowy posterunek przy drzwiach i wszedł do środka?

A może właśnie z tej odmienności czerpie siłę? I jaka to może być siła? Czyniąca dobro czy zło? A może po prostu siła, dzięki której potrafi zignorować niewygodne towarzyskie konwenanse.

- Śmierdzi forszą - stwierdziła stojąca obok kobieta, bezwładnie oparta o bar.

Lizzi wrzuciła do ust garść słonych orzeszków i zaczęła żuć. Jej oczy pod ciężkimi powiekami rozglądały się wśród tłumu gości. Pnie drzew pomalowano złotą farbą, łańcuchy ze złotego papieru kołysały się pomiędzy gałęziami.

- Ona ma gdzieś Hor-Hornszyka i te jego fa-fajerwerki - roześmiała się pijana kobieta.

Lizzi wymamrotała coś w odpowiedzi i westchnęła w duchu: Jakie to obrzydliwe, jakie to wszystko obrzydliwe.

- Kto finansuje tę uroczystość? - zapytała swoją sąsiadkę przy barze i dodała czym prędzej: - Nazywam się Lizzi Badihi, jestem reporterką „Czasu Południa”.

Miała wystarczająco duże doświadczenie, aby się przedstawić, zanim uzyska jakąś informację. Żeby nie mówiono potem, że oszukała rozmówców albo że nie wiedzieli, z kim rozmawiają.

Popatrzyła na swoją drobną sąsiadkę i zastanawiała się, co jest jej namiętnością. Miłość? Pieniądze? Sława?

- Kt-t-to fi-finansuje? Fiu! Wina Lubicza, oto, kto f-finansu-je! Tata żony sędziego okręgowego Hor-Hornszyka. Znasz sklep z winami koło dworca autobusowego? Pamiętasz, jak sprowadzili z Jugosławii wino z ołowiem? Byłaś wtedy mała. Tata! Teść Hornszyka. Właśnie on. To on zadbał, żeby jego zięć mógł się poświęcić dobru publicznemu. Popatrz na te obrazy, na lampiony. To nie z pensji sędziego! Lubisz kawior? Ja go jem, bo jest drogi. Gdyby był tani, tobym go nie jadła, rozumiesz? Weź!

Lizzi zauważyła, że małej kobiecie przestał się płatać język. Obrzydliwa donosicielka - stwierdziła w duchu i wzięła kanapkę z kawiosem i kaparami.

- A Lubicz jest tutaj? - spytała. - Znasz go?

- No pewno, że go znam - zaśmiała się kobieta. - W końcu to mój tata, nie?

Lizzi miała na końcu języka pytanie, czy kobieta jest siostrą gospodyni. Zamiast tego jednak zaczęła żuć kanapkę i wymruczała coś niezrozumiałego, jak zwykle, gdy chciała trochę zyskać na czasie.

Aleks, małżonka bohatera wieczoru, krzątała się po ogrodzie. Miała na sobie suknię z głębokim dekoltem, haftowaną delikatnymi złotymi cekinami, które poruszały się i drżały przy

każdym jej oddechu. Piersi wyglądały jak przykryte sieciami rybackimi. Eksponowała swój biust wśród gości, przymykając pomalowane na złoto powieki. Czego ona chce dowieść - myślała Lizzi - co chce osiągnąć, kogo rozgniewać? I ta historia z zatrutym winem, czy to prawda? Jak to możliwe, że nie dostała się do gazet? Oczyma duszy ujrzała nagłówek: „Teść nowego sędziego okręgowego importował z Jugosławii zatrute wino”. Za to na pewno dostanie premię. I znowu przyjdą jej siostry, niech im będzie na zdrowie, zarzucają opowieściami o biedzie i wyciągną tę odrobinę, którą zdoła zaoszczędzić.

- Skąd to imię, Aleks? - zapytała pijaną kobietkę.

- Aleksandra. Na cześć Aleksandry Hasmonejskiej. - Pociągnęła łyk whisky ze szklanki, którą trzymała w ręku, i popatrzyła na kraniec ogrodu.

Lizzi podążyła za jej spojrzeniem i zobaczyła coś, co bez wątplenia było stołem rodzinnym. Siedzieli przy nim rodzice Aleks - Lubicz, właściciel firmy handlującej winami, z żoną, chłopiec i dziewczynka - dzieci Hornszyków, oraz mężczyzna, który patrzył w ich stronę z troską, najprawdopodobniej mąż jej wstawionej rozmówczynie. Wszyscy oni zajadali ze smakiem i przyglądali się wzrokiem posiadaczy gościom wypełniającym ogród.

Lizzi postanowiła opuścić wrogo nastawioną siostrę gospodyni, pożegnać się z Jackiem i iść do domu. Była, widziała, ma swoje dwieście znaków, więcej nie potrzebuje. Za pół godziny znajdzie się w domu, napisze notatkę i jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy, pójdzie spać jeszcze przed północą. System ogrzewania wody w jej bloku często się psuł. Powiedziała sobie po raz nie wiadomo który, że stać ją teraz na własny grzejnik. Jutro - tak, jutro - od razu po powrocie z przejścia granicznego, jeszcze zanim napisze choć jedno słowo, pójdzie i wszystko załatwi. Nie ma dzieci. Nawet urlop wzięła tylko raz, kiedy chciała pojechać do Akki na festiwal. Pracująca dziewczyna może mieć chociaż ciepłą wodę w łazience i nie czuć się z tego powodu winna.

Ruszyła w stronę Jackiego, torując sobie drogę między ludźmi wypełniającymi salon. Dopiero gdy znalazła się obok fortepianu, poczuła, że Aleks idzie w ślad za nią.

- O północy puszczamy ogień sztuczne - powiedziała gospodyni. - Miałś co pić i jeść? Chyba jeszcze nie idziesz? - Mówiąc to, oddychała chrapliwie, żonglowała słowami jak klaun wyrzucający piłeczki w powietrze. Jej sterczące piersi drażniły nerwy obserwatora nie mniej niż falujące cekiny na sukni.

Lizzi podziękowała pani Hornszyk („Ależ nie, nie! Mów mi Aleks!”) i poprosiła o wybaczenie, że musi już iść. Przez cały ten czas Jackie nie przestawał grać, z oczami utkwionymi w klawisze. Aleks położyła mu rękę na ramieniu. Krążyły plotki, że pewna pani inżynier się w nim zakochała i kupiła mu mieszkanie na osiedlu F. Aleks była od niego starsza o kilkanaście lat. Lizzi zastanawiała się, czy Jackie ma jeszcze inne starsze przyjaciółki, i obiecała sobie zwrócić uwagę na towarzystwo, w którym się obraca.

- Czy mam poprosić twego męża, żeby wszedł do środka? - spytała.

- Jest już dorosły. Jak zechce, to wejdzie - odpowiedziała Aleks.

Lizzi w duchu przyznała jej rację. Jeśli sędzia postanowił cały wieczór na swoją cześć spędzić stojąc w wejściu z głupimi fajerwerkami, to niech mu będzie. I co to w ogóle mnie obchodzi.

- Czy pańska żona jest inżynierem? - zapytała Hornszyka przy pożegnaniu.

- Tak.

Wyraz jego twarzy pozostał nie zmieniony, jednak Lizzi nie wątpiła, że wiedział, dlaczego zadała to pytanie. Zastanawiała się, czemu jego żona pozostawała z nim przez te wszystkie lata. Była ładna, przebojowa, miała dobry zawód i opływała w pieniądze Lubiczów. Co ją z nim wiąże? Pozycja społeczna? Dzieci? Spryt? Przyzwyczajenie?

Żółtawe włosy, miejscami siwiejące, nadawały mu nieporządnny wygląd. Jego skóra przypominała pognieciony papier gazetowy, pokryty miejscami starymi plamami z herbaty. Nie próbował wyrzucić wrażenia ani na niej, ani na pozostałych gościach. I chociaż trwało przyjęcie na jego cześć, wolał stać w wejściu, z wiązką ogni sztucznych w zaciśniętej ręce. W pewnym sensie był nie mniej denerwujący od swojej obwieszanej złotem żony.

- Piłaś coś, jadłaś?

- Dlaczego pan tu stoi? Nie wejdzie pan do środka?

- Masz rację. Wejdzmy.

- Właśnie idę do domu.

- Bez Jackiego Danziga?

- Miałam ciężki dzień, a jutro muszę wcześniej wstać.

- Obejrzałaś dom? A widziałaś basen?

Ujął ją za łokieć i Lizzi pozwoliła się poprowadzić korytarzykiem obok wejścia, licząc na swoje dziesięcioletnie doświadczenie reportera, na swoją intuicję, ten szczególny zmysł, który mówił jej teraz: „Zamknij się, moja droga, i rusz te swoje płaskie stopy, może będzie z tego czterysta słów na ostatnią stronę”. Minęli garderobę i pokój telewizyjny, dwa pokoje gościnne, pokój syna, ucznia liceum, i córki, uczeni gimnazjum, i doszli do zejścia do basenu. Był tam składany stół do ping-ponga, zwinięty wąż gumowy i kilka par kłapek różnych rozmiarów. Po lewej stronie drzwi prowadziły do pokoju służącej, imigrantki z Filipin, która teraz kręciła się na górze wśród gości, z białym fartuchem w kształcie serca zawiązanym wokół bioder.

Zamknął za nimi drzwi i oparł się o nie plecami. Lizzi zobaczyła kropelki potu na jego czole i zrozumiała, że postanowił zrobić sobie prezent. Po pierwszym szoku stała tam i widziała siebie tak, jak on ją widział - wielka krowa w tanich kolczykach, przyjaciółka pianisty, który pieprzył jej żonę, teraz mu się odwdzięczył. Zawahała się, czy krzyknąć. Melodia, którą grał Jackie, miękka i przytłumiona, jak kołdra otulała sklepienie nad ich głowami. Lizzi wiedziała, że jeśli nawet krzyknie, jej głos nie dotrze do ogrodu, a jeśli powie: „Panie sędzio, jestem dziewczyną”, Hornszyk umrze ze śmiechu. Patrzyli na siebie, dwoje zmęczonych i pokonanych ludzi, którzy widzieli za dużo, aby zachować tę odrobinę niewinności, na jaką zasługuje w życiu każdy człowiek.

Na oparciu starego fotela wisiały dzinsy, brązowy pasek z klamrą ozdobioną wizerunkiem smoka był wciśnięty między oparcie a siedzenie. Na stole leżało opakowanie aspiryny, a w zakurzonej popielniczce błyszczały kolczyki z perłami. Lizzi zastanawiała się, co boli małą Filipinkę i czy czuje się tu samotna, tak daleko od swojego kraju, i pomyślała, że to też jest warte opisanie.

Sędzia poruszył się nieznacznie, poszukał klucza i kiedy go znalazł, zamknął drzwi. Nie spuszczał z niej wzroku, uważny i świadomy każdej jej reakcji. W powietrzu unosił się zapach kurzu, zamkniętego pomieszczenia i obcych przypraw. Narzuta na łóżku była nieświeża i Lizzi poczuła mdłości.

Nie знаła go, ale wiedziała, że jest zły. Zły na kochanków swojej żony, o których wszyscy wiedzą, nawet Lizette Badihi z miejscowego szmatławca. I na niej teraz wyładowuje swoją złość.

Ból był mocny, przeszywający jej wielkie i ciężkie ciało. Nawet tę odrobinę dostałam tak jak inne kobiety rachunek w supermarkecie - pomyślała. Jej nogi były mokre i oczekiwała, że Hornszyk się odwróci, aby mogła je wytrzeć prześcieradłem Filipinki, ale leżał przyciśnięty do niej, z ręką na oczach. Dźwięki dobywające się z jego gardła nie były takie, jakich się spodziewała, to znaczy: nie takie jak na filmach. Poduszka wydzielala zapach pleśni i Lizzi odnotowała w duchu, że on na pewno sypia też z Filipinką, bo wszedł tu jak do siebie. Także Hor-Hornszyk ma swoje małe sekrety, nie tylko jego żona.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał.

Boi się - pomyślała zdumiona - boi się mnie. „Sędzia okręgowy zgwałcił dziennikarkę”. Tak, mogła mu zaszkodzić. Dostałaby nawet premię. Poczuła się dobra i silna. Zsunęła go ze swoich piersi, odgarnęła dłoń, którą zasłaniał sobie oczy, i popatrzyła na jasne brwi, pomarszczone powieki, rudawe piegi na ramionach i plamy pigmentowe, notując w pamięci każdy szczegół twarzy mężczyzny, który w końcu uwolnił ją od dziewictwa. Uśmiechnęła się do niego, pogładziła go po rzadkich, wilgotnych włosach.

- Musisz wrócić do gości - szepnęła.

- A co z tobą?

- Poradzę sobie.

Spojrzał na nią i wiedziała, że dopiero teraz naprawdę jej się przygląda. Żaden mężczyzna dotychczas tak na nią nie patrzył. Pozwoliła mu badać wzrokiem świeżą skórę, brązowe, nieco skośne oczy, krótkie czarne włosy, skręcone jak wełna barana, i olbrzymie plastikowe kolczyki, które nadal tkwiły w uszach i stanowiły jej znak firmowy.

Czuła się ładna. Wiedziała, że ma skórę o świetlistym odcieniu i że teraz, kiedy tak leżała, nawet jej płaskie piersi wyglądają na pełne i dojrzałe, przyciągają uwagę.

- Następnym razem nie będzie bolało - zapewnił.

- Wiem.

- Gdzie mieszkasz?

- Nie dzwoń do mnie, mój drogi. Przecież jesteś sędzią okręgowym.

Nagle się roześmiali i Lizzi spostrzegła, że teraz, kiedy zaczęła rozumieć, że nie będzie miał kłopotów, odpreża się i uspokaja.

- Co robi twój szwagier? - zapytała.

- Pracuje u teścia. Handel winami.

- Nie lubi swojej pracy?

- Nie.

- Twoja szwagierka cię nie lubi.

- Zazdrości siostrze. Lubiczowie zdecydowali postawić na mojego konia.

- Może dlatego, że twój koń lubi biegać.

Spojrzał na nią zdziwiony, a potem nachylił się i pogładził kciukiem miękkie zakole między ramieniem i piersią, podniósł koleczek i przesunął wargami wzdłuż nasady szyi, pomiędzy uchem a włosami. Usłyszała jego krótki oddech i wyczuła powracające pożądanie. Znad sufitu dochodziły taneczne dźwięki tanga Jalousie, a Lizzi zastanawiała się, czy jest jeszcze inne wyjście z domu, od strony basenu.

- Lizzi, super z ciebie dziewczyna.

- Pan też jest w porządku, panie sędzio.

Kiedy przyjechała do domu, odkręciła kurek z gorącą wodą i usiadła, żeby napisać dwieście słów na temat przyjęcia na cześć Pinchasa Hornshtyka, nowego sędziego okręgowego.

Pamiętała, żeby umieścić nazwisko Jackiego Danziga oraz wspomnieć o fortepianie firmy „Israha”, bez którego mistrz nigdzie się nie rusza. Nagłówek głosił: MIEJSCOWY BOHATER.

Rozdział 2

Była trzecia po południu i deszcz zaczął w wielkie okna. Lizzi siedziała w redakcji i wystukiwała tekst o przejściu granicznym w Erezie. Miałaby z tego dobrą historyjkę, gdyby po przyjeździe do Erezu nie zastała tam już reportera i fotografa z państwowej agencji prasowej oraz - co było o wiele gorsze - Beniego Adulama, reportera „Dziennika Południa”. Wiedziała, że ją ubiegli, ale nie miała wyjścia. Gdyby wiadomość pojawiła się tylko w konkurencyjnej gazecie, jej naczelny, Arieli, zrealizowałby swoją groźbę i wysłał do Beer Szewy Dorona Cementa, który odtąd nosiłby tytuł „naszego korespondenta z Południa”.

Po wizycie na przejściu granicznym grupka dziennikarzy zebrała się w siedzibie posterunku policji na placu Medyńskim, gdzie spotkała się z szefem miejscowej rady Strefy Gazy oraz z komendantem policji okręgu.

Kiedy do pokoju wprowadzono aresztowanego działacza dżihadu, Lizzi usłyszała prośbę o pomoc, która wydobywała się z krótkofalówki jednego z policjantów. Jakaś kobieta rodziła właśnie na polu w czasie burzy z piorunami. Lizzi poprosiła, żeby pozwolono jej wsiąść do radiowozu, który miał zawieźć kobietę do szpitala. Zauważyła wahanie na twarzy Beniego Adulama. Co wybrać? Działacza dżihadu czy rodzącą na polu? Dżihad przeważył i Lizzi wsiadła do radiowozu sama, z nadzieją wyciągnięcia jakichś informacji od dwójki policjantów.

Na polu znaleźli troje wystraszonych dzieci i skręcającą się z bólu kobietę, a nad nimi polatywał i krakał wielki czarny ptak. Okazało się, że kruk imieniem Isa chował się w tej rodzinie od pisknięcia. Kiedy zaczęła się burza i jego pani upadła na ziemię, poleciał do domu, krzyczał i bił skrzydłami, dopóki ludzie nie zwrócili na niego uwagi i nie pobiegli na pole. Lizzi poczekała w szpitalu ze wzruszonym ojcem i trojgiem dzieci, aż obwieszczono im: „Syn!” Siedząc na ławce w poczekalni, zdążyła wymyślić tytuł. Zobaczymy, co na to powiesz. Beni Adulam - pomyślała z satysfakcją.

Adulam był studentem orientalistyki i historii, zarabiał na utrzymanie jako reporter „Dziennika Południa”. Lizzi miała nadzieję, że studia pochłaniają znaczną część jego czasu, ale w głębi serca wiedziała, że zaraził się już pracą reportera. Beer Szewa stała się dla niego za mała, zaczął zerkać w kierunku „Dziennika” krajowego i nie wahał się rezygnować z wykładów o Sulejmanie Wspaniałym czy też Tamerlanie na rzecz świeższych informacji. Dokładnie tak, jak zwykła czynić Lizzi, kiedy studiowała na tym samym wydziale i zaczynała karierę dziennikarki w „Czasie

Południa”. Dopóki nie pojawił się na scenie, mniej więcej przed rokiem, nie miała konkurentów. „Dziennik Południa” był popularną miejscową gazetą handlową. Dostarczał czytelnikom informacji o kompletach wycieczkowych, które podbiły Włochy i nareszcie pojawiły się w naszym mieście, o oszczędzających wodę nawadniaczach, które świetnie się spisują w ogrodach Newi. i o ostatnim krzyku mody w dziedzinie pieluch. Beni Adulam był odpowiedzią „Dziennika Południa” na Lizzi Badihi i odkąd zaczął pracować, szedł w jej ślady natychmiast i bez wahania. Wszędzie tam, gdzie znalazła się Lizzi, docierał też Adulam, potwierdzając fakt, że w Beer Szewie jest dwoje reporterów: Lizzi Badihi o ustalonej sławie i on, młody talent. Nigdy nie powiedział tego głośno i była pewna, że nigdy by się na to nie odważył, ale dawał do zrozumienia, że ona to już przeszłość, on zaś stanowi przyszłość. Najbardziej denerwujące było to, że zmuszał ją do nieustającego wysiłku i nie dawał ani chwili wytchnienia. Bywały miejsca, do których nie miała ochoty iść, wydarzenia, w których nie chciała uczestniczyć, lecz mimo wszystko wlokła się tam z jedną myślą: Co będzie, jeśli się okaże, że Adulam tam był, a ja nie? To Dahan jej powiedział, że Arieli rozważa, czy nie mianować Cementa korespondentem na Południu. Dahan również starał się ją informować o każdej wiadomości, która ukazała się w „Dzienniku Południa”, a nie w „Czasie”. Jakby to była wyłącznie jej wina.

Lizzi wysłała gotowy tekst do Tel Awiwu, wstała, przeciągnęła się, umalowała usta i zarzuciła torbę na ramię. Wyjrzała przez okno. Deszcz przestał padać, lecz niebo było szare, mętne i przygnębiające. Spoza drzwi dobiegały ją głosy Dahana i Szibolet. Lizzi zastanawiała się, czy ją także Dahan postanowił wciągnąć na listę swoich podbojów. Była zmęczona, głodna i marzyła, żeby wziąć pianistą kąpiel i iść do łóżka. Zeszłej nocy zdażyła przespać tylko dwie i pół godziny. Przez cały dzień starała się odepchnąć od siebie myśli o tym, co się przydarzyło poprzedniego dnia. Jej tekst o przyjęciu znalazł się na drugiej stronie, zilustrowany zdjęciem przedstawiającym Hornszyka z żoną, z kimś podobnym do Baby Sali w tle. Urywek wiadomości wysłano do redakcji w Tel Awiwie i ukazał się w kolumnie towarzyskiej krajowego wydania „Czasu”. Bołące mięśnie pleców i tęsknota za gorącą kąpielą przypomniały jej, że zamierzała kupić grzejnik do wody. Zmęczenie zmęczeniem - stwierdziła - tym razem nie ustąpi. Raz wreszcie pójdzie i sobie go kupi.

- Wiecie może, gdzie mogę kupić ogrzewacz wody do łazienki? - zapytała Dahana i Szibolet.

Oboje siedzieli na wielkim biurku i pili kawę z plastikowych kubków. Szibolet była nowym nabytkiem Dahana. Pochodziła z kibucu, właśnie wyszła z wojska i przyjechała do miasta, żeby zbierać pieniądze na podróż po Dalekim Wschodzie. Mieszkała we wspólnym mieszkaniu z sześcioma innymi kibucnikami, którzy zjednoczyli się w tym samym celu - dwiema dziewczynami i chłopcem z Sade Oznai oraz trzema chłopakami z kibucu Adraj. Ku ogólnemu zdziwieniu okazała się dobrą sekretarką. Umiała pisać na maszynie i używać edytora tekstu. Sprawnie prowadziła małą kasę, nie zapominała o przekazywaniu wiadomości oraz - co najbardziej zdumiewające u dwudziestoletniej dziewczyny z kibucu, marzącej o podboju świata - nie obrażała się, kiedy ją proszono, żeby zrobiła kawę lub przyniosła kanapki z pobliskiego kiosku.

- Przecież masz centralne - powiedział Dahan.

- Zawsze się psuje. Chcę mieć osobny ogrzewacz wody. Rury albo ciągle pękają, albo są zatkane. Mam dosyć.

- Zamordowano żonę sędziego.

- Jaką żonę? Jakiego sędziego?

- Podawali w wiadomościach.

- Co?

- Żonę Hornszyka. Zastrzelono. W czasie przyjęcia.

- Kto ją zastrzelił?

- Nie wiadomo. Nie powiedzieli nic więcej. Dzisiaj w południe był pogrzeb. Zrobiono sekcję i trwa śledztwo.

Dahan wpatrywał się w nią teraz, jakby sądził, że odkryje przed nim szczegół, którego nie było w wiadomościach. Siedział, czujnie wyprostowany, jak przystało na szczęściarza, którego natura obdarzyła ponad stu siedemdziesięcioma centymetrami wzrostu. Nigdy wcześniej Lizzi nie zwróciła uwagi na bruzdy rysujące się wokół jego ust. Przed rokiem przeprowadził się do osiedla domków jednorodzinnych i kupił żonie sklep z kosmetykami. Córka brała prywatne lekcje gry na fortepianie. Wyścig z czasem trwał jednak i wynik był z góry przesądzony.

Kołnierz płaszcza dostał się za pasek od torby i drapał ją w szyję. Lizzi położyła torbę na podłodze i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słuchała wiadomości. Jakieś tysiąc lat temu, jadąc z policjantami na pole w Strefie Gazy. Wtedy nie mówiono nic o morderstwie Aleksandry Hornszyk. Kto chciałby ją zamordować?

- Lizzi, idź do domu. Pada deszcz, pracowałeś dzisiaj ciężko i wstałeś o szóstej rano.

- Co tam będę robić?

- Jesteś szara ze zmęczenia. Zajmiemy się tym jutro.

Dopiero po chwili zrozumiała, że Dahan mówi o ogrzewaczu wody.

- A co, znasz kogoś?

Pytać Dahana, czy kogoś zna, to jak pytać lekarza, czy słyszał o gruźlicy. To był żart. Więcej - prawie obelga. Dahan znał osobiście każdego przedsiębiorcę czy agenta sprzedaży od Aszdodu do Ejlatu. Nie tylko miał gotowe rozwiązanie każdego problemu, ale z reguły było ono tańsze o dwadzieścia procent od wszystkich pozostałych.

Zadzwoił telefon. Dahan podniósł słuchawkę:

- Tak, rozumiem - powiedział. Potem zakrył dłonią słuchawkę. - Na razie będziesz się kąpać w zimnej - rzucił.

Lizzi bała się, że jeśli otworzy usta, zacznie płakać. W obecności reporterki mordują małżonkę sędziego, a ona posyła do druku tekst - o czym?

Zgadliście! O białym fortepianie!

Wyszła z redakcji i poczłapała ciężko w stronę windy. Dahan miał rację: rzeczywiście była zmęczona. Zastanawiała się, ile z jej artykułu - jeżeli w ogóle - przedostanie się do wydania krajowego i czy słusznie postąpiła, nie pozostając z Benim Adulamem. Dopiero na ulicy przypomniała sobie, że zaparkowała samochód przy miejskiej komendzie policji, którą opuściła kiedyś tam, wieki temu, przed wschodem słońca. Przez chwilę wahała się, czy nie wrócić do biura, żeby zamówić taksówkę lub poprosić o pomoc Dahana. Chodniki były wilgotne i lśniące, lecz jakaś dobra dusza w elektrowni zdecydowała zapalić uliczne latarnie, mimo że nie zapadł jeszcze wieczór. Powietrze było chłodne i świeże. Lizzi wciągnęła je głęboko do płuc. Samochody jechały z włączonymi krótkimi światłami. Widać było ciemne sylwetki owinięte w zimowe płaszcze, ludzie starali się zdążyć przed następnym deszczem. Lizzi postanowiła przejść się na parking. Cieszyła się ze spaceru, z widoku oświetlonych wystaw sklepowych. Miasto przeciągało się ze zmęczenia, zupełnie jak ona.

Rozdział 3

Koło komendy policji, między kwaciarnią a kawiarnią prowadzoną przez etiopskich Żydów, stał sklep „Mikado”, należący do ciotki Klary i wuja Jakowa. Były tam kasety, sztuczne kwiaty, pocztówki, latem okulary przeciwsłoneczne, zimą parasolki, paski, kolczyki i - przede wszystkim - wuj Jakow, w trzyczęściowym garniturze i filcowym kapeluszu niezależnie od pory roku, oraz ciotka Klara, emerytowana chórzystka opery egipskiej. Uchodzili za znawców operetek Gilberta i Sullivana w mieście, w którym jedynie nieliczni byli świadomi doniosłego faktu istnienia owych kompozytorów. W odległej i tajemniczej przeszłości wuj Jakow, wówczas Jack, był pianistą w orkiestrze opery Aleksandryjskiej, a ciotka Klara, wtedy po prostu Klara, śpiewała w chórze przez cały sezon piosenkę uczennic mistrza Puh-Bah: „Ach, wybacz nam, panie, nasze brzydkie zachowanie”. W czasie przedstawienia spoglądała na dół, do kanału dla orkiestry, wpatrując się w piękną głowę pianisty, i próbowała oddzielić w myślach jego grę od innych. Za kulisami opowiadano, że jest kochankiem Elfridy Kirilowej, primabaleriny, „egipskiej Isadory Duncan”. Mówiono, że ją zaczarował, tak iż w jego obecności dostawała dreszczy, i że kierownictwo teatru zamierza się go pozbyć. Kiedy Klarze w końcu udało się spotkać Jacka przed jedną z prób, odkryła, że jest prawie karzełkiem, lecz w ogóle się tym nie przejęła. Tak jak i on nie przejmował się tym, że była piegowata. Zakochali się w sobie. Elfrida groziła, że ich zamorduje - tak przynajmniej głosiła rodzinna legenda - i nie mieli innego wyjścia, jak uciec z Aleksandrii do Beer Szewy.

Ciotka Klara wyróżniała Lizzi spośród wszystkich swoich siostrzenic. Rozpieszczała ją prezentami i pochwałami, a jej zmysł przewidywania został nagrodzony, kiedy Lizzi dorosła i po latach nauki na uniwersytecie w Beer Szewie została dziennikarką. W ogóle nie przeszkadzał cioci

fakt, że Lizzi nie miała dyplomu i do ukończenia studiów brakowało jej dwóch egzaminów. Zwykła była ją pytać o nową fryzurę królowej Fabioli albo czy książę Rainier znajdzie sobie nową żonę na miejsce biednej Grace, a Lizzi długo się zastanawiała nad odpowiedziami i starała się nie rozczarować dobrej ciotki.

W sklepie nie było kupujących. Wuj Jakow drzemał przy kasie, a ciotka Klara siedziała w drzwiach i układała pasjansa na składanym stoliku. Ramiona miała sztywno wyprostowane, na podółku trzymała wyciągniętego szarego kota. Zakurzony patefon wydawał z siebie dźwięki słynnej arii mistrza Puh-Bah. Z daszku nad sklepem spłynęło Lizzi za kołnierz kilka kropli deszczu.

- Lizzi, stało się coś! - krzyknęła ciotka swoim głębokim kontraltem. - Arieli, co on tym razem zrobił?!

Lizzi powiedziała, że jest zmęczona, że zostawiła samochód na parkingu obok, a ponieważ i tak tędy przechodziła, to wstąpiła kupić kilka kaset magnetofonowych.

- A mężczyźni?

- Nie ma żadnych.

- Akurat położył mi się as kier na waleta. Od razu pomyślałam o tobie - powiedziała ciotka Klara i utkwiała zatroskane spojrzenie w wuju Jakowie. Czyżby karty ją oszukały?

Odkąd siostrzenica ukończyła osiemnaście lat, Klara hołubiła w głębi duszy przekonanie ojej licznych romansach. Lizzi nie zaprzeczała. Ciotka dawała jej zawsze dyskretne rady, powierzała tajemnice, którymi dzielą się między sobą tylko kobiety.

- Chanel nr 5 - wyszeptła teraz, jakby chciała wręczyć buteleczkę z trucizną królewskiemu szpiegowi. - Masz?

- Nie, ciociu Klaro.

- Kupię ci.

- Nie, nie trzeba.

Dopiero teraz ściszym głosem zaczęła im opowiadać o ludziach i wydarzeniach. Ciotka Klara i wujek Jakow słuchali z szeroko otwartymi oczami i nastawionymi uszami. Lizzi wiedziała, że będą analizować i powtarzać to, co właśnie usłyszeli, jeszcze długo po jej odejściu, aż do następnego spotkania. Lizzi stanowiła nić łączącą ich z jakimś cudownym królestwem, gdzie nie było ograniczeń dla wyobraźni, rysującej wysoko na niebie kształty rozpluwające się wśród chmur.

Tym razem Lizzi, odwrotnie niż dotychczas, naprawdę potrzebowała rady. W głębi szafy na ubrania spoczywało opakowanie globulek antykoncepcyjnych, które kupiła przed trzema laty. Czy można ich użyć? Wyrzucić? Czy w ciągu jednej nocy zmieniła się w ogólnie pożądaną kobietę i mężczyźni będą teraz wpadać do jej łóżka jak ryby w sieć? Czy zaszła w niej jakaś zmiana? Czy powinna pójść do ginekologa? Zasięgnąć rady u siostr? Skąd to straszne zmęczenie, czy to możliwe, żeby zaszła w ciążę?

Lizzi pożegnała się i odeszła, obiecując sobie rozprostować plecy, oddychać głęboko, wziąć gorącą kąpiel z dodatkiem wonnych olejków, pić japońską herbatę kameliową przed śniadaniem oraz - od razu jutro - kupić buteleczkę Chanel nr 5.

Usłyszała popiskiwanie, jeszcze zanim zbliżyła się do parkingu. Zawsze potrafiła odróżnić głos swojego pagera od wielu innych. Kiedy zadzwoniła do Tel Awiwu, odpowiedział jej rozłoszczony głos naczelnego.

- Gdzie się podziewasz, Badihi?! Szukamy cię od godziny! - wrzeszczał Arieli.

- Właśnie wyszłam z redakcji.

- Po co daliśmy ci pager, skoro go nie używasz?

- Wstałam o trzeciej rano. Byłam na przejściu granicznym. Wysłałam tekst.

Arieli dzwonił do Lizzi tylko i wyłącznie wtedy, kiedy był na nią zły. Nigdy jeszcze nie powiedział jej dobrego słowa. Nawet gdy odbierała premię, nie słyszała żadnych pochwał. Dochodzące ze słuchawki wrzaski zwiastowały rychłą egzekucję.

- Gdzie jesteś?

- Przy kiosku obok parkingu, właśnie zamierzam jechać do domu po piętnastu godzinach pracy.

- Twoja informacja o Hornshtykach!

Lizzi milczała. Wpatrywała się w słuchawkę jak w paszczę jakiegoś drapieżnego zwierzęcia, szczerzącą ostre kły.

- Badihi!

- Tak?
- Byłaś na tym przyjęciu?
- Tak.
- Jesteś pewna?
- Tak.
- W czasie przyjęcia zamordowana została żona Hornszyka.
- Tak, słyszałam.

- Dzisiaj po południu był pogrzeb, a ty przysyłasz mi jakąś idiotyczną wiadomość o pianinie i jedzeniu. Mordują żonę sędziego okręgowego w jej własnym domu, moja korespondentka jest na miejscu i dostarcza mi opis kanapek. Wysłałam Cementa.

Gdy było głośno o aferze z autobusem nr 300, przysłał Cementa i korespondenta wojskowego. Kiedy podłożono ładunki wybuchowe w autobusach w Gazie i Katifie - zrobił to samo. Z trudem udało się go przekonać, aby nie ściągał korespondenta z Tel Awiwu, kiedy jakiś nieszczęśnik został zastrzelony w parku miejskim. Lizzi postanowiła się nie poddawać. Cement z pewnością nie może liczyć na przyjazne nastawienie miejscowej policji. Nie będą chcieli z nim współpracować. Do niej wszyscy już są przyzwyczajeni, mają zaufanie. Kiedy tamten zostanie rzucony z wielkiej metropolii na prowincję, minie miesiąc, zanim nauczy się rozmawiać z prostymi ludźmi, i następny, zanim się połapie, że nikt mu nic nie powie. Jej ciotka Malka pracuje na posterunku policji. Szwagier Benci jest inspektorem. Drugi szwagier, Ilan - sierżantem. Morderstwa dokonano... jesteś pewien, że to morderstwo?... już po jej wyjściu. Wstała o trzeciej rano. Czy nie ma do niej zaufania po tylu latach pracy?

Wiedziała, że wierci mu dziurę w brzuchu i opowiada bzdury. Jedna jej połowa zastygła ze strachu, druga gorączkowo broniła swojej godności zawodowej. Dziesięć lat pracuje dla „Czasu Południa”, pilnie i z poświęceniem. Dlaczego więc właśnie teraz, kiedy taki dramat rozgrywa się na jej terytorium, miałby na nią spaść z przestrzeni kosmicznej Tel Awiwu meteor zwany Cementem? A co jej zostanie do roboty? Pisać o nowym smaku wafelków z miejscowej fabryki słodczy? Jedno wiadomo na pewno: ona nie będzie współpracować z Cementem!

Ujrzała w myśli Adulama, który zamachał skrzydłami, uniósł się do nieba i zniknął z anielskim uśmiechem na twarzy.

- Na pewno dasz sobie radę?
 - Tak.
- Lizzi o mało nie skłoniła się nisko przed słuchawką.
- Posłałem ci premię za kruka i dzieci.
 - Dziękuję.
 - To było, zanim dowiedziałem się o morderstwie.
- Telefon zamilkł z nienacka.

Parking był ciemny i pusty, deszcz znowu zaczął padać. Lizzi poczuła się samotna.

Rozdział 4

- Lizzi, idź do domu.

W głębi duszy znudziło się jej wysłuchiwanie tych słów. Wszyscy ciągle ją przeganiają, przestawiają z miejsca na miejsce, jakby była pustą puszką po coca-coli. Tym razem powiedział to szwagier Benci, mąż Georgette. Inspektor Bencijon Koresz bardzo lubił Lizzi, jeśli nie spotykał jej w godzinach pracy. Teraz zbliżała się siódma wieczór. Lizzi była na nogach od szesnastu godzin i nie miałaby nic przeciwko uśmiechowi i kilku miłym słowom, a nawet kubkowi gorącej zupy. Nikt jednak niczego takiego jej nie zaproponował. Pewnie to wszystko przez ten wygląd. Ciężka sylwetka z wiecznie pochyloną głową, jak u jucznego zwierzęcia. Może Chanel nr 5 coś tu zmieni.

Nie sprzątnięto po przyjęciu. Złote łańcuchy pokrywały podłogę z czarnego marmuru i biały fortepian, kołysały się między drzewami w oświetlonym ogrodzie, nasiąkały deszczem. Członkowie rodziny zebrali się w salonie. Gdyby nie żałoba, można by ich wziąć za uczestników przyjęcia, które przeciągnęło się do białego rana. Podwładni Benciego zachowywali się jak policjanci w amerykańskim filmie. Mierzyli odległości, zdejmowali z mebli odciski palców, otwierali szafy i szuflady. Hornszyk siedział na fotelu. Policzki pokrywał mu szary zarost, który czynił go jeszcze

starszym. Lizzi na siłę wtłoczyła do głowy myśl: Ten człowiek spał ze mną, kiedy mordowano jego żonę. Wydawało się jej, że wczorajsza przygoda zdarzyła się w innej epoce i komuś zupełnie innemu. Lubicz, jego żona, Miriam, siostra Aleks, i dwoje osieroconych dzieci - wszyscy siedzieli wyczerpani na białej brokatowej kanapie. Widać było, że są pod wpływem środków uspokajających. Szwagier, Neeman Aszbel, wziął na siebie kontakty z władzami. Teraz ruszył w stronę Lizzi, poruszając się ze złowróbną miękkością.

- To ty jesteś ta dziewczyna z gazety - stwierdził takim tonem, jakby mówił: „Odkryłem w końcu, kto kradnie mi listy ze skrzynki”. - Nie chcemy tutaj prasy.

- Lizzi - poprosił Benci. Poczula, że ton Aszabela zdenerwował także i jego. Wziął ją za łokieć i usiłował poprowadzić w kierunku drzwi.

- Pan Aszbel nie jest gospodarzem - powiedziała, chcąc zyskać trochę na czasie. - Jeśli gospodarz zażąda, żebym się wyniosła, to poczekam na zewnątrz.

- Gospodarz nie ma pojęcia, co się tutaj dzieje - zasyczał jej Aszbel prosto w twarz. - Jego żona została zamordowana! Poprosił mnie, żebym wszystkim się zajął. Bardzo proszę! - Otwierał i zamykał usta tak blisko jej twarzy, że Lizzi mogła zobaczyć złote plomby w zębach.

Przez otwarte drzwi ujrzeli, jak na ulicy przed bramą zatrzymuje się skuter. Zsiadł z niego Beni Adulam i ruszył w stronę wejścia. Miał na sobie prochowiec i czarną koszulkę, którą zastąpił poranną czerwoną, być może na znak szacunku dla zmarłej. Zdążył się ogolić i uczesać, a także - sądząc z zadowolonego wyrazu twarzy - zjeść kolację.

- Policjant? - zapytał Aszbel Benciego.

- Dziennikarz „Dziennika Południa” - odparł Benci.

- Wyrzucicie ich oboje! - rozkazał Aszbel i odwrócił się do nich plecami.

Lizzi odetchnęła z ulgą. Jeśli Benci czegoś nie lubi, to rozkazów. Zwłaszcza tych, które nie pochodzą od jego przełożonych. Z tego właśnie powodu rozwiódł się z Hawacelet i ożenił z Georgette. Beer Szewa aż trzęsła się od plotek, kiedy dwaj policjanci i przyjaciele, Benci Koresz i Ilan-Sergio Bachut, postanowili zamienić się żonami, a były to właśnie siostry Lizzi, Georgette i Hawacelet. To oryginalne rozwiązanie wymyśliła ciotka Klara, w której sklepie odbywały się rodzinne narady poświęcone temu, co jeszcze wówczas nazywano „zdradą”. Dwaj przyjaciele i dwie siostry przyjęli ten wyrok. Mężczyźni spakowali manatki i zamienili się miejscami. Dzieci zostały przy matkach. Hawacelet rozkazywała teraz Ilanowi-Sergiovi, natomiast Georgette czyściła Benciemu buty.

Lizzi zdecydowała się podejść do Hornszytka i złożyć mu kondolencje. Ponieważ zostanie tu tak długo jak policja i Adulam, powinna zachowywać się nienagannie. Hornszytk popatrzył na nią, mrużąc powieki.

- Lizzi Badihi - przypomniała mu - „Czas Południa”. Byłam tu wczoraj. Bardzo mi przykro. Rozumiem pański ból.

To było trudniejsze, niż myślała. Wstał z miejsca, uściśnił jej rękę i wyszeptał:

- Tak, tak, dziękuję - a potem ledwie słyszalnym głosem dodał: - Nie wspominaj o wczoraj. - Usiadł z powrotem i zakrył twarz rękami.

Lizzi patrzyła przez chwilę na bezbarwne włosy na jego karku. Pod kołnierzykiem mogła dostrzec dwa rudawe piegi. Przyklękła i powiedziała do pochylonej głowy:

- Czy mogę tu zostać razem z policją?

- Tak, tak - odparł, nie podnosząc wzroku.

Benci skinął na Lizzi i Adulama, aby do niego podeszli.

- Podam wam teraz szczegóły, które udało się dotąd zebrać. Potem się wyniesiecie. Nie chcę tu żadnych akcji partyzanckich, Lizzi!

- Dlaczego zwracasz się tylko do mnie? - zapytała obrażona. - On też tu jest.

- W porządku. Oboje weźcie to sobie do serca. Jak wiecie, wczoraj odbywało się tu przyjęcie z okazji mianowania gospodarza, pana Hornszytka, sędzią okręgowym. W willi było około siedemdziesięciu, osiemdziesięciu osób. Rodzina, jej przyjaciele, jego przyjaciele, kelnerzy, muzycy, dziennikarze. Ty też tu byłaś, Lizzi?

- Dobrze wiesz, że byłam. Moja notatka o przyjęciu ukazała się dzisiaj rano w wydaniu krajowym.

- O której tu przysłaś i kiedy wróciłaś do domu?

- Przyszłam mniej więcej o dziewiątej razem z Jackiem Danzigiem, pianistą, a wyszłam kilka minut po jedenastej.

- Pianista został?

- Tak. Przesłuchujesz mnie, mój drogi?

- Owszem. Dlaczego nie wyszliście razem?

- Ponieważ miałam wstać o trzeciej nad ranem, żeby jechać na konferencję prasową, i chciałam się przedtem przespać dwie, trzy godziny.

- Jackie wiedział, że wyszłaś bez niego?

- Tak. Pożegnałam się z nim przed wyjściem. Nie myślisz chyba, że to on zamordował Aleks?!
- Nic nie myślę. Kto widział, jak wychodziłaś?

- Skąd mam wiedzieć, kto widział, jak wychodziłam?! Wszyscy. Nikt szczególnie. Kogo w ogóle interesuje, kiedy przychodzę czy wychodzę? Ja nie zabiłam Aleksandry Hornszytk.

- Nie powiedziałem, że zabiłaś.

- To po co te wszystkie pytania?

- Macie listę gości? - zapytał Adulam przyjaznym głosem i utkwiał w Bencim proszące spojrzenie, dokładnie takie, jakie Benci lubił.

Przebiegły wąż - stwierdziła w duchu Lizzi.

- Tak. Właśnie ją sprawdzamy. Zawsze się zdarza, że ktoś zaproszony nie przyszedł, ktoś inny przyprowadził towarzyszkę albo w ostatniej chwili zmieniono kelnerkę. Morderstwa dokonano gdzieś między jedenastą a za kwadrans druga.

- Rozmawiałam z nią o jedenastej. Z nią i Jackiem Danzigiem - powiedziała Lizzi.

- Została zastrzelona z broni swojego męża. Miał na nią pozwolenie. Znaleźliśmy tylko jeden odcisk palca - Hornszytka. Strzał oddano na tylnym podwórku, z bliskiej odległości, w tył głowy, kiedy ofiara siedziała na kamiennej ławeczce koło basenu. Z oczywistych względów samobójstwo nie wchodzi tu w grę. Za pięć dwunasta jeden z wynajętych kelnerów zapytał gospodarza, czy podać kawę. Ten kazał mu zwrócić się z tym do gospodyni. Wtedy kelner odparł, że nie mógł jej znaleźć. Hornszytek więc polecił podać kawę.

Benci przerwał na moment potok wymowy i rozejrzał się po pokoju. Filipinka nakryła stół obrusem i ustawiła na nim półmiski z kanapkami oraz dzbanki z kawą i herbatą, zupełnie jakby przyjęcie trwało nadal. Hornszytek oparł głowę na rękach, oczy miał zamknięte. Można by pomyśleć, że boi się tego, co mógłby ujrzeć. Rodzice Aleks zaciągnęli dzieci do stołu, przekonując je po cichu, żeby „wzięły coś do ust”. Miriam została sama na kanapie. Jej nikt nie zaproponował, by „wzięła coś do ust”. Przez chwilę na jej twarzy znać było obrazę, potem wstała, podeszła do barku, otworzyła go i nalała sobie drinka. Aszbel, który dotąd stał w pobliżu inspektora i dziennikarzy i przysłuchiwał się ich rozmowie, podszedł szybko do żony i dotykając jej ramienia, szepnął coś do ucha. Strząsnęła jego rękę i odwrócona plecami do zgromadzonych w pokoju, wypila jednym haustem.

- Goście zaczęli wychodzić - mówił Benci - i oczywiście chcieli pożegnać się z gospodynią, ale ponieważ jej nie było, zadowolili się wymianą grzeczności z bohaterem przyjęcia. Hornszytek twierdzi, że nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Ponieważ musiał stać przy wyjściu, ścisnąć ręce, odpowiadać na podziękowania, i tak dalej, zawołał w końcu szwagierkę i poprosił, żeby odszukała Aleks. Miriam w odpowiedzi posłała mu wulgarną odżywkę. Była pijana.

- Tak - potwierdziła Lizzi. - Też mogę zaświadczyć, że była pijana.

- Mąż Miriam, Neeman Aszbel, usłyszał, że podniosła głos, i podszedł sprawdzić, co się stało. Hornszytek poprosił go, żeby odnalazł Aleks. Aszbel przeszukał pokoje na piętrze, na parterze, ogród, piwnicę i wreszcie znalazł ją siedzącą na ławce przy basenie. Martwą. Było to o pierwszej czterdzieści pięć.

- Lizzi, co się stało? - usłyszała nagle Beniego Adulama.

Jego głos był stłumiony i docierał do niej jak z oddali. Czują, że Beni sadza ją na fotelu i dłonią naciska jej kark, tak by opuściła głowę.

- Spuść głowę, spuść głowę między kolana, właśnie tak. Nie, nie wstawaj. Wytrzymaj tak przez chwilę.

Głosy w pokoju znów zaczęły do niej docierać. Lizzi strząsnęła jego dłoń z karku i wyprostowała się. Ujrzała twarz Benciego, który patrzył jej prosto w oczy.

- Jeżeli sądzisz, że można sypiać po trzy godziny na dobę, to rób tak dalej. Jestem pewien, że nic jeszcze dzisiaj nie jadłaś.

- Mój szef groził, że przyśle Dorona Cementa. Muszę mieć ten artykuł.

- Lizzi, idziesz do łóżka. To, co wiemy dotychczas, tak czy owak ukaże się w porannych gazetach.

- I co z tego?

Mieszkańcy Beer Szewy zdążyli już zapomnieć, że „Czas Południa” to tylko lokalny dodatek „Czasu” krajowego. Nie miała wątpliwości, że Adulam także znalazł się tutaj z myślą o krajowym wydaniu „Dziennika”.

Benci popatrzył na nią podejrzliwie, jakby próbował rozwiązać następną zagadkę. Lizzi nigdy nie mdlała. Już prędzej doprowadzała do tego innych. Teraz widziała oczami wyobraźni, jak Aszbel szuka Aleks, zagląda to tu, to tam, wreszcie dociera do pokoju Filipinki i znajduje zakrwawione prześcieradło. Nikt nawet słowem nie wspomniał o tym prześcieradle. Kto w ogóle je widział? Kto o nim wiedział oprócz Hornszyka? Filipinka? Aszbel? Policja? Benci niczego przed nimi nie taił. Gdyby znaleziono zakrwawione prześcieradło, powiedziałby i o tym. Czy Hornszyk postarał się je ukryć? Jeśli tak, to co pomyślała Filipinka, gdy odkryła, że jej prześcieradło znikło? Lizzi zaprzęgnęła porozmawiać z małą służącą i z trudem wyperswadowała sobie ten pomysł.

- Chodź, Lizzi - powiedział Adulam. - Pójdziemy na kawę.

- Jadę do redakcji.

- Pójdiesz z Adulamem - szepnął wściekle Benci. - Zadbaj o to, żeby coś zjadła i poszła spać - zwrócił się do reportera. - Skończyłaś pracę na dzisiaj. Jeśli dowiemy się czegoś nowego, na pewno ciebie poinformuję.

Lizzi nawet nie raczyła się pożegnać. Ciężko stąpała po marmurowej posadzce w stronę wyjścia. Policjant, który stał przy drzwiach, przyłgnął do ściany, żeby mogli przejść, i mruknął „dobranoc”. Dobranoc? - pomyślała Lizzi i zdała sobie sprawę, że jest dziewiąta wieczór.

- Gdzie zjemy? - spytał Adulam.

- Ja zjem w domu. Mam wrażenie, jakbym wyszła z niego dwa lata temu.

- Ja też.

- Ty zdążyłeś wrócić, wziąć prysznic i zjeść.

- Skąd wiesz?

- Zmieniłeś koszulkę.

- Zwróciłaś uwagę na moją koszulkę! To miłe. Chodź, pojedziemy na Smilanski. W Cafe Moskwa dają pyszny barszcz.

- Nie cierpię barszczu.

Lizzi wsiadła do swojego samochodu, zatrzasnęła drzwi, zapięła pas i przekręciła klucz w stacyjce. W lusterku nad głową mogła zobaczyć Adulama stojącego nieruchomo na chodniku. Pewnie, dokąd ma się spieszyć? Barszcz mu ucieknie? Cement go goni? Lepiej się nie oszukiwać. Dawno minęły czasy, kiedy reporter „Dziennika Południa” zadawał się barwną historyjką o niemowlętach. Trzeba było uznać oczywisty fakt: Adulam miał ambicję.

Rozdział 5

Goldner, zatrudniony w sklepie Lubicza, ustawił stos skrzynek z winem na wózku, wypchnął go na zewnątrz i tam załadował na ciężarówkę. Za każdym razem, gdy wchodził do sklepu, przeproszał Lizzi, że każe jej czekać.

- Ech, ta policja. Jak nie nakłada grzywny, to zabiera koncesję.

Coś w jego głosie przywodziło na myśl studenta jesziwy czytającego Gemarę. Powierzchność mężczyzny zdawała się potwierdzać to wrażenie. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Miał rudą brodę i pejsy, nosił wielką jarmułkę, a spod ubrania wystawały końce tałesu, na który włożył koszulkę z podwiniętymi rękawami. Lizzi wiedziała, że wziął ją za klientkę, i nie zamierzała prostować tej pomyłki. Jeśli będzie czuł się winny, prędzej coś z niego wyciągnie.

Rankiem, po dwunastu godzinach nieprzerwanego snu, ożywym prysznicu i gorącej mocnej kawie, Lizzi siedziała i rozważała dalsze kroki. Artykuł o morderstwie żony sędziego uratuje ich małą redakcję przed najazdem Cementa. Podczas owej burzliwej rozmowy z Arielim została

między nimi zawarta niepisana umowa: ona dostarczy materiał, a on wstrzyma się na razie z mianowaniem nowego korespondenta z Południa. Lizzi nie wątpiła, że jeśli jej się nie powiedzie, Arieli bez wahania zrealizuje swoją groźbę. Dziennikarki dodatków lokalnych stanowiły w jego oczach niższą klasę, niezależnie od doświadczenia zawodowego i umiejętności.

Zastanawiała się nad zawartością artykułu. Morderstwo, śledztwo, wzruszająca historyjka o osieroconych krewnych, portret zmarłej. Wpatrzyła się w skrawek szarego nieba za oknem. Dlaczego? Dlaczego ją zamordowano? Albo raczej, jak to mówią w powieściach kryminalnych - jaki był motyw? Czyżby Aleks stanowiła dla kogoś zagrożenie? Czemu? Klucz do zagadki leżał, jak zawsze, w osobowości ofiary. Lizzi usiłowała przypomnieć sobie tę piękną, pełną życia kobietę, pochłaniającą łapczywie wszystko, co napotkała na swojej drodze. Otaczała ją atmosfera sukcesu. Aleks pochodziła z zamożnej rodziny o ugruntowanej pozycji społecznej, cieszyła się renomą świetnego architekta i właścicielki znakomicie prosperującego biura projektów. Była pociągającą kobietą. Morderca lub morderczyni niewątpliwie należeli do bliskiego kręgu domowników. Przecież zginęła z broni Hornszyka. Zabójca wiedział, że sędzia ma broń i gdzie ją trzyma.

Lizzi postanowiła zacząć od początku, to znaczy od rodzinnego domu Aleks. O tym, że na idealnym obrazku jest rysa, dowiedziała się już z opowieści Miriam o zatrutym winie. Zadzwoiła do archiwum „Czasu” w Tel Awiwie i poprosiła, żeby sprawdzono wszelkie informacje o firmie Lubicza lub pogłoski o zatrutym winie z Jugosławii. Niente. Tak jak się spodziewała, wyniki były negatywne. Wstała więc, włożyła kolczyki w kształcie półksiężyców i wyszła z domu.

Goldner w końcu przerwał pracę i zasiadł na stosie skrzynek z winem. Kiedy usłyszał, że Lizzi jest dziennikarką, zabłysły mu oczy. O, lubi dziennikarzy. A dziennikarki nawet jeszcze bardziej. Wielką przysługę mu wyświadczyli jej koledzy. Jego syn, Elisza, zszedł niegdyś na złą drogę. Rzucił jesziwę i postanowił, że zostanie aktorem, aktorem w teatrze, tfu! Przyłączył się do trupy, która wystawiała Człowieka Spaghetti. Elisza był Człowiekiem Spaghetti. Siedział w kotle pełnym makaronu, jadł i rzucał nim w przechodniów. Nazywali to teatrem ulicznym. Ludzie na ulicy przeklinali, celowali w niego różnymi rzeczami, śmiali się i drwili, a Elisza się cieszył! Cudowna publiczność! Reaguje tak, jak powinna!

Po tygodniu Elisza i jego koledzy pojechali do Akki na festiwal teatralny. Tam przybyli ci wszyscy teatrolodzy, rozmaici doktorzy i profesorowie, dyrektorzy teatrów i kierownicy warsztatów teatralnych. I wszyscy strasznie się kłócili, ale co do jednego byli zgodni - Elisza nie ma za grosz talentu. Oliwy do ognia dołała pewna dziennikarka, która napisała, że Elisza Goldner to obraza dla spaghetti i na miejscu producentów pozwałaby go do sądu o antyreklamę. Ponieważ ilekroć teraz chce zjeść spaghetti i przypomni sobie Eliszę Goldnera - dostaje mdłości.

Złe recenzje popsły stosunki między członkami zespołu, którzy rozjechali się w cztery światy strony. Elisza po trzech miesiącach wrócił do jesziwy, ze złamanym sercem, lecz ku wielkiej radości rodziców i nauczycieli. A co ja mogę dla pani zrobić?

Z rozmowy z Goldnerem wynikało, że w handlu winami pracuje w zasadzie od dnia obrzezania, a w sklepie Lubicza od dnia jego założenia. To znaczy - nie tylko w sklepie. Firma obejmuje też składy rozlokowane w piwnicach. W handlu winami nie mają konkurencji. Tylko od czasu do czasu pojawia się jakiś żółtodziób i próbuje urwać kasek dla siebie, ale nie z Lubiczem takie numery! Lubicz wie, jak pilnować swojej działki. Proszę bardzo! Nawet w czasie żałoby zadbał o to, żeby sklep był otwarty, nie chcąc nikomu podsuwać żadnych pomysłów.

- Także z Aszbelem dobrze się panu pracuje? - spytała Lizzi.

- Goldner radzi sobie ze wszystkimi.

- Wierzę panu. - Lizzi się uśmiechnęła. - Niech mi pan powie, Miriam wspominała mi coś o tym zatrutym winie z Jugosławii...

- O, to stara historia! Co jej przyszło do głowy? Było, minęło!

- Ale podobno ktoś zatrul się śmiertelnie.

- Śmiertelnie?! Nie daj Boże! Te kobiety! Nikt nie umarł! Dwie osoby poszły do szpitala, a my zabraliśmy z powrotem butelki, zwróciliśmy pieniądze każdemu klientowi i pokój nastał w Izraelu.

- Nie pozwano was do sądu?

Przelotny uśmiech pojawił się na czerwonych ustach Goldnera, lecz natychmiast zastąpił go wyraz żalu i smutku.

- Przecież właśnie tak poznaliśmy Pinchasa. Pinchas Hornszyk był wtedy młodym prawnikiem i zażądał, naprawdę się uparł, żeby nie proponować nikomu odszkodowania, ani

jawnie, ani za plecami. To jak przyznanie się do winy, powiedział. A przecież nie ponosiliśmy żadnej winy. W każdym razie nie za truciznę.

- A za co?

- Czy to teraz takie ważne? Co się stało, to się nie odstanie. Wszystko to już przeszłość.

- Jest pan pewien?

- Czego?

- Że wszystko to już przeszłość?

Goldner otworzył szeroko oczy i przez jakiś czas przypatrywał się jej z przestachem. W końcu spytał, czy nie napiłaby się czegoś. Ma w lodówce polską wódkę. Lizzi poprosiła o sok. Opróżnił kieliszek jednym haustem, przełknął głośno, przymknął na chwilę oczy. Lizzi wiedziała, że stara się w ten sposób zyskać trochę na czasie.

- Jest pan współnikiem Lubicza?

- Chwała Bogu, nie. Tylko tego mi brakowało! Nie. Na szczęście jestem tylko pracownikiem. Mogę spać snem sprawiedliwego. Mam sześcioro dzieci i troje wnuków. Po całym dniu pracy chcę mieć spokojną głowę. Przeczytać stronę Gemary, pobawić się z wnukami. Gdyby Lubicz tu był, nie rozmawiałbym z panią. On nie lubi dziennikarzy.

- Dlaczego? A! Od tej afery z rtęcią w winie?

- Proszę mi uwierzyć, żaden dziennikarz wtedy do nas nie dotarł. To nie była rtęć, tylko ołów. Stara opowieść, po co odgrzebywać przeszłość, po co? I bez tego jest na świecie dosyć kłopotów.

- Z opowieści Miriam mogłabym sądzić, że...

- Miriam! - Po raz pierwszy wyczuła w jego głosie zniecierpliwienie. - Wtedy to nie było z naszej winy. No, prawie. Pewnego dnia przyszedł pracownik jugosłowiańskiego przedstawicielstwa i zaproponował, że może odsprzedać alkohol kupiony bez cła w sklepie dla dyplomatów. Wtedy w Izraelu nie było jeszcze takiego wyboru alkoholi. Stanęła umowa, że zyskami podzielimy się po połowie. Cały układ działał bez zarzutu prawie rok i wszyscy byli zadowoleni - jugosłowiański dyplomata, my i klienci. Rzecz się wydała, kiedy raz sprzedał nam rieslinga w glinianych butelkach. Doszło do zatrucia ołowiem. Dwie osoby trafiły do szpitala i wszczęto przeciw nam postępowanie. Lubicz postanowił skorzystać z pomocy prawnej i zwrócił się do kancelarii Adler, Awraham i Brill. Tam pracował Hornszyk. Był wtedy młodym adwokatem, dopiero co ukończył aplikację. Udało mu się wyciągnąć Lubicza z tego bagna i zdobyć rękę jego pięknej córki, niech spoczywa w pokoju.

- Jak zdołał wyciszyć całą aferę?

- Niczego nie wyciszał. Co tu jest do wyciszania? Gdzie? Kogo to w ogóle interesuje?

- Tych, którzy się zatruli. Co się z nimi stało?

- Jeden się wylizał, a drugi ma uszkodzoną nerkę.

Goldner podszedł do lodówki, wyciągnął butelkę wódki, nalał sobie następny kieliszek i z powrotem usadowił się na stosie skrzynek. Lizzi siedziała cicho, czekając, aż się uspokoi.

Przed sklepem zatrzymał się samochód. Goldner zerwał się na nogi i zaczął ładować do bagażnika skrzynki z alkoholem, które dotąd służyły mu za miejsce do siedzenia. Kierowca niecierpliwił się, gotów odjechać, ale Goldner uparł się wystawić rachunek i kwit.

- W sprawach finansowych bardzo uważam - powiedział po odjeździe klienta.

- Pomylił pan się kiedyś?

- Ja? Uchowaj Boże! Z reguły nawet nie zajmuję się rachunkami. W ogóle się na tym nie znam, muszę przyznać. To sprawa Aszabela. To przez to ma wrzody żołądka. - Zaśmiał się.

- Co się stało z tym jugosłowiańskim dyplomata?

- Aj, aj, aj! Nie będziesz składał fałszywego świadectwa! Udało się pani zrobić ze mnie plotkarza. Bez urazy. Sam gadałem.

Wpatrywał się w pusty kieliszek, który cały czas trzymał w ręku. Wódka zaczęła już na niego działać i Lizzi zastanawiała się, w jakim stanie dotrze pod koniec dnia do domu. Czy wybrał tę pracę, bo dawała mu możliwość napicia się, czy przeciwnie - to ona go zmieniała.

- Tak czy owak, moja droga, co ma być, to będzie. Nie spotkałaś mnie i nie rozmawiałaś ze mną.

Goldner ma córki, które trzeba wydać za mąż.

Najmądrzejszy człowiek na świecie, znany nam już Hornszyk, dzięki swojemu sprytowi zamienił pozew o odszkodowanie w incydent dyplomatyczny, który szybko wyciszono. Stworzył

wrażenie, że oto z powodu tego zatrutego wina grozi nam wybuch trzeciej wojny światowej. Naprawdę! W takiej atmosferze się to odbywało. Włączyło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych, dyplomata został usunięty, chorzy zyskali opiekę lekarską i dla dobra ojczyzny nabrali wody w usta, a dzielny Hornszyk nie tylko zdobył rękę księżniczki, ale i dziesięć procent dochodów Lubiczów.

- Czy to złości Aszbel i Miriam?

- Co to znaczy „złości”? Nie złości! To pieniądze Lubicza, a on, póki żyje, może z nimi zrobić, co zechce, nie?

Zadzwoił telefon i Goldner ryknął do słuchawki: „Firma Lubicz, słucham!”, natychmiast jednak ściszył głos, mówiąc „tak”, „nie”, „w porządku”.

- Pan Lubicz? - spytała Lizzi, kiedy odłożył słuchawkę.

- Tak.

Jego ożywienie nagle wyparowało. Zaczął porządkować sklep, przenosić skrzynki, napępiać pudełka. W pomieszczeniu unosił się duch właściciela.

- Czy Hornszyk dziedziczy po żonie?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie należę do rodziny. Według prawa powinien. Mąż dziedziczy po żonie, prawda?

- Aszbel i Miriam nie lubią Hornszyka.

- Zarabia na tym interesie, nie wkładając żadnego wysiłku. Możliwe, że to drażni Aszbel. Poza tym szwagrowie nigdy się nie lubią, prawda? To skomplikowana sprawa, rodzina. Masz męża?

- Nie.

- Taka miła dziewczyna, dlaczego?

Lizzi uśmiechnęła się, onieśmielona. Już od wielu lat zadawała sobie to pytanie.

- Z Polski?

- Z Egiptu.

- Więc?

Wzruszyła ramionami i wstała z miejsca. Rozmowa zaczęła zmierzać w kierunku, który jej nie odpowiadał. Podziękowała Goldnerowi za sok i za rozmowę i pożegnała się. Stojąc w drzwiach, obróciła się jeszcze.

- Może przypadkiem pamięta pan nazwiska ludzi, którzy się zatruli?

- Nie pamiętam tego, co wyzdrowiał. Ten z uszkodzoną nerką nazywa się Pinchas Hornszyk.

Rozdział 6

- W dupie mam choroby Hornszyka, a ta historia o zatrutym rieslingu jest cholernie stara.

Lizzi nie lubiła takich wyrażen i miała ochotę powiedzieć Arielemu, żeby się do niej grzeczniej zwracał, ale się nie odważyła.

- Jesteś tam jeszcze, Badihi?

- Tak.

- Zbieraj dalej informacje. Daj mi znać, kiedy odkryjesz naprawdę coś.

- Sędzia zamieszany w uciszenie przestępstwa, który dostaje za to odsetki, to chyba naprawdę coś.

- Nie masz żadnych dowodów. Chcesz nas wmieszać w sprawę o oszczerstwo?

- Co?

- Mowa o sędzi okręgowym!

Arieli trzasnął słuchawką i Lizzi poczuła się, jakby dostała w twarz. Była trzecia po południu. Kiedy wróciła do redakcji, poszła prosto do swojego pokoju i przesłuchała taśmę. Powtórzyła w myślach całą rozmowę z Goldnerem i usiadła, żeby napisać artykuł. Wiedziała, że ma dobrą historię, i rozmowa z Arielim ją zdenerwowała.

Dahan i Szibolet poszli godzinę temu na obiad i obiecali przynieść jej kanapki. Opustoszała redakcja wprawiała ją w przygnębienie. Z odległych biur dochodziły stłumione ludzkie głosy, z korytarza słychać było skrzypienie windy. Kiedy tamtych dwoje wróciło, Lizzi właśnie wkładała papiery do szuflady biurka.

- Wahaliśmy się między jajkiem na twardo a tuńczykiem, ale w końcu przeważyło jajko - oznajmiła Szlbolet. - Przynieśliśmy ci też puszkę soku.

- Dziękuję.

Lizzi była głodna. Bez słowa zjadła kanapkę.

- Lizzi, co się stało? - spytał Dahan.

- Arieli nie chce drukować mojego tekstu.

- Powiedział dlaczego?

- Boi się sprawy o zniesławienie.

- Żartujesz!

- Jestem śmiertelnie poważna.

- Wygląda na to, że trafiłaś na coś poważnego.

Lizzi spojrzała na niego zdziwiona. Oczywiście. Dahan ma rację. Przecież jej artykuł zawierał wszystkie składniki, jakimi powinien się odznaczać dobry tekst: intrygi, miłość, pieniądze, rodzinę. A jednak Arieli nie chciał go wydrukować, obawiając się grubszej afery. Przypomniała sobie teraz, że powiedział: „Zbieraj dalej informacje”.

Cholerny cham!

- No? Słońce znowu zaświeciło? - zapytał Dahan, obserwując grę zmiennych uczuć na jej twarzy.

- A co z moim ogrzewaczem wody?

- Obiecałem monterowi, że dam mu znać, kiedy będziesz w domu.

- Wcześniej rano. Ale dzień chcę ustalić z góry.

- Już do niego dzwonię.

- Dziękuję, mój drogi.

- Nie słyszałem tego od niej od pięciu lat - powiedział Dahan do Szlbolet, po czym znów zwrócił się do Lizzi: - Znalazłaś moją karteczkę?

- Jaką karteczkę?

- Nowa premiera teatralna w Beer Szewie. Konferencja prasowa z reżyserem.

- Kiedy?

- O czwartej.

Rozdział 7

Konferencja prasowa odbywała się w foyer teatru. Kilka stolików zsunięto razem i stanęła na nich nieśmiertelna dekoracja: butelki soku pomarańczowego i wafelki. Lizzi czuła, że ma zgagę, jeszcze zanim wzięła cokolwiek do ust. Na sali była obecna większość miejscowych dziennikarzy i panowała atmosfera spotkania towarzyskiego. Jak zwykle korespondenci prasy krajowej odnosili się z pogardą do reporterów wydań lokalnych. Jeśli miałaś szczęście być do tego kobietą, nikt nie zapamiętał twojej twarzy ani nazwiska, o ile oczywiście w ogóle ktoś cię zauważył.

Niemiecki reżyser korzystał z pomocy tłumacza, co przedłużyło konferencję. Przyjechał do Beer Szewy wystawić Króla Lira. Wizja szekspirowska kompletnie go nie interesuje. Ma inne podejście. Zagrają wyłącznie mężczyźni. Tylko w roli Lira wystąpi kobieta. Uważa, że jest to sztuka o tyranii i władzy absolutnej. Publiczność będzie mogła wejść za kulisy na dwie godziny przed spektaklem i obejrzeć, jak aktorzy przebierają się za kurczaki. Lir będzie kurą. Użyją prawdziwych piór.

- Czy ma pan na myśli konflikt palestyńsko-izraelski? - zapytała francuska korespondentka.

- To pani to powiedziała - odparł reżyser.

- Dlaczego akurat kurczaki? - odezwała się Lizzi, ale tłumacz nie chciał powtórzyć jej pytania.

- Pięćdziesiąt słów - mamrotała do siebie, wychodząc po czterdziestu pięciu minutach.

Niewielka grupa ludzi - pięć kobiet, w tym jedna z dzieckiem w nosidelku, i trzech mężczyzn, jeden z nogą w gipsie - niosła tekturowy szyld z napisem: „Okupacja nas niszczy!”

Lizzi zastanawiała się, czy zadzwonić z domu do redakcji.

- Mówisz do siebie.

Adulam! Widziała go na konferencji prasowej. Na każdym kroku - Adulam!

- Rzuciłeś studia?

- Coś ty?!

Wzruszyła ramionami. Jeśli postanowił zaniedbać naukę na rzecz zarobków, niech mu będzie. To nie jej sprawa.

- Pójdziemy na kawę?

- Muszę przekazać wiadomość.

- Znajdziemy budkę telefoniczną, przekażesz wiadomość, a potem pójdziemy na kawę.

- Spieszę się.

- Dokąd?

- Nie twój interes.

- Unikasz mnie.

Lizzi zatrzymała się i spojrzała na niego osłupiała. Do dzisiaj zakładała, że Adulam okazuje jej zainteresowanie wyłącznie ze względów zawodowych. Czy on próbuje ją podrywać?

Pożegnała się zachrypniętym głosem, zarzuciła ogromną torbę na ramię i odeszła w drugą stronę. Jej samochód stał na parkingu przy teatrze. Nastawiła uszu, żeby się zorientować, czy Adulam za nią idzie. Miała wielką chęć się obejrzeć, ale zmusiła się, by tego nie robić. Kiedy dotarła do samochodu, prawie ogarnęło ją rozczarowanie. Postanowiła wrócić do redakcji. Jeśli przekaże informacje przez telefon, z pewnością ktoś przekreśli nazwisko reżysera i tytuł sztuki oraz takie słowa jak „koncepcja” i „interpretacja”, bez których nie obejdzie się żaden artykuł o teatrze.

Na biurku znalazła dwie wiadomości. W jednej z nich Dahan donosił, że monter przyjdzie do niej do domu pojutrze o siódmej rano. To prawda, chciała, żeby przyszedł rano, ale nie aż tak wcześniej! Trudno. Druga karteczka, napisana ręką Szibolet, informowała, że Jackie Danzig prosi o kontakt. Lizzi zadzwoniła do Tel Awiwu i upewniła się, że jej wiadomość trafiła do redakcji. Potem zatelefonowała do Danziga i umówiła się z nim na wpół do dziewiątej. Mieli się spotkać w „Niebieskim Pelikanie”, gdzie Jackie grał co wieczór od dziesiątej do północy. Zdaży jeszcze wrócić do domu, wziąć prysznic, uczesać się i trochę odpocząć.

Rozdział 8

„Niebieski Pelikan” mieścił się w jednopiętrowym arabskim domu, zbudowanym z kamieni połączonych gliną. Na patiu rosło drzewo terebintu wysokie na pięć metrów i były ustawione donice z hyzopem i miętą. W latach pięćdziesiątych mieścił się tam klub jazzowy, w latach sześćdziesiątych panowała muzyka pop, w siedemdziesiątych - rock and roll, a w osiemdziesiątych - hard rock. Klientela pozostawała bez zmian. Żołnierze z okolicznych baz, licealiści, którzy przychodzili spróbować swojej pierwszej whisky, artyści i pseudoartyści szukający towarzystwa w późnych godzinach nocnych, adoratorzy barmanek, przyjaciele muzyków i dyskdżokejów, pijacy i ich bracia, samotnicy.

W środku było pusto, cicho i zimno. Kelnerka w dzinsach i z rudą grzywką, która sterczała jej nad czołem jak grzebień, nakrywała stoły lnianymi serwetami w biało-czerwoną kratę. Serwety nie były zbyt czyste, ale kiedy później zapali się świece tkwiące w butelkach po chianti, w ich mdłym świetle nikt nie zauważył plam.

Jackie poprowadził Lizzi do stolika w rogu i zamówił gorącą herbatę.

- Nie zdziwiłaś się, że do ciebie zadzwoniłem - powiedział.

- Nie.

- Na pewno wiesz, co łączyło mnie i Aleks.

- Coś tam słyszałam.

Jackie siedział przez jakiś czas w milczeniu, zapewne usiłując ułożyć sobie w myślach to, co chciał jej powiedzieć, lub szukając odpowiedniego sformułowania. Lizzi rozsiadła się wygodnie, spokojna, stapiając się z otoczeniem. To była jej główna zaleta. Umiała zamienić się w mebel. Ludzie mówili przy niej nie dlatego, że umiała ich do tego skłonić, ale ponieważ w ogóle dla nich nie istniała.

- Policja w końcu do mnie dotrze. Wystarczy, że sprawdzą jej konto w banku. Nie chcę być aresztowany.

- Będą mieli powód?

- Nie. Nic nie zrobiłem. Ale oni pomyślą, że zrobiłem. Na ich miejscu też bym tak myślał. Chciałem cię prosić, żebyś porozmawiała z Koreszem. Wiem, że to on prowadzi śledztwo. To twój szwagier, prawda?

- Tak.

- Słyszałem, że bije przesłuchiwanym.

- Benci?

- Tak.

- Nie wierzę. Benci nikogo nie bije.

Lecz w duchu pomyślała: A może jednak? Skąd mam tę pewność, że nie bije? Przecież ani razu nie widziałam, jak przesłuchuje podejrzanych. Czy to możliwe, żeby spokojny mężczyzna, ojciec i mąż, zamieniał się nagle w brutalnego policjanta? Oczywiście, że możliwe.

- Dlaczego uważasz, że cię aresztują?

- Od trzech lat byłem kochankiem Aleks. To się zaczęło w Club-Medzie w Aszkelonie. Ona przyjechała na wakacje, a ja tam grałem. Zwariowała na moim punkcie. Nie przejmowała się nikim: mężem, dziećmi, rodzicami. Wydaje mi się, że wszyscy o tym wiedzieli. A może nie? W ciągu ostatniego roku zaczęło mnie to wszystko trochę męczyć. Przychodziła tutaj wieczorami, czekała, aż skończę grać. Pilnowała, żeby żadna dziewczyna nie próbowała mnie poderwać i żebym ja się żadną nie zainteresował. Odwoziła mnie potem do domu. Ona jest... była... ode mnie starsza o dwanaście lat, to nie drobiazg. Nie mogłem nie zauważać pewnych rzeczy. Zmarszczek, bruzd, żyłaków... Cały czas otaczają mnie ludzie młodzi. Trzy lata! Szczerze mówiąc, chciałem to skończyć. Wtedy zaczęła zasypywać mnie pieniędzmi. Kupiła mi mieszkanie, potem samochód. Płaciła za nagrania w studiu. Święty pewnie nie dałby się przekupić, ale ja nie jestem święty. Do końca życia nie byłoby mnie stać na mieszkanie. To tylko dwa pokoje, ale moje własne. I płyta wychodzi w przyszłym miesiącu. Zawsze trochę komponowałem, ale żeby płyta?! To było jak w bajce. Kosztowało pięć tysięcy dolarów. Skąd miałbym wziąć pięć tysięcy dolarów? Kupiła mnie. A ja pogardzałem sobą, ale na wszystko się godziłem. Nie miałem siły zerwać. - Podniósł nagle głowę i krzyknął w głąb korytarza: - Bruria! Co z naszą herbatą?!

Znowu zamilkł. Lizzi zastanawiała się, czy byłaby zdolna się poświęcić, gdyby ktoś, na przykład Hornszyk, był gotów kupić jej mieszkanie i samochód. Zdecydowała, że nie. Na pewno nie! Kelnerka z rudą grzywką przyniosła dwie filiżanki herbaty na blaszanej tacy. Czekali w milczeniu, aż odejdzie.

- W ostatnich miesiącach miała kłopoty finansowe. Nie wiem jakie. Coś związanego z projektem, który robiła. O ile zrozumiałem, wydawała na mnie nie swoje pieniądze. Chciała, żebym sprzedał mieszkanie. Obiecała, że kupi mi nowe, jak tylko wyjdzie na prostą. Zaproponowała, że podpisze zobowiązanie. Nie zgodziłem się. Nie kochałem jej. Była uparta, władcza i arogancka. Zdecydowałem, że także Jackie Danzig ma swoją cenę. Nie wziąłem od niej niczego, czego sama nie chciała mi dać. Przecież z własnej woli podarowała mi mieszkanie i samochód, które - nawiasem mówiąc - są zapisane na mnie. Taki był układ. Płaciła za towar, który jej dostarczałem. Cała sprawa zaczęła nieładnie wyglądać. Prośby, groźby, obietnice...

- Wiesz może, o jaki projekt chodziło?

- Skąd mam wiedzieć? Miała swoją pracownię. Budowała kafejkę na uniwersytecie, ten nowy dom na osiedlu D, domy w kibucu Oznaja, szkołę dla dorosłych, którą tam stawiają. Jej firma jest... była... jedną z największych w mieście. Czemu przyczepiła się do mnie?!

- Dlaczego zgodziłeś się grać na przyjęciu jej męża?

- To było w jej stylu! Zaprosić kochanka, żeby grał podczas przyjęcia na cześć męża. Kiedy próbowałem jej to wyperswadować, tylko się roześmiała. „Od dawna chciałam, żebyś do nas przyszedł”, powiedziała. „Najwyższy czas, żebyś poznał moją rodzinę”.

- Mogłeś odmówić.

- Nie mogłem. Była silniejsza.

- Jakie dokładnie miała kłopoty?

- Nie mam pojęcia.

- Ile potrzebowała pieniędzy?

- Sto tysięcy dolarów.

- Jesteś pewny?

- Niczego nie jestem pewny. Zaproponowała mi weksel bankowy na sumę stu tysięcy dolarów w zastaw za pieniądze, które jej dam. Wydaje mi się, że nawet poszła porozmawiać z dyrektorem banku.

- Wiesz, który to bank?

- Nie. Ona korzysta... korzystała... z usług co najmniej dwóch banków. Była bardzo sprytna w kwestiach finansowych. Obracała ogromnymi sumami. Miała charakter hazardzisty.

Do klubu zaczęli napływać ludzie. Wszyscy młodzi, około dwudziestki. Od czasu do czasu ktoś podchodził i klepał Jackiego po ramieniu. Bruria sunęła od stolika do stolika, zapalając świece, a potem zgasiła światło elektryczne. Barman przecierał kufle i wieszał je na drewnianych kołkach nad głową.

- Bencijon Koresz w końcu do mnie dotrze. Proszę, porozmawiaj z nim. Opowiedz mu to, co ci powiedziałem. Nie złamałem w żaden sposób prawa. Byłem kochankiem Aleks Hornszyk. Dokładnie tak, jak ty byłaś kochanką Pinchasa Hornszyka.

Lizzi popatrzyła na Jackiego zimnym wzrokiem. Ledwie zdołała zdusić w sobie krzyk. Coś podobnego przeżyła w dzieciństwie, gdy o mało nie utonąła w morzu.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Widziałem was.

- Co widziałeś?

- Nie udawaj.

- To ty nie udawaj.

Wstała z miejsca, biorąc torbę zawieszoną na oparciu krzesła. Jackie złapał ją za ramię i przytrzymał siłą.

- Zabierz rękę.

Ludzie w klubie zaczęli im się przyglądać i Lizzi pomyślała, że to dobrze. To jej pomoże. Jeśli będzie trzeba, wywoła awanturę. Miała wielką ochotę wywołać awanturę.

- Lizzi, usiądź, proszę. Przepraszam.

- To twoja sprawa, co ci chodzi po głowie, Jackie. Mnie w to nie mieszaj.

- W porządku. Przeprosiłem cię. Usiądź. I tak za piętnaście minut zacynam grać.

Doskonale pamiętała, że kiedy zeszła z Hornszykiem do piwnicy, Jackie siedział przy fortepianie w salonie. W pokoju Filipinki słyszała dochodzącą z góry melodię. Nie mógł nic widzieć. Chyba że ktoś inny widział, jak wchodzili lub wychodzili z pokoju, i mu o tym powiedział.

Lizzi usiadła i starała się na niego nie patrzeć. Nigdy nie lubiła Jackiego Danziga. Teraz naprawdę go nie cierpiała. Tylko że ten wstrętny człowiek niekoniecznie musi być mordercą - powiedziała sobie.

- Wy tłumacz się.

- Po prostu się pomyliłem.

- Chcę wiedzieć, co miałeś na myśli.

- Kiedy już mi powiedziałaś, że idziesz do domu, zobaczyłem, że podchodzisz do drzwi i rozmawiasz z Hornszykiem, a potem oboje znikacie w środku.

- Pokazywał mi willę.

- Ale nie wróciliście.

- Wysłałam przez ogród. Nie chciałam iść tą samą drogą, skoro już się ze wszystkimi pożegnałam. Hornszyk przecież wrócił?

- Dobrze wiesz, że nie wrócił.

- Ale stał przy drzwiach i zegnał gości?

- Grałem do północy. O północy zmienił mnie didżej i pojechałem do domu.

- Puszczali w końcu fajerwerki?

- Może później. - Milczał jakiś czas, po czym zapytał: - Porozmawiasz z Koreszem?

- Tak.

- Dziękuję, Lizzi.

Nie odpowiedziała ani nie popatrzyła na niego. Sala wypełniała się młodymi ludźmi, gwarem rozmów i dymem papierosów. Ruda grzywka kręciła się między stolikami, z tacą zastawioną butelkami piwa. Na małej scenie ktoś sprawdzał mikrofon.

Lizzi wyszła na zewnątrz. W świetle latarni spojrzała na zegarek. Prawie dziesiąta. Trochę za późno, żeby dzwonić do Benciego. Obudzi dziewczynki i Georgette będzie na nią zła. Teraz

żałowała, że wzięła prysznic przed rozmową z Jackiem. Chętnie znowu by się wykapała. Jak to się stało, że ze wszystkich facetów na świecie Aleksandra Hornszyk wybrała właśnie jego? Lizzi przypomniała sobie Adulama; postanowiła zadzwonić do Ariego i opowiedzieć mu o wszystkim. Trzymała w ręku koniec długiej splątanej nici i potrzebowała jego wsparcia.

- To wolny kraj. Jeśli zechcemy drukować historie wszystkich romansów, nie zostanie nam miejsca na nic innego - powiedział Arieli równie miłym tonem jak zawsze.

- Ten romans skończył się morderstwem.

- Jaki jest związek między morderstwem a faktem, że ofiara miała młodego kochanka?

- Popadła w kłopoty finansowe. Była w sytuacji podbramkowej. Chciała, żeby zwrócił jej pieniądze.

- Możesz to udowodnić?

- On sam mi opowiedział.

- Nie sprawia wrażenia specjalnie prawdopodobnego.

- Nie, rzeczywiście.

- Czemu w ogóle chciał z tobą rozmawiać?

- Prosił, żebym pomówiła z moim kuzynem, który prowadzi śledztwo. Bał się, że policja będzie się nad nim znęcać w czasie przesłuchania.

- Chce cię wykorzystać. Tak jak wykorzystywał panią Hornszyk.

Lizzi poczuła nagły dreszcz. Arieli oczywiście miał rację. Jackie próbował ją wykorzystać. Z drugiej strony jednak zamierzała mu odplacić tą samą monetą.

- Rozmawiałaś ze szwagrem?

- Jeszcze nie.

- Nie rozmawiaj z nim, Badihi.

- Dlaczego?

- Zabroni ci opublikować tę historię.

- Ale może też mi coś powiedzieć.

Arieli zakończył rozmowę w swój ulubiony sposób - rzucając słuchawkę. Lizzi obiecała sobie, że kiedyś również tak zrobi. Żadnego „cześć”, żadnego „do widzenia”, tylko ten głuchy stuk, raptownie rozdzielający ją z rozmówcą. Siedziała chwilę, wpatrując się w aparat, i usiłowała się domyślić, czy trzask słuchawki znaczył: „Masz rację, kochana Lizzi” czy też „Nie mam co gadać z taką idiotką”. Możliwe, że coś pośrodku. A przecież, rozważając sprawę na chłodno, Arieli wydawał się zatroskany faktem, że Benci może jej zabronić opublikowania tej historii. Co by znaczyło, że jest zainteresowany. Ale czy sądzi, że ona rozwiąże tę zagadkę bez współpracy z policją? Nie, nawet przeklęty Arieli wie, że to niemożliwe. Tak tylko zabezpiecza się na przyszłość. Zawsze będzie mógł powiedzieć, że zakazał Lizzi Badihi radzić się policji, tak jak i będzie mógł powiedzieć, że na jej prośbę zezwolił na współpracę z policją.

Lizzi włożyła magnetofon do szuflady, zdjęła plastikowe kolczyki i poszła do łazienki. Zezłościło ją, że woda jest letnia. W zeszłym miesiącu wydała prawie jedną trzecią pensji na naprawy urządzeń ogrzewczych w budynku. Trudno. Pojutrze założą jej grzejnik i przynajmniej jeden problem w końcu zostanie rozwiązany.

Rozdział 9

„Intymny związek między zamordowaną a miejscowym pianistą”. Lizzi wpatrywała się w nagłówek „Dziennika”, jak gdyby za moment litery miały się zamienić w olbrzymie skorpiony i pożreć ją żywcem. Była tak zła, że znaki tańczyły jej przed oczami i nie mogła przeczytać całego artykułu. Ten wąż Adulam! Arieli i te jego rady!

Siedziała w swoim mieszkaniu i czekała na montera, który oczywiście nie przyszedł. Czy w ogóle jakikolwiek pracownik w tym kraju był w stanie zjawić się na czas? To nie Szwajcaria. Mała ziemia pionierów, wszystko improwizowane, zero porządku. Na pewno przyjdzie, może nie dzisiaj, ale w końcu przyjdzie, a ona będzie miła i zaproponuje mu coś do picia. On powie jej na próbę jakiś komplement, żeby sprawdzić, czy w ogóle jest o czym mówić. Ona zaś - doświadczona w takich sytuacjach - będzie starała się tak odpowiedzieć, żeby się nie obraził i jeszcze założył jej piecyk.

Dopiero o dziesiątej dotarła do redakcji. Szibolet powiedziała, że szuka jej inspektor Bencijon Koresz, a Dahan zapytał, co się stało.

- Wstałam o szóstej rano, żeby być gotowa na wizytę tego twojego montera, ale się nie doczekałam.

- Jak to, nie przyszedł? - Czuł się obrażony, jeśli rzeczywistość zaprzeczała stwierdzeniu: „Dahan wszystko załatwi”. Patrzył na nią wzrokiem wiernego spaniela, którego porzucił właściciel. Mało brakowało, a Lizzi zaczęłyby go naprawdę żałować.

- Jedno ci mogę obiecać. Już nigdy go nie zatrudnię.

Poszła do swojego pokoju i zadzwoniła do Benciego. Okazało się, że Jackie Danzig został przesłuchany i przyznał się do znajomości z Lizzi Badihi, z którą - jak wiadomo - przyszedł na przyjęcie do domu Hornszyków.

- Prosił mnie, żebym się za nim wstawiła. Żebyś go nie bił.

- Dlaczego miałbym go bić?

- Nie mam pojęcia.

- To twój przyjaciel, Lizzi?

- Nienawidzę go.

- Był twoim chłopakiem?

- No wiesz!

- Był twoim chłopakiem?

- Nie.

- To dlaczego mówi, że między wami coś jest?

- Żebyś go nie bił.

- Nagrałaś rozmowę w „Niebieskim Pelikanie”?

- Tak.

- Przynieś mi taśmę.

- Chcę ją zatrzymać.

- Przyjdź do mnie do biura. Przegram sobie i zwrócę ci oryginał.

- W porządku.

„Biuro” inspektora Koresza stanowił betonowy pokój dwa metry na trzy, podobny do więziennej celi. Dzielił go - przynajmniej oficjalnie - z Ilanem-Sergiem, jedynym człowiekiem w Beer Szewie, który gotów był przebywać z Bencim w jednym pomieszczeniu. Na szczęście dla nich obydwu Ilan chwalił sobie „pracę w terenie” i nienawidził siedzieć w biurze, Benci natomiast czuł się szczęśliwy, mogąc grzebać w papierach i słuchać nagrań.

Lizzi i Benci przesłuchali taśmę po raz trzeci. Oboje znali ją już na pamięć.

- Kto przekazał informacje Beniemu Adulamowi? - spytała Lizzi, kiedy Benci wyłączył magnetofon.

- Jackie Danzig - odpowiedział Benci. - Doszedł do wniosku, że prasa może obronić go przed policją. W końcu mowa tu o sędzi, a policję łączą bardzo delikatne stosunki z sądem okręgowym. Naturalne więc, że stanie po stronie sędziego, który w tym przypadku jest także poszkodowanym. Jedyne szansa dla kogoś takiego jak Danzig to przedstawić Aleksandrę Hornszyk w zupełnie nowym, niepochlebnym świetle, zanim policja do niego dotrze. Całkiem niegłupi ten Danzig.

- Spotkał się ze mną i jak tylko się rozstaliśmy, umówił się z Adulamem - stwierdziła Lizzi, rozzalona. Ukradziono jej sensację sprzed nosa.

- Bał się, że cię rozdrażnił swoimi wulgarnymi aluzjami i że ze mną nie porozmawiasz.

- Miał rację.

- Powinnaś była mi o tym opowiedzieć.

- Przecież opowiedziałam.

- Nie dzisiaj. Wczoraj!

Na tle innych śmiertelników Benci odznaczał się szczególnie zdrowymi płucami i silną przeponą. Kiedy prosił o sól, jego donośny głos wprawiał w drżenie szyby w mieszkaniu. Ktoś, kto go nie znał, mógł pomyśleć, że cały czas się złości. Lizzi próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby spotkanie Benciego z Arielim.

- Coś cię śmieszy?

- Słucham?

- O czym rozmawiałaś z Hornszykiem?

- Kiedy?

- Na taśmie Jackie mówi, że rozmawiałaś z Hornszykiem, a potem poszliście obejrzeć willę.

- Czy to oficjalne przesłuchanie?

- W tym miejscu każde słowo jest oficjalne.

- Poszłam na to przyjęcie, bo Dahan chciał umieścić w tekście markę fortepianu, na którym grał Jackie.

- Czy to zgodne z etyką dziennikarską?

- Nie.

Benci popatrzył na nią i oboje się uśmiechnęli.

- To przyjęcie mnie zdenerwowało. Wszystko było na złoto. Sędzia okręgowy stał w drzwiach i rozdawał fajerwerki, a Miriam upiła się i zaczęła obgadywać swoją siostrę. Postanowiłam wyjść, bo o trzeciej rano musiałam wstać, żeby jechać na przejście graniczne. Gospodarz oczywiście zapytał, dlaczego wychodzę, a ja spytałam, czemu nie bierze udziału we własnym przyjęciu. Kiedy zaproponował, że pokaże mi dom, nie odmówiłam. Przechodziliśmy z pokoju do pokoju, aż znaleźliśmy się w ogrodzie na tyłach. Nie chciałam wracać do środka, bo już wcześniej pożegnałam się z gośćmi. Powiedziałam mu „do widzenia”, poszłam ścieżką w kierunku bramy i pojechałam do domu.

- Która była wtedy godzina?

- Mniej więcej jedenasta.

- Po co chciał ci pokazać dom?

- Może też go znudziło przyjęcie.

- Wiedział, kim jesteś?

- Pamiętał, że przyszłam z pianistą, a ja się od razu przedstawiłam. Zawsze tak robię. Żeby ludzie potem nie mówili, że wyciągnęłam coś od nich podstępem, i tak dalej.

- Znał Danziga?

- Wydaje mi się, że tak. Wiedział, kim on jest. Zdziwił się, że wychodzę bez niego. Danzig twierdzi, że cała rodzina o nim wiedziała.

- Sprawdzimy to. Chcesz sok albo kawę?

- Kawę.

- Eliezer! Przynieś dwie kawy.

Benci oczywiście nie musiał korzystać z interkomu. Wystarczyło, że podniósł trochę głoś. Lizzi pomyślała, że warto by zabezpieczyć okna taśmą uszczelniającą. Czekaając na kawę, wpatrywali się w kasetę, jakby się spodziewali, że powie im coś jeszcze.

- Aleksandra Hornszyk została zamordowana między jedenastą a pierwszą trzydzieści pięć. Siedziała na dworze, na ławeczce przy basenie. Od tej części ogrodu, w której odbywało się przyjęcie, oddzielały ją drzewa. Fakt, że szukano jej bezskutecznie.

- Wtedy nikt jeszcze nie wiedział, że została zabita. Na pewno szukali w sypialniach, w kuchni.

- Myślisz, że czekała tam na kogoś?

- To możliwe.

Drzwi otworzyły się ostrożnie i do pokoju wszedł Eliezer, niosąc blaszaną tackę, na której stały dwa duże kubki. Lizzi z trudem się powstrzymała, aby nie wstać i nie zacząć mu pomagać. Zawsze chciała wstawać i pomagać ludziom. Zwłaszcza tym niepozornym, którzy boją się patrzeć prosto w oczy i wyglądają jak Eliezer.

- Bił swoją żonę do nieprzytomności - powiedział Benci, kiedy Eliezer wyszedł. - Straciła słuch w jednym uchu. Powinnaś ją zobaczyć. Wielka, gruba, można pomyśleć, że z ich dwojga to ona jest brutalna. Za każdym razem składała skargę, zatrzymywali go, wracał do domu i bił ją od nowa. Miałem tego dosyć. Wziąłem go tutaj, niech będzie pod kontrolą. Tymczasem nabrał pewności siebie i zaczął się chwalić w mieście, że pracuje w policji i znalazł sobie dziewczynę. Teraz jego żona przychodzi się skarżyć, że zburzyłem jej życie rodzinne. Zrozum coś z tego.

Ściany budynku, w którym mieściła się komenda policji, były bardzo grube, jednak z pewnością słowa Benciego słyszał nie tylko Eliezer, ale też wszyscy przechodnie na ulicy.

- Znaleźliście coś w pobliżu miejsca, gdzie zamordowano Aleksandrę?

- W samym ogrodzie natrafiliśmy na odciski stóp co najmniej siedemdziesięciu osób. Obok ławeczki było ich trochę mniej. Częściowo stare, częściowo nowe. W większości należące do domowników, oczywiście. Ale nadal sprawdzamy.

- A Jackie Danzig?

- Nie chciałem go zaniepokoić. Prowadziłem ciche śledztwo. Teraz, kiedy sam rozgłosił, co go łączyło z panią Hornszytk, mogę działać otwarcie.

- Jeśli był tej nocy w ogrodzie, możesz być pewny, że wyrzucił buty. Nie popełnij błędu. On nie jest głupi.

- Ja też nie.

- Benci, bijesz przesłuchiwanym?

- Nie.

- Tak myślałam. Przypuszczam, że sprawdzicie jej konto w banku, jej klientów i rodzinę.

- Tak.

Coś wyraźnie dręczyło Benciego. Jego odpowiedzi stawały się coraz krótsze, aż w końcu zamilkł zupełnie. Lizzi siedziała spokojnie. Tak samo zwykła siedzieć, kiedy osoba, z którą przeprowadzała wywiad, pogrążała się w myślach. Przez kilka minut milczeli oboje, wreszcie Lizzi pierwsza się odezwała:

- Znalazłeś odciski stóp Jackiego Danziga koło tej ławeczki?

- Lizzi, wywiad skończony. Mam pracę.

- To nie wywiad. Przyniosłam ci taśmę do przegrania.

- Poinformuję cię, jak będzie coś nowego.

- Mój ostrożny naczelny nie zgodził się na publikację tej historii o związku żony sędziego z pianistą żigolakiem. Szef Adulama nie miał takich zahamowań i „Dziennik” sprzedawał się dzisiaj dużo lepiej niż „Czas”. Kto jest temu winien? Lizzi Badihi! Arieli nie przyzna się do tego, że zdecydował nie drukować mojego tekstu. Powie, że w postaci, w jakiej go przyniosłam, nie nadawał się do druku, albo coś w tym rodzaju. Potrzebuję nowych informacji, inaczej Arieli przyśle tu Dorona Cementa.

- Dlaczego nie opublikujesz rozmowy, którą przeprowadziłaś w „Niebieskim Pelikanie”?

- Po tym, jak cała historia ukazała się w „Dzienniku”?

- Z drugiej ręki.

- Ty coś wiesz i nie chcesz mi powiedzieć.

- Lizzi, jestem zajęty.

- Co cię dręczy?

- Chcesz, żebym kazał cię stąd wyprowadzić?

- Jeśli coś ci opowiem w zamian, powiesz, o co chodzi?

- Co ty mi możesz opowiedzieć?

- Ty pierwszy, mój drogi.

- Co to ma być? Jesteśmy w przedszkolu?

Jednocześnie z okrzykiem Benciego rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Wchodzić! - wrzasnął Benci.

Lizzi nie dziwiła się już, że Bencijon Koresz nie bił przesłuchiwanym. Mając taki głos, nie musiał tego robić.

Przez szparę w drzwiach zajrzał Ilan-Sergio Bahut. Gdy spostrzegł Lizzi, na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zdziwienia. Lizzi uśmiechnęła się, chcąc mu uzmysłowić, że to zwyczajna przyjacielska pogawędka i krzyki Benciego nie świadczą jakichkolwiek nieporozumieniach.

- Potrzebujesz mnie? - zapytał Ilan Benciego.

- Będę ci niewymownie wdzięczny, jeśli zabierzesz stąd Lizzi.

- Chodź, Lizzi. Nie powinnaś zostawać, skoro jest w takim nastroju.

Kiedy Ilan się uśmiechał, w jego policzkach tworzyły się dołeczki. Lizzi nigdy nie rozumiała, jak Georgette mogła porzucić go dla Benciego. Wstała, wzięła dyktafon, włożyła go do torby i poszła za Ilanem, nawet nie żegnając się z Bencim. Pomogła mu w śledztwie i mógłby chociaż podziękować.

- Nie zaczynaj sama prowadzić dochodzenia! - krzyknął za nią.

- Zbieram materiał do artykułu o kulisach zbrodni.

- Z kim się spotkałaś?
- Nie twoja sprawa. Nie muszę cię wtajemniczać w moje sprawy. Co mi przyszło z tego, że opowiedziałam ci o Jackiem?
- To nie moja wina, że Arieli nie chce drukować twoich artykułów.

Lizzi wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Ilan czekał na korytarzu i mrugnął do niej wesoło. Z pokoju Benciego dobiegło wołanie:

- Lizzi!

Drzwi otworzyły się gwałtownie, lecz ona szła przed siebie, nie zwracając na to uwagi. Korytarzykiem dotarła do holu głównego.

- Czy Malka dzisiaj pracuje? - zapytała dyżurnego.

- Ma nocny dyżur.

Ilan odprowadził ją aż na ulicę. Gdzieś w głębi serca litowała się nad Bencim. Tu, na dworze, jest tyle przestrzeni, nad głową chłodne zimowe niebo, ulica tętni życiem, a on siedzi tam, w małej betonowej celi, i szuka rozwiązania zagadki. W tym momencie więzień betonowej celi pojawił się u szczytu schodów. Koszula wystawała mu ze spodni.

- Zadzwon do mnie wieczorem! - zawołał za nią. Potem krzyknął: - Ilan, chodź! - i zniknął z powrotem w czeluściach budynku.

- Czy on jest zawsze taki? - spytała Lizzi Ilana.

- Zawsze - odparł z dumą.

Rozdział 10

- Biedny sędzia - oświadczyła ciocia Klara, kiedy Lizzi skończyła opowiadać, nad czym teraz pracuje. - I biedne dzieci. Biedni jej rodzice i cała rodzina. Ona też biedna, niech spoczywa w pokoju.

Kot na kolanach ciotki podniósł łepkę, ziewnął, zwinął się w kłębek i ponownie zapadł w drzemkę.

Lizzi wpatrywała się w parasolki, kasety i klipsy, myśląc, że sędzia wcale nie jest biedny. Był w szoku, ale widać nie tak wielkim, skoro zdołał ją ostrzec, aby nikomu nie wyjawiała ich dziwnej przygody. Jakby strzeliło jej do głowy komuś o tym opowiadać! Tyle że teraz wszystko się skomplikowało. Tak jak zazwyczaj, gdy nie wiedziała, co zrobić, poszła odwiedzić ciotkę Klarę i wuja Jakowa, wypić herbatę rumiankową i wysłuchała wielu pożytecznych rad, jak należy dbać o cerę. Obserwowała przechodniów, kupiła kilka kaset magnetofonowych i czekała, aż wrócą do niej wydarzenia ostatniego dnia.

- Czy wiesz, kto ją zamordował? - spytała ciotka Klara.

- Nie.

- Podejrzewasz kogoś?

- Nie wiem. Może.

- Ludzie zabijają z dwóch powodów: z miłości i dla pieniędzy. Czasami też chodzi o honor.

- Bertolucci - wtrącił wuj Jakow - dyrygent orkiestry strażackiej w Aleksandrii, zamordował dowódcę milicji, kiedy tamten przegrał w pokera swoją siostrę i nie chciał mu jej oddać.

Wuj Jakow odzywał się rzadko, lecz jego wypowiedzi zawsze wywierały wrażenie na słuchaczach. Cała trójka pogrążyła się w myślach.

- Zabrał miecz z operowej rekwizytorni - wuj Jakow przypomniał sobie dodatkowy szczegół.

- Czy do waszego sklepu przychodzą też Filipinki?

- Do nas przychodzą ludzie z całego świata, Lizzi.

- U Hornshtyków pracuje Filipinka.

- W zeszłym tygodniu była tu jedna i kupiła perełki. Na pewno ich służąca. Ale dlaczego pytasz?

Ciotka Klara miała oczywiście rację. To o niczym nie świadczyło.

Kiedy Lizzi się dowiedziała, że Benci znalazł zakrwawione prześcieradło i aresztował małą Filipinkę, zapragnęła porozmawiać z Hornshtykiem. Obawiała się jednak, że jej odwiedziny zaraz po aresztowaniu służącej wzbudzą podejrzenia. Nie miała wątpliwości, że chłopcy inspektora

zapisują dane każdego, kto wchodzi lub dzwoni do domu Hornszyka. Nakazała więc sobie nie działać pochopnie, choć rozsadzała ją chęć, żeby pobiec do Benciego i wyrwać z jego rąk Marian Ortegę-Ramon. Tak jest, Filipinka miała imię i nazwisko, nawet całkiem wymyślne. Czy w całej Beer Szewie znajdzie się druga Marian Ortega-Ramon? Kręciła się między gośćmi w białym fartuszk, podając wino i słone ciasteczka, i nikt nawet nie przypuszczał, że ma takie królewskie nazwisko.

Lizzi doszła do wniosku, że nie powinna pokazywać się Benciemu, dopóki nie zapanuje nad własnymi emocjami. Wsiadła do samochodu i pojechała do Domu Kultury na wernisaż. Jeśli wystawa twórczości miejscowych artystów będzie tego warta, napisze o niej artykuł, jeśli nie - wystarczy krótka informacja. W każdym razie lepiej, żeby miała jakieś zajęcie na najbliższe kilka godzin.

W sali wystawowej Domu Kultury dostępu do jednej ze ścian bronił sznurek. Na przyklepionej do podłogi kartce widniało nazwisko artysty: Willi Achinoam. Lizzi nie wiedziała, czy ściana i sznurek stanowią eksponat, czy też ściana została świeżo pomalowana, a kartka przetrwała z poprzedniej wystawy.

- To eksponat - szepnął ktoś za jej plecami.

Adulam?! Nie, ktoś inny! Twarz miał porytą zmarszczkami, ale w jego oczach tańczyła łobuzerska iskierka.

Willi Achinoam miał około sześćdziesiątki, nosił niebieskie, trochę za krótkie robocze spodnie i ciężkie buty. Całości dopełniała nieporządna siwiejąca broda. Wyglądał, jakby pracował w oborze, i istotnie - okazało się, że pracuje w oborze w kibucu Sade Oznaja, z którego pochodziła Sziboleet. Razem z nim swoje dzieła wystawiały Szoszana, pielęgniarzka, i Chanita, była ceramiczka. Wszyscy troje byli uczniami artystki z Minnesoty, Gertrude Fisch, która uwierzyła w ogromny potencjał twórczy mieszkańców Negewu i nie omyliła się.

- W naszej świadomości pustynia to bezmiar piasków - mówiła z ogniem w oczach dziennikarzom zapisującym pilnie każde słowo. - Nie! Negew to też skały i rośliny! Trzeba tylko być uważnym. Przyglądać się. To najważniejsza rzecz, jakiej nauczyliśmy się na naszych warsztatach. Patrzyć!

Lizzi uczyła wstyd. Negew był jej jedynym otoczeniem, odkąd się urodziła, i nie przyglądała mu się specjalnie.

- Czy waszą wystawę można określić jako protest? - zapytała francuska dziennikarka.

- Można - odparła Gertrude Fisch i zacisnęła usta. Widać było, że to słowo nie oddaje ogromu protestu. - Jest w nas wiele gniewu. Chcieliśmy go w ten sposób wyrazić.

Na twarzach dwóch artystek pojawił się wyraz złości, kiwały głowami i wysunęły podbródki, lecz Willi Achinoam otworzył tylko szerzej niebieskie oczy; wyglądał jak ornitolog, któremu zakłócono obserwację szpaków.

Gertrude Fisch tłumaczyła ideę wystawy. Nie ma sensu po raz kolejny naśladować naturę, mówiła. Lepiej robi to aparat fotograficzny. Albo ludzkie oko. Oni zaś pragną osiągnąć cel za pomocą najprostszych środków. Każda nowa asocjacja tworzy kolaż. Każdy ma swoją fakturę. To oczywiste. W Ameryce dawno już zrozumieli, że artysta epoki atomowej może tylko umieścić materiały w pustej przestrzeni.

Tylko u nas jeszcze tego nie pojęto. Ma nadzieję, że ta wystawa da początek nowej drodze.

Grupa dziennikarzy - około dziesięciu mężczyzn i kobiet - przyglądała się małej wydmie, która przegradzała pomieszczenie. Gertrude wyjaśniła, że światło wpadające przez okno w każdej chwili odmienia piasek. Stąd tytuł tego dzieła: Czas. Następny eksponat nosił tytuł Poemat: stos kamieni, kawałek sznurka i nakrętka od butelki z ketchupem. Cywilizacja w zderzeniu z naturą. Artystka powiedziała, że nie można ignorować tego, co się dzieje dookoła. Wszyscy poczuli wyrzuty sumienia.

- Faktura była dla nas bardzo ważna - szepnęła Szoszana, pielęgniarzka.

Wszyscy się z nią zgodzili i pokiwali głowami.

Chanita dodała, że było jej z początku trudno, ponieważ wcześniej zajmowała się inną dziedziną twórczości. Ale pracować razem z Gertrude to wielki przywilej.

Spojrzenia Lizzi i Adulama spotkały się. Odniosła wrażenie, że sobie z niej podkpiwa.

Szoshana pracowała w piasku, Chanita wykorzystywała odpadki przemysłowe, natomiast Willi był minimalistą. Twórczość całej trójki miała, oczywiście, wydźwięk polityczny. Należy skończyć z milczeniem, zwłaszcza tu, w Negewie!

- Słyszałaś o Filipince? - zapytał Adulam, kiedy wyszli z Domu Kultury.

- Tak - odpowiedziała Lizzi.

- Nie wierzę, żeby to ona zamordowała panią Hornszyk.

- Ja też nie.

- To dlaczego została aresztowana? Mogli ją przesłuchać i odesłać do domu. Co o tym mówi Bencijon Koresz?

- Nie rozmawiałam z nim.

- To cię nie interesuje?

- Nie interesuje mojego szefa.

- Chyba żartujesz.

Lizzi wzruszyła ramionami. Stała przy wejściu do budynku i czekała na Willego Achinoama.

- Chodź, zjemy obiad w „Coco”.

- Chcę porozmawiać z tym artystą.

- Och, Lizzi, nie wmawiaj mi, że przełknęłaś te bzdury, które opowiadała nasza kapłanka z Minnesoty. Nie jesteś głodna?

Willi Achinoam wyszedł z Domu Kultury i wpatrzył się w przestrzeń niebieskimi oczami, które wyglądały jak oślepienie nadmiarem światła. Towarzyszyła mu energiczna kobietka o różowych policzkach, prawdopodobnie żona. Lizzi przedstawiła się i spytała, czy może go kiedyś odwiedzić w kibucu i porozmawiać o jego pracy. Żona Willego zarumieniła się ze wzruszenia.

On sam jednak uważał, że jego twórczość nie dojrzała jeszcze do tego, żeby ją pokazywać szerokiej publiczności. Lizzi wytłumaczyła, że nie jest publicznością, a na pewno nie jest krytykiem. Ostatecznie przekonał go fakt, że znała Szibolet i była prawie jej szefową, a także miała samochód i zaofiarowała się odwieźć ich do domu.

Adulam zachował się wzorowo. Pomógł im wsiąść do samochodu i zamknął za nimi drzwi. Następnie poczekał, aż Lizzi usadowi się za kierownicą i zapnie pas. Do tego stopnia irytował ją swoimi dobrymi manierami, że zbyt gwałtownie ruszyła i omal nie stuknęła zaparkowanego przed nią pojazdu.

Rozdział 11

Rzeźby Willego Achinoama stały w starej szopie dla kaczek i różniły się bardzo od minimalistycznych prac prezentowanych w Domu Kultury w Beer Szewie. Na kawałkach piaskowca, uzbieranych w Maktesz Arif, wyrzył - według słów swojej żony - dzieje kampanii synajskiej. Jafa opowiedziała, że poznali się, gdy oboje służyli w armii podczas wojny o niepodległość. Ona, nowa imigrantka z Austrii, i on - kierowca z Gadery.

- To jej nie interesuje - szepnął Willi, wpatrując się oczami zbolącej Madonny w swoją żonę.

- Ależ przeciwnie! Właśnie to mnie interesuje - powiedziała Lizzi, myśląc, że zapewne ani jedno słowo z tej rozmowy nie trafi do druku. Może przy innej okazji, w innym kontekście...

Zanotowała tytuły rzeźb, co przedstawiają i szczegóły biografii rzeźbiarza. Z trudem mówił o sobie. Odpowiadał niechętnie i żona co chwila spieszyła mu z pomocą.

- Chodźmy napić się kawy - zaproponował w końcu.

Przed wejściem do domu Willego i Jafy był mały ganek. Stały na nim buty robocze, drewniaki i kalosze, wiaderka i szczotka. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, małej kuchenki i prysznica. Tu i ówdzie widać było figurki nagich kobiet, do których - jak się wydawało - pozowała Jafa. Lizzi zastanawiała się, czy mają dzieci.

- To dawny dom dla starych kibucników - wyjaśniła Jafa, przygotowując kawę. - Już na jesieni mieliśmy przeprowadzić się do nowego, ale ktoś coś pomieszał w budżecie i wciąż czekamy.

- Przeprowadzimy się - uspokajał Willi. Najwyraźniej był to drażliwy temat.

- Będziecie mieli wtedy więcej pokoi? - spytała Lizzi.

- Nie. Tam też będą dwa. Ale przestronniejsze. Wszystko będzie nowe i sami sobie wybierzemy wyposażenie kuchni i łazienki. Pięć rodzin zdążyło się przenieść i akurat my

zostaliśmy. Nie wierzę już, że cokolwiek z tego wyjdzie. I nie tylko my jesteśmy poszkodowani. Także młode małżeństwa, które miały zamieszkać w naszych domach. Na razie tłoczą się w domach dla młodzieży.

- My nie mieliśmy nawet tego, kiedy tu przyjechaliśmy - powiedział Willi miękko.

- Czasy się zmieniły, Willi. Wielkie są pokusy z zewnątrz. Powinniśmy się cieszyć, że młodzi w ogóle chcą tu zostawać. Proszę. Ciasto z figami. Sama upiekłam.

Kawa, przed chwilą nalana, była mocna i smaczna. Jej aromat wypełnił całe mieszkanko. Ciasto figowe rozpląwało się w ustach. Lizzi uśmiechnęła się do Jafy i żując, mamrotała tylko: „Pyszne, pyszne”. Policzki kobiety oblały rumieniem.

- To ciasto bez jajek i cukru - zdradziła tajemnicę jego miękkości. - Jeszcze trochę?

- Tak, proszę. Wspaniałe ciasto.

- Zaraz idziemy do stołówki - powiedział Willi. - A potem muszę zajrzeć do obory.

- Przecież dostałeś dzień wolny - przypomniała mu żona z wyrzutem.

- Ale wróciliśmy na czas. - Posłał jej spojrzenie, od którego topniało serce.

W drodze do stołówki pokazali Lizzi nowe domy, przeznaczone dla starszych kibucników.

- Zatrudniliśmy najlepsze firmy budowlane - powiedziała Jafa. - Architekt i pani inżynier przyjechali tutaj i rozmawiali ze wszystkimi, żeby zaprojektować domy, które pasują i do krajobrazu, i do charakteru kibucu. Widzi pani? Każdy dom jest osobną jednostką i jeśli ktoś nie chce, może w ogóle nie spotykać sąsiadów. A mimo to są połączone. Nazywamy to osiedle „Ul”.

Jafa zamilkła nagle i popatrzyła na męża. Po chwili dodała:

- Zamordowano ją kilka dni temu.

- Aleksandrę Hornszyk? - spytała Lizzi.

- Tak - odparła Jafa. - Znała ją pani?

- Widziałam ją tylko raz, w ten wieczór, kiedy została zamordowana. Kto tutaj utrzymywał z nią kontakt?

- Zarząd. Komisja budowlana. I my, starsi kibucnicy, spotkaliśmy się z nią dwa razy. No i Szajke, oczywiście.

- Szajke?

- Nasz syn. Jest skarbnikiem. Co za straszna historia! Młoda, zdolna kobieta! Trudno to pojąć.

- Co mówi Szajke?

- Jest w szoku - westchnęła Jafa. - Cała odpowiedzialność spoczywa na nim. Wszystkie pożyczki i oszczędności!

- To nie jego wina, że ją zamordowano.

- Tak, ale co z pieniędzmi, które znikły?

- Nie znikły. Wszystko się wyjaśni. - Willi był wyraźnie zły na żonę. Wydłużył krok, jakby złość udzieliła się nawet jego roboczym butom i wystającym z cholewek skarpetkom. Widziały teraz tylko jego plecy.

- Willi nie jest w stanie zmierzyć się z rzeczywistością - powiedziała Jafa. - Ludzie tu są dobrzy, każdy lubi pracować, panuje równość, powietrze mamy świeże, a przyszłość różową. Gertrude Fisch miała rację. Trzeba umieć patrzeć.

W stołówce Lizzi poznała Szajkego Achinoama. Był niski i energiczny jak matka i miał niebieskie oczy ojca, ale pozbawione tego wzruszającego, naiwnego wyrazu. Kiedy zjedli smażoną rybę, Lizzi zapytała, czy mógłby jej poświęcić pół godziny, ponieważ zbiera materiały do artykułu o Aleksandrze Hornszyk. Szajke był zajęty. Oczekiwano go w biurze. Hodowca mango chce się poradzić w sprawie plagi jeżozwierzy, a o trzeciej ma przyjechać przedstawiciel „Agrocasco” na rozmowę wstępną o uprawie papai. O czwartej zbiera się u niego Rada Projektów. Jafa zaproponowała więc Lizzi, żeby odpoczęła u nich w domu, aż będzie wolny. Willi natomiast powiedział, że niedobrze jest prowadzić po ciemku, i zasugerował Szajkemu, żeby zmienił kolejność spotkań. Zanim zjedli pomarańcze, Szajke zgodził się umieścić Lizzi przed hodowcą mango.

Kiedy znaleźli się w biurze skarbnika, wyzbył się tej odrobiny grzeczności, którą starał się zachować w obecności rodziców. Oskarżył Lizzi, że wykorzystała ich naiwność, aby dostać się do kibucu i węszyć w jego sprawach wewnętrznych. Oświadczył też gwałtownie, że nie przyłoży ręki do oszustw dziennikarzy. Lizzi zaprotestowała. Poszła na wystawę, nie wiedząc, kim są artyści. Jest niesprawiedliwy. Gdyby chciała przyjechać do Oznai i „węszyć w sprawach wewnętrznych”,

zrobiłaby to już wcześniej z pomocą Szibolet. Jest gotowa wstać i pójść sobie w każdej chwili. Lecz jego reakcja dowodzi, że istotnie coś jest nie w porządku.

Otworzyły się drzwi i z sąsiedniego pokoju wyszedł Ido Gabrielow, sekretarz kibucu. Około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, drobny, z twarzą pomarszczoną i bladą jak u kogoś, kto w dzieciństwie był niejadkiem. Zapytał, co to za hałas.

- Nie mamy co ukrywać, Szajke - rzekł, gdy ten wyjaśnił mu, o co chodzi. - Niepotrzebnie się złościś. Trafia do nas, czy tego chcemy, czy nie. Jeśli nie znajdzie się żaden motyw osobisty - nieszczęśliwa miłość, zdrada, diabli wiedzą co jeszcze - policja zacznie sprawdzać interesy Aleksandry Hornszyk. Chyba że popełniła samobójstwo.

- Ona się nie zabiła - powiedziała Lizzi.

- Nie. Nie była typem samobójczyni - zgodził się z nią Ido.

- A jeśli rzeczywiście znajdzie się motyw osobisty... - nie ustępował Szajke. - Nie ma sensu wywoływać wilka z lasu.

- Ale wilk już został wywołany. Lepiej przekazać informacje na twoich warunkach niż przeciwnika. Brakuje nam pół miliona dolarów w kasie!

- Nie chcę z nią rozmawiać i nie zgadzam się, żebyś ty to robił. - Głos Szajkego drżał ze zdenerwowania. - A jeśli się przy tym upierasz, będziesz musiał mieć zezwolenie zarządu na udzielenie wywiadu.

- To jest terror! - Ido wypluł to słowo, jakby pozbywał się pestki, która utkwiała w gardle.

- No wiesz, Ido! Daj spokój! Po co te wielkie słowa? Mamy problem. Jesteś w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność? Chcesz trzęsienia ziemi? Proszę bardzo, ty z nią rozmawiaj. Ale nie tutaj i nie teraz. Jestem zajęty.

Ido zbladł, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i wyszedł z pokoju.

- W jaki sposób zginęło wam pół miliona dolarów? - spytała Lizzi. Wiedziała, że go prowokuje, ale co jeszcze mógł jej zrobić? Uderzyć?

Szajke wyglądał tak, jakby naprawdę miał taki zamiar. Zwrócił się w jej stronę wściekły, jego oczy płonęły niebieskim ogniem.

- Wy, dziennikarze - syknął ze złością - krwiopijcy.

- Jestem osobą pracującą i uczciwie utrzymuję się z własnej pracy. Sama zapłaciłam za studia i za każdą kromkę chleba, którą zjadłam, odkąd wyszłam z wojska dziesięć lat temu. Nigdy jeszcze nie wyciągnęłam informacji od kogoś, kto nie wiedział, kim jestem i czemu o to pytam. I są to najdłuższe przeprosiny, jakie kiedykolwiek wygłosiłam.

Wyraz twarzy Szajkego nieco złagodniał. Lizzi dostrzegła, że jego oczy mimo wszystko przypominają oczy ojca. W tej samej chwili rozległo się pukanie i do pokoiku weszło trzech mężczyzn. Jeden z nich, hodowca mango, przedstawił Szajkemu pracownika rezerwatu przyrody, który trzymał w ręku pustą pułapkę na jeżozwierze, oraz agenta ubezpieczeń dla rolników.

- Chcesz, żebyśmy poczekali na zewnątrz? - zapytał hodowca.

- Nie, nie. Przyszliście w samą porę, siadajcie - powiedział Szajke. - Właśnie skończyliśmy.

Rozdział 12

Lizzi usłyszała pisk pagera, jeszcze zanim doszła do samochodu. Odkryto, kto poplamiał prześcieradło Filipinki - pomyślała przestraszona. Weszła do jakiegoś budynku, który wyglądał jak fabryka śrub, i spytała, czy może skorzystać z telefonu.

- Badihi, gdzie jesteś?

- W kibucu Sade Oznaja.

- Co tam robisz?

- Przeprowadzałam wywiad z rzeźbiarzem amatorem.

- Dlaczego nie bierzesz ze sobą pagera?

- Co mi to tutaj da?

- Badihi! A jeśli Egipcjanie zbombardują Beer Szewę?

- Czy Egipcjanie zbombardowali Beer Szewę?

Usłyszała jakieś trzaski i ucieszyła się, że nie rozumie, co Arieli odpowiedział. Jeszcze gotów podbić jej serce swoim kwiecistym językiem! Cierpliwie czekała na dalszy ciąg rozmowy.

- Aresztowano Filipinkę od Hornszyków.
- Wiem.
- Informacja pojawiła się w „Dzienniku”.
- Myślałam, że nie chce pan publikować niczego, co dotyczy tej historii.
- Pozwól mi decydować samemu, co chcę publikować, a czego nie.
- Dobrze.
- Badihi!
- Tak?

- Nie baw się ze mną. Do tej pory miałaś dla mnie jedynie plotki i pogłoski. Aresztowanie Filipinki to fakt, który można sprawdzić. Wyślij wiadomość.

- Dobrze.
- Uśmiechnęła się do siebie. Niech Arieli się trochę pomęczy.

- Badihi!
- Tak?
- Co robisz w Sade Oznai?

Postanowiła nie przeciągać struny i opowiedziała mu o powiązaniach Aleksandry Hornszyk z kibucem.

- Myślisz, że pieniądze, które kibuc zapłacił Aleksandrze, znikły?
- Tak.
- Ktoś je ukradł?
- Nie wiem.
- O jakiej sumie mowa?
- Pół miliona dolarów.
- Czeki bez pokrycia?
- Nie. Pieniądze znikły gdzieś w drodze między kibucem a panią Hornszyk.
- To sensacyjna wiadomość - powiedział Arieli.
- Wyśłać coś?
- Nie masz dowodów.
- Mogę zacytować rozmowy, które tu słyszałam.
- I narazić się na sprawę o oszczerstwo?

Arieli rozłączył się, zostawiając Lizzi z tym pytaniem jakieś dwadzieścia kilometrów od Beer Szewy. Czy on tak samo traktuje kolegów z redakcji w Tel Awiwie? Uderza i znika?

Kiedy przeprowadzili się do nowej siedziby, wyświadczył im łaskę. Przyjechał do Beer Szewy z właścicielem gazety, Perlmuterem, panem Zewulunem, kierowcą, i panią Diną, odpowiedzialną za redakcyjne komputery. Wypili koniak, zjedli małe kawałeczki śledzia, oliwki i burekas, a na zakończenie uraczyli się sokiem pomarańczowym, który stał się już prawie symbolem ich zawodu. Specjalistka od komputerów, kobieta około czterdziestki, z powiekami umalowanymi jaskrawym niebieskim cieniem, myślała - oczywiście - że Lizzi jest kelnerką. Poprosiła ją, żeby podała kawę, ponieważ muszą już wracać do Tel Awiwu. Lizzi poszła przygotować kawę, a kiedy wchodziła do pokoju z tacą w rękę, pan Ocet, Gedalia Arieli, życzył powodzenia Prosperowi Parparowi, szefowi drukarni, który też został zaproszony na małe przyjęcie.

Kilka miesięcy później pojechała do Tel Awiwu i udała się piechotą do Bejt Sokolow, mekki dziennikarzy. Arieli siedział za jednym z biur, jedząc udko kurczaka i kiszony ogórek. Dwóch tytanów izraelskiej prasy, legendarnych mistrzów pióra, stało nad nim i rozmawiało o czymś artykule, który - przynajmniej według ich opinii - okazał się kompletną klęską. Dyskutowali wesoło i energicznie, wyjadając kromki chleba z talerza Arielego. Powiedziała: „Dzień dobry, panie Arieli”, a on odpowiedział: „Cześć, cześć”. Ich spojrzenia spotkały się jedynie na ułamek sekundy, ale Lizzi była pewna, że jej nie poznał i uważa ją najwyżej za kolejne zagrożenie dla swojego posiłku.

Trzeba przyznać, że był z nią cały czas w kontakcie. Odnajdywał ją o każdej porze i w każdym miejscu, mówił, co miał do powiedzenia, i rozłączał się. Lizzi obiecała sobie, że kiedyś, raz jeden, to ona rzuci słuchawkę. Nawet jeśli będzie ją to kosztowało utratę pracy.

Teraz, kiedy Arieli polecił jej przysłać notatkę o aresztowaniu Filipinki, miała pretekst, żeby ponownie odwiedzić dom Hornszyka. Poczucie sprawiedliwości kazało jej ratować dziewczynę przed śledztwem, w które sama ją wplątała. Wiedziała jednak lepiej niż inni, że Marian Ortega-

Ramon jest absolutnie niewinna, więc prawdopodobnie i tak zostanie uwolniona. Natomiast składając zeznanie, nie tylko pogrążyłaby siebie, lecz także rzuciłaby cień na dobre imię sędziego. Lizzi przyznała się w duchu, z całą uczciwością i logiką, na jaką było ją stać, że ten człowiek jej nie szantażował ani do niczego nie zmusił. Gdyby chciała, mogłaby odrzucić jego zaloty. Jeżeli w ogóle tym słowem można określić to niesmaczne wydarzenie, o którym z całej siły starała się zapomnieć. Choć prawdę mówiąc, to on się zachował, jak nie przystoi sędziemu okręgowemu, a nawet sędziemu pokoju, który przecież powinien panować nad swoimi żądzami. Kim jednak jest ona, żeby go osądzać? Zdecydowała, że pojedzie prosto do domu Hornszytyka. Potem napisze dwieście słów o wystawie w Domu Kultury i może doda trochę informacji o Willim Achinoamie, rzeźbiarzu z kibucu. W podzięce za ciasto figowe.

Rodzina nadal obchodziła żałobę i Neeman Aszbel powitał gościa z równą serdecznością co poprzednim razem. Lizzi zastanawiała się, czy rzeczywiście każdy człowiek jest zły z natury, czy też to może w niej jest coś, co budzi w innych wrogość. Hornszytyk siedział na fotelu, w tej samej niemal pozycji co trzy dni wcześniej. Urosła mu broda i jego twarz zaczęła przypominać pole u schyłku lata, kiedy spod uschniętych traw wyglądają małe spłachcie piasku. Obok niego siedziała elegancko ubrana para i mówiła coś przyciszonymi głosami. Wyglądali na przyjaciół sędziego. Nie spojrzął w jej stronę, ale wiedziała, że ją zauważył. Policjant, którego nie znała, zapytał Aszbelą, czy Lizzi jest krewną, a wtedy kochany Ilan-Sergio Bahut podskoczył i zapewnił, że „wszystko w porządku”. Wyciągnęła Ilana do przedpokoju i wyjaśniła, że jej naczelny chce mieć relację o aresztowaniu Filipinki. Zapytała, czy jest coś nowego w sprawie i gdzie się podziewa Benci. Urodziwa twarz Ilana spochmurniała.

- Nie zadawaj mi pytań, Lizzi. Nie wiem, co mi wolno powiedzieć. Narażasz mnie.
- Opowiedz mi tylko to, o czym wszyscy wiedzą.
- Benci mnie powiesi.
- Zakazał ci ze mną rozmawiać?
- Z tobą? Co znowu!
- Odpowiedz mi: tak czy nie.
- Wszyscy tu widzą, że z tobą rozmawiam. Jeśli zdobędziesz informacje z innego źródła i je opublikujesz, jak udowodnię, że to nie ja? Zrób mi przysługę, kochanie, i zostaw mnie w spokoju.

Lizzi chciała się już wycofać, lecz nagle coś sobie przypomniała.

- Był tu dzisiaj Adulam?
- Kto to? Reporter z „Dziennika Południa”? Tak. Pojechał z Bencim.
- Dokąd?
- Nie wiem. Może na komendę. Albo po prostu Benci go gdzieś podwoził.
- On ma skuter.
- Tak?
- Odszukaj Benciego. Ja tymczasem porozmawiam z Hornszytykiem.

Elegancko ubrani ludzie wstali w momencie, gdy Lizzi się zbliżyła, jak gdyby zadowoleni, że ktoś w końcu ich wybawił od przykrego obowiązku. Uścisnęli rękę Hornszytyka, powiedzieli „musisz być silny, Pinchas” i „jeśli będziesz czegoś potrzebował, Pinchas”. Sędzia, najwyraźniej już do tego przyzwyczajony, wymruczał rutynowe słowa podziękii w swoją słomianą brodę i zatonął z powrotem w fotelu. Lizzi zdecydowała, że szkoda każdej chwili i lepiej się pospieszyć, zanim kolejny gość zacznie pocieszać wdowca.

- Co powiedziałaś policji o zakrwawionym prześcieradle?
- Nic.
- Przecież wiesz, że twoja służąca jest niewinna.
- Jeśli jest niewinna, to ją uwolnią.
- Nie zareagowałeś?
- Ona jest w Izraelu nielegalnie. Jedyne, co mogłem dla niej zrobić, to siedzieć cicho. Nie przychodź tu więcej.

Był bardzo spokojny. Zgarbione ramiona, przymknięte oczy, ręce złożone na kolanach. Lizzi zastanawiała się, czy uprawia medytację.

- Jeśli zostanie oskarżona o zamordowanie twojej żony, powiem, skąd się wzięła krew na prześcieradle.

- Nie zostanie oskarżona. Dlaczego miałyby ją zabić? Jestem pewien, że to nie ona. Nie ma powodu, żeby wplątywać w to ciebie lub mnie. Znajdą mordercę. Prędzej czy później, ale znajdą.
- Ale jak ona wytłumaczy krew na swoim prześcieradle?
- Moja żona zginęła od strzału w tył głowy. Jedno z drugim nie ma żadnego związku. Dziewczyna nie musi nic tłumaczyć.

- To dlaczego została aresztowana na czas śledztwa?

- O to spytaj policję.

- Niektórzy uważają, że twoja żona ukradła pół miliona dolarów.

Hornszyk spuścił wzrok. Milczał tak długo, że Lizzi uznała, iż nie usłyszał jej ostatniej uwagi. Wpatrywała się w jego powieki, zastanawiając się, czy znowu powtarza mantrę i jak ona brzmi. Pieniądze, pieniądze, pieniądze? Czy: Aleks, Aleks, Aleks?

- Chciałabym porozmawiać z ludźmi w jej biurze - powiedziała Lizzi, kiedy się zorientowała, że sędzia nie zamierza przerwać milczenia. - Mam nadzieję, że się nie sprzeciwisz.

- Kto tak twierdzi? - zapytał w końcu.

- Kibuc Oznaja.

- Kto?

- Aleksandra projektowała tam osiedle domków dla starszych kibucników. Zapłacili jej i pieniądze znikły. Część pieniędzy.

- Skąd to wiesz?

- Właśnie stamtąd wracam.

W końcu otworzył oczy i popatrzył na nią. Jego spojrzenie wyrażało tyle smutku, że Lizzi pożałowała swoich słów. Przez chwilę wspomniała ciężar jego ciała, brązowe piegi na plecach, miękkie włosy na karku, zdziwienie i frustrację mężczyzny, który poszedł do łóżka z dziewczyną.

- Przykro mi.

- To nie twoja wina - wymruczał.

Zauważyła, że nie zaprotestował przeciwko jej wizycie w biurze Aleksandry. Może myślał, że w jakiś sposób pomoże w śledztwie?

- Benci czeka na ciebie w swoim biurze - powiedział Ilan, który stał przy wyjściu. - Powiedz mu, żeby nam przysłał kanapki. Odkąd aresztowali służącą, nikt o nas nie dba.

- Dobrze, mój drogi.

- Odkryłaś coś?

- Nie rozmawiaj ze mną. Jeszcze ktoś pomyśli, że przekazujesz mi informacje.

Wsiadła do samochodu, opanowując uśmiech. Ilan wyglądał jak mały chłopiec, którego przyłapano na siusianiu w krzakach.

Rozdział 13

Ciotka Malka była na dyżurze. Kiedy ujrzała Lizzi, pokręciła głową i przewróciła oczami jak u lalki, bardzo czarnymi i błyszczącymi, w których żywo odbijały się smutek, śmiech i złość.

Była prostolinijna, nie potrafiła ukrywać uczuć i miała z tego powodu wielu wrogów, również wśród krewnych. Lizzi lubiła, ponieważ uważała ją za „człowieka pracy”. A ciotkę Malkę cechowała silna świadomość społeczna.

- Benci jest zły - powiedziała Malka.

- Siedzi w swoim pokoju?

- Tak.

- Jest z nim Adulam?

- Nie. Wyszedł jakieś pół godziny temu.

- Ilan prosi o kanapki.

Bencijon Koresz powitał ją niepokojąco serdecznie. Lizzi postanowiła z miejsca zaatakować.

- Opowiedziałeś Adulamowi o filipińskiej służącej?

- Nie wiem, skąd miał informacje. Rzecznik prasowy potwierdził tylko to, co Adulam już wiedział.

- Przyniosłam ci taśmę z rozmową z Jackiem Danzigiem. Mogłeś mi wtedy powiedzieć o aresztowaniu.

- Nie została aresztowana. Przesłuchaliśmy ją i odesłaliśmy do domu.
- Właśnie stamtąd wracam. Nie widziałam jej.
- Pewnie ociera łzy w swoim pokoju. Wiem, że stamtąd wracasz. Powiedz mi, kochana Lizette
- zagadnął Benci słodko - czy ty prowadzisz prywatne śledztwo równoległe z naszym?

- Nie, dlaczego?

- Bo gdziekolwiek się zjawię, okazuje się, że ty już tam byłaś.

- Co masz na myśli?

- Przestań udawać! - Benci nagle wydał z siebie ryk, który przejął ją do szpiku kości.

Lizzi siedziała cicho i myślała, że ma dość tych wiecznych wrzasków. Najpierw Szajke, potem Arieli, a teraz Bencijon Koresz. Dosyć!

- Jeśli jeszcze choć raz na mnie krzykniesz, wstanę i wyjdę. Przyszłam tu z własnej woli. Pracuję tak samo jak ty. I mam dla ciebie wiadomości, potrzebujesz mnie nie mniej niż ja ciebie. Nie chcesz, żebym tu siedziała? Nie krzycz. Powiedz. Ja i tak dowiem się, czego zechcę.

Benci zamachał rękami. Widać było, że naprawdę dobrze się bawi. Lizzi patrzyła na niego i myślała sobie, że gdyby się tak nie bała, to uderzyłaby go w twarz.

- Nie mam pojęcia, jak Georgette z tobą wytrzymuje.

Teraz naprawdę go rozbawiła. Ze śmiechu pewnie spadłby z krzesła, ale w pokoju nie było na to dość miejsca.

- Spałaś z Jackiem?

- Co?!

- Słyszałaś, co powiedziałem.

Lizzi gwałtownie wstała i skierowała się do wyjścia, ale Benci był bardziej doświadczony i szybszy. Posadził ją z powrotem na krzesło i zamknął drzwi.

- Jeszcze nie skończyłem.

- To oficjalne przesłuchanie?

- Już ci raz powiedziałem, w tym pokoju wszystko jest oficjalne.

- Masz nakaz?

- Rozśmieszasz mnie.

- Nie spałam z Jackiem Danzigiem.

- Jesteś dziewczyną?

- To nie twoja sprawa.

- Lizzi!

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie. Co to ma wspólnego z zabójstwem Aleksandry Hornszyk? Jackie ci powiedział, że spał ze mną?

- Nie.

- To czego ode mnie chcesz? Wytłumacz mi!

- W pojemniku na śmieci stojącym na skraju osiedla znaleźliśmy zakrwawione prześcieradło. Pozornie to nie ma związku. Pani Hornszyk zginęła od strzału w tył głowy. Sprawdziliśmy jednak i okazało się, że prześcieradło zostało zdjęte z łóżka Marian, filipińskiej służącej. Były na nim ślady krwi i spermy. Podejrzewamy, że w noc morderstwa ktoś... hmm... kochał się na jej łóżku z dziewczyną. Myśleliśmy, że to Filipinka. Jednak ona mówi - i nie widzę powodu, żeby jej nie wierzyć - że sama wrzuciła prześcieradło do kubła na śmieci. Przestraszyła się, kiedy zobaczyła na nim krew właśnie w noc morderstwa. Marian jest rozwiedziona i z pewnością od dawna nie jest dziewczyną. Badał ją lekarz. Ile dziewczyn może się znaleźć na takim przyjęciu? Wyszłaś wcześniej, więc pomyślałem, że Jackie cię uwiódł, a ty się przestraszyłaś i uciekłaś do domu. Córka Hornszyków ma dwanaście lat. Kelnerki były zajęte. Kto pozostaje?

- Przykro mi. Jackie nie spał ze mną.

Lizzi odetchnęła głęboko. Cieszyła się, że mała Filipinka wydostała się z rąk Benciego i wróciła do domu. Zabraknie jednego elementu w jego łamigłówce!

- Czy Adulam wie, że ją zwolniliście?

- Tak

- Szkoda. Mój naczelny, Arieli, łaskawie zdecydował się opublikować historię o tym przesłuchaniu.

- A czego nie zgodził się opublikować?

- On pozwala publikować tylko te historie, które można sprawdzić. Boi się pozwu o oszczerstwo. Jak można tak pracować? Nie mogę cały czas pisać o otwarciu supermarketu albo poświęceniu synagogi. Czy odkryliście coś nowego podczas przesłuchania Filipinki?

- Przebywa w Izraelu bez wizy, ale sędzia za nią poświadczył. Twierdził, że to żona przyjęła ją do pracy, a on nic nie wiedział o okolicznościach. Nie chcę mu komplikować życia właśnie teraz. Na marginesie, włączyłaś dyktafon?

- Zawsze mam włączony dyktafon.

- Nie rozpowszechniaj tej historii z pozwoleniem na pracę. Przymknęliśmy oko.

- O czym mogę napisać?

- Filipinkę przesłuchaliśmy tak jak wszystkich, którzy znajdowali się wtedy w domu. Nie podejrzewamy jej i została zwolniona. Lizzi, to jest mrówcza praca. Tam było ponad osiemdziesiąt osób.

Lizzi nie wierzyła w westchnienie, które wydobyło się z ust szwagra. Praca była jego największą radością. Miał pognieciony kołnierzyk, a z kieszonki koszuli odpadł guzik. Widocznie przy Georgette nie był taki pedantyczny.

- Byliście w biurze Aleksandry Hornszytk?

- Tak.

- I?

- Co odkryłaś w kibucu?

- Adulam! - wykrzyknęła Lizzi ze złością, aż zatrzęsły się plastikowe kolczyki.

Pomyślała, że nadszedł czas, aby jechać do domu. Może zdąży do spożywczego przed zamknięciem. Zrobi sobie gorącą zupę, omlet i sałatkę ze świeżych warzyw, z tehiną i mnóstwem pietruszki, a do tego rogalik z masłem, i posili się, siedząc przed telewizorem. Potem pójdzie do łóżka, z kolorowymi dodatkami weekendowymi, których jeszcze nie zdążyła przeczytać.

- W kibucu odkryłam jedynie dzieła Willego Achinoama, lokalnego rzeźbiarza.

- Który przez przypadek jest też ojcem Szajkego, skarbnika kibucu.

- Nie jesteś aż tak głupi, jak wyglądasz.

- Ty też nie. Eliezer! - ryknął nagle. - Gdzie on się podziewa?! W Aszdodzie?

Benci gruchnął śmiechem i Lizzi zaczęła się zastanawiać, czy zdołała go oszukać w kwestii prześcieradła. Chyba jej uwierzył. W przeciwnym wypadku i ją posłałby na badanie lekarskie.

Pojawił się Eliezer z tacą. Powiedział, że Malka kazała mu przyrządzić kawę, jak tylko Lizzi weszła na komendę. Już pół godziny stoi pod drzwiami i czeka na wezwanie Benciego. Dlatego kawa jest letnia.

- Tak - powiedział Benci, kiedy Eliezer wyszedł - byliśmy w biurze Aleksandry Hornszytk, niech spoczywa w pokoju. Pracują tam jej wspólnik, architekt Bruno Balfour, młodszy architekt, Jaron jakiś tam, dwie kreślarki i sekretarka. Aleksandra była założycielką firmy, zarejestrowanej jako „Hornszytk i Spółka”. Wszyscy są zszokowani. Ona praktycznie była firmą. Dbała o wszystkie sprawy. Zdobywała zlecenia, podpisywała umowy, kupowała materiały, zatrudniała wykonawców. Bruno Balfour i Jaron skupili się na projektowaniu i nadzorze. Wszyscy mówią, że była wybitną specjalistką. Zdolną, krytyczną, odważną.

- Zbyt odważną?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Historia z Jackiem Danzigiem niezbyt tu pasuje. Kobieta, która zdolna jest poświęcić swoje dobre imię dla jakiegoś szczonego... cóż, rabinem już nie będzie.

- Rozmawiałaś z Jackiem po wysłuchaniu taśmy?

- Tak. Powiedział to samo.

Lizzi zaczęła orientować się w metodach pracy Bencijona Koresza. Uśmiech, uderzenie, uśmiech, uderzenie - tak jak piszą w książkach.

- Benci, jestem zmęczona. Mam propozycję. Opowiem ci coś, o czym nie wiesz, a ty opowiesz mi, co znaleźliście na kontach bankowych Hornszytków.

Lizzi zauważyła, że kierunek, jaki obrała, zdziwił go, i w duchu się za to pochwaliła.

- Posłuchajmy.

Lizzi opowiedziała o wizycie w sklepie z winami oraz o okolicznościach, w jakich - według Goldnera - Pinchas Hornszytk zdobył rękę pierworodnej córki Lubicza, jak również dziesięć procent od jego dochodów. Poprosiła Benciego, żeby nie wplątywał w śledztwo Goldnera, a on przyrzekł jej uczynić, co się da. Zauważyła, że to, co powiedziała, pobudziło go do myślenia.

- On jest bardzo sprytny, ten Hornszyk - stwierdził Benci.

- To pewne, że nie jest naiwny. Twoja kolej, mój drogi.

Coś na taśmie, którą przyniosła Lizzi, zaniepokoiło Benciego. Ciągłe od nowa przesłuchiwał dialog między nią a Jackiem Danzigiem i w końcu poprosił o sporządzenie stenogramu.

- Może oczy będą mądrzejsze od uszu - stwierdził.

Zdradził Lizzi, że Jackie podkreślał ciągle słowo „północ”, jak gdyby chciał je wyrycić w pamięci słuchaczy. Pianista znał Lizzi i wiedział, że ma zwyczaj nagrywać wywiady. Wiedział także, że taśma z nagraniem dotrze do Benciego, który specjalnie jej zażądał, doświadczenie bowiem go nauczyło, że przestępcy zostawiają za sobą wiele śladów, które pozwalają sprawiedliwości zwyciężyć. O ile jej stróżom nie brak rozumu. Pewien włamywacz nadgryzł jabłko leżące na stole w kuchni, a nie miał kła. Oszust w Banku Europejskim pisał piórem wiecznym marki „Parker 1954”. Kto dzisiaj pisze par-kerem ‘54? Banalne, droga Lizzi, banalne.

- Spytałem Jackiego Danziga, co wydarzyło się o północy - opowiadał Benci. - Udawał naiwnego, starał się mnie zbyć, w końcu się poddał. Złamałem go, kiedy powiedziałem, że znaleźliśmy odciski jego butów koło kamiennej ławeczki, na której siedziała zamordowana. Nawet nie musiałem krzyczeć.

I pomyśleć tylko - zadumała się Lizzi - że ten człowiek w rękach Georgette jest miękki jak wosk.

- Naprawdę były odciski jego butów koło ławeczki?

- Tak. Tylko my ich nie znaleźliśmy. Okazało się, że Aleksandra Hornszyk, albo - jak ją wszyscy nazywają - Aleks, umówiła się z nim o północy przy małym basenie w ogrodzie za domem. Skończył grać, wyszedł do ogrodu, podążył w kierunku basenu i znalazł ją siedzącą na ławce, martwą. Przerażony, odwrócił się i uciekł z przyjęcia, nic nikomu nie mówiąc.

- To znaczy, że o dwunastej już nie żyła.

- Jeśli Danzig mówi prawdę.

- Zatrzymaliście go?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie.

- Gdzie i kiedy miała miejsce rozmowa, podczas której umówili się na spotkanie?

- Zadzwoiła do niego przed przyjęciem, około szóstej, i powiedziała, kiedy ma przyjść i jakie utwory zagrać.

- Wiedział, czy była wtedy sama?

- Tak sądzi. Wydaje mu się, że słyszał chlupot wody. Czasami dzwoniła do niego w trakcie kąpieli.

- Wczoraj od szóstej rano czekałam na montera, który miał mi zainstalować ogrzewacz wody, ale w końcu nie przyszedł - powiedziała Lizzi z goryczą. - Co z tego wszystkiego mogę opisać?

- Ani słowa.

- Tak myślałam. Jadę do redakcji zająć się artykułem o wystawie.

- Możesz napisać, że Filipinka została przesłuchana i zwolniona.

- Po tym, jak umieścił to „Dziennik Południa”? Dzięki, mój drogi. Sprawdziliście konto Aleks?

- Sprawdzamy.

- Dasz mi znać?

- Nie.

Lizzi zarzuciła torbę na ramię i wyszła bez słowa pożegnania. Nie miała wątpliwości, że Benci wyciągnie korzyści z tego, co mu opowiedziała. Ona natomiast może tylko siedzieć na tej tykającej bombie zegarowej i po prostu czekać.

- Dzwoniła Hawacelet. Poszła na jakiś kurs - poinformowała ją Malka z wysokości swojego stanowiska.

- Poprawa własnego wizerunku.

- Otóż to. Pytała, czy będziesz mogła posiedzieć z dziećmi.

- Muszę wysłać artykuł do redakcji. To mi zajmie niecałą godzinę. O której mam przyjść?

- Co to za kurs?

- Wierzyć w siebie. Mieć lepsze życie.

- Powiem jej, że nie mogłaś. Wyglądasz na zmęczoną, Lizzi.

Lizzi chciała zaprotestować, ale zmieniła zdanie. Wprawdzie już od tygodnia nie widziała swoich siostrzenic, lecz Malka miała rację: była zmęczona. Gdy wyszła na ulicę, zdziwiła się, że zapadł już zmierzch. Światło latarni odbijało się w kałużach po wczorajszym deszczu. Nawet jeśli bardzo się pospieszy, nie zdąży do sklepu przed zamknięciem. Przy odrobinie szczęścia dotrze do domu przed wiadomościami w telewizji. Ugotuje sobie zupę szparagową z torebki i pójdzie spać. Poczula, że mimo wszystko, jak na dziennikarkę, która tak mało zarabia, pracuje całkiem ciężko.

Rozdział 14

Bruno Balfour, wspólnik Aleksandry Hornszyk, był wysokim mężczyzną po czterdziestce, barczystym, o silnie zarysowanej szczęce i dużych zębach. Miał rudawą brodę i niewielkie oczy z pomarszczonymi powiekami. Odznaczał się dużym urokiem osobistym, lecz w tej chwili sprawiał wrażenie mocno wystraszonego. Odkąd „to” się zdarzyło, nie jest w stanie pracować. Nic nie rozumie. Zupełnie nic! Kto chciałby zabić Aleks?! Cały czas mu się wydaje, że ją widzi; widzi, jak wchodzi do pokoju, słyszy, jak rozmawia przez telefon. Jej twarz jest zamglona, tylko uśmiech zostaje, jak uśmiech Kota z Cheshire. Nie śpi od czterech nocy. Martwi się też o biuro. Nigdy nie zajmował się sprawami organizacyjnymi i teraz wszystko zważyło mu się na głowę. Dzisiaj ktoś przyniósł rachunek za trzydzieści par drzwi przesuwanych, a on nie ma pojęcia, gdzie szukać zamówienia. Wczoraj był tu agent z zakładu produkującego klimatyzatory i zażądał zadatku - Bruno zapłacił, mimo że nie wie, czy temu człowiekowi cokolwiek się należało, czy też wykorzystał sytuację. Zarówno klienci, jak i dostawcy są zdenerwowani, i słusznie. On próbuje wszystkich uspokoić, ale sam nie jest w stanie się z tym uporać. Młodszy architekt, Jaron Bruchim, zaproponował, żeby księgowy sprawdził rachunki i wszystkim się zajął, dopóki nie znajdą jakiegoś rozwiązania. Jest jeszcze bardziej zagubiony od niego.

Jaron wcale nie wyglądał na zbyt zagubionego. Był bardzo ładnym chłopcem i Lizzi miała wątpliwości, czy mu to pomoże w karierze. Takich ładnych chłopców inni mężczyźni usuwają z pola bitwy za pomocą metodycznego dręczenia. Stał przy desce kreślarskiej, ubrany w fioletową koszulę, bez swetra czy kurtki, i sznurowane skórzane buty, które doskonale zdałyby egzamin w śniegach Alp. Średniego wzrostu, średniej budowy, o ustach rozpieszczonego dziecka i czarnych oczach, wpatrzonych w kawałek kalki na stole. Poczul, iż Lizzi mu się przygląda, i podniósł głowę. Uśmiechnął się zdawkowo. Był przyzwyczajony do kobiecych spojrzeń.

- Czy ma pan prawo podpisywać czeki? - spytała Lizzi Balfoura.

- Oczywiście. Jestem wspólnikiem. Byliśmy wspólnikami. Aleks miała prawo podpisywać pierwsza, oczywiście. Nurit, nasza sekretarka, jest odpowiedzialna za małą kasę i też ma prawo wystawiać czeki, ale tylko na wydatki biurowe.

Bruno wymawiał miękko literę „r”, a spółgłoski językowe topniały mu w ustach.

- Pochodzi pan z Argentyny? - zapytała Lizzi.

- Nie. Z Turcji. Ale przyjechałem do Izraela, jak miałem cztery lata.

- A rodzice?

- Matka z Grecji, a ojciec z Galicji. Niebezpieczne połączenie. - Po raz pierwszy, odkąd weszła do biura, na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Rozmawiałam wczoraj z panem Hornszykiem i poinformowałam go, że tutaj przyjdę. Powiadomił pana?

- Nie. Nie widziałem się z nim od... tego wydarzenia. Złożyłem mu wizytę kondolencyjną, ale oczywiście nie wypadało w takich okolicznościach mówić o interesach. Był kompletnie załamany. Dzieci i teściowie też. Straszne!

Lizzi przyjechała do biura o ósmej rano, równocześnie z kreślarką, która otworzyła drzwi. Jej także powiedziała: „Rozmawiałam wczoraj z panem Hornszykiem”, lecz zataiła, że była to rozmowa jednostronna i że pan H. jej nie odpowiedział, a ona pozwoliła sobie odczytać jego milczenie jako zgodę. Bruno nie był zadowolony z najazdu prasy. Spodziewał się jednak, że wcześniej czy później odwiedzi ich i policja, i prasa. Lizzi zdziwiła się, że Benci nie przyszedł sam, tylko kogoś przysłał. Zastanawiała się, co też on knuje.

Bruno Balfour wprowadził ją do pokoju Aleks, stanął w drzwiach i stwierdził, że trochę dziwi się sędziemu. I on, i Jaron wahali się, czy mogą wchodzić do tego pokoju, a często musieli, ale byli pewni, że sędzia zechce przejrzeć papiery. Tymczasem on pozwolił tu wejść właśnie dziennikarce! Cóż, na razie może się rozejrzeć, ale niech nie robi bałaganu. Był zdenerwowany i zmieszany: Lizzi obiecała, że zabierze jej to bardzo mało czasu i że wszystko pozostawi na miejscu. Nie opublikuje też niczego bez jego zgody.

Biuro mieściło się na parterze bloku mieszkalnego i jego pomieszczenia miały standardowe rozmiary. Wielkie okno wychodziło na ulicę i kiedy Lizzi podniosła żaluzje, pokój zalało jasne światło. Stały tam dwa biurka, trzy stoły kreślarskie, regał, miniaturowa lodówka, tablica z wzorami płytek ceramicznych oraz mały sejf. Na jednym z biurek leżał okazały notes i Lizzi postanowiła zacząć właśnie od niego.

Pismo Aleks było czytelne; duże, energiczne litery ujawniały jej osobowość. Lizzi przepisała nazwiska, daty, liczby, nie przeoczyła niczego. Aleks wiodła bogate w zajęcia, lecz uporządkowane życie. Tu i tam widniała w notesie literka „G”. 12.30 Coco albo G, 20.30 Pelikan albo G, 08.00 Country. Zapisane też były daty urodzin członków rodziny, godziny wyjazdów i spotkań z Brunonem i Jaronem. Co dwadzieścia osiem dni pojawiały się gwiazdki, które oznaczały prawdopodobnie terminy miesiączki. Lizzi odkryła nazwiska ludzi, których знаła, na przykład dyrektora Banku Rolniczego czy dyrektora filii banku Izrael-Luksemburg. Figurowali tam też Szajke Achinoam i Ido Gabrielow oraz liczni klienci i dostawcy. Szczególnie jednak zainteresowały ją te nazwiska, z którymi dotąd się nie spotkała - jak Archimedes Lewi czy Salon Ortał. Przepisywała je teraz szybko, wyjaśnienia odkładając na później. Wiedziała, że nie ma wiele czasu. Zaraz może tu zajrzeć Benci albo Hornszyk, albo jeszcze ktoś inny, i ją przegonić. A wtedy będzie miała szczęście, jeśli uda jej się odejść z łupem. Dzień przed przyjęciem Aleks pojechała do Sade Oznai. Ido Gabrielow powiedział, że „Aleksandra Hornszyk nie była typem samobójczyni”. Skąd mógł wiedzieć? Czy aż tak dobrze ją znał?

Między okładką notesu a kolorową plastikową obwolutą Lizzi znalazła trzy notatki. Ktoś żądał od Aleksandry różnych sum pieniędzy. Widać było, że zostały skreślone w różnym czasie, odręcznie, na karteczkach wyrwanych z małego notesiku, takiego jaki noszą kelnerki w kawiarniach i restauracjach.

Na pierwszej było napisane: „Pilnie potrzebuję paru tysięcy”.

Na drugiej: „Przyjdź o szóstej do C.C. z pięcioma tysiącami”.

Na trzeciej: „W piątek o 12 w P. Jeśli nie, porozmawiam z twoim mężem”.

Lizzi przepisała treść notatek, włożyła karteczki z powrotem za obwolutę i wytarła dłonie o spodnie. Zamknęła notes, swój schowała do torby i wyszła z pokoju. Zastanawiała się, czemu Aleks zachowała te notatki. Bez wątplenia napisał je Jackie Danzig, a w „Niebieskim Pelikanie” używano takich notesików. „C.C.” to najprawdopodobniej Country Club, a „P.” - „Niebieski Pelikan”. Ale jeśli Jackie ją szantażował, czemu go zaprosiła, żeby grał na przyjęciu w jej domu? Spotkanie o północy przy basenie ukazało się teraz w innym świetle. Czy zamierzała dać mu pieniądze? Grozić? A może wzięła broń męża, żeby zabić kochanka, i zginęła podczas szamotaniny?

- Czy pojechał pan z Aleksandrą do Oznai? - spytała Brunona, gdy wróciła do pokoju kreślarzy.

- Kiedy?

- W zeszły piątek.

- Nie pracujemy w piątki.

- W zeszły piątek Aleksandra pojechała do Sade Oznai na spotkanie z Idonem Gabrielowem i Szajkiem Achinoamem.

- Nie sędzę. W piątki chodziła do sklepów, do fryzjera, na basen. To był jej „prywatny dzień”.

- Był pan na przyjęciu?

- Tak. Ja i Joram. Pani też tam była. Pamiętam panią. Przyszła pani z tym pianistą.

- Zna go pan?

- Nie. Ale wiedziałem, kim jest.

- Przychodził tu czasami?

- Nigdy go nie spotkałem.

- Wiedział pan, że Jackie był kochankiem Aleks?

- Nie wsadzam nosa w cudze sprawy. To nie jest wielka, szczęśliwa rodzina, tylko miejsce pracy. Prywatne życie współpracowników mnie nie interesuje. Interesują mnie jedynie efekty naszej pracy. Wracając do pani pytania - tak, słyszałem, że był jej kochankiem, ale nigdy go nie spotkałem aż do tego wieczoru. Nie przychodził tutaj, nie dzwonił. Czasami ona dzwoniła do niego.

- Kto to jest Archimedes Lewi?

- Nie wiem. Jaron! Czy wiesz, kto to jest Archimedes Lewi? Co za nazwisko!

- Dawny przyjaciel Aleks - odpowiedział Jaron Bruchim, nie odrywając wzroku od szkicu.

- Kim on jest? Gdzie mogę go znaleźć? - spytała Lizzi, zwracając się do młodszego architekta.

- Nie mam pojęcia.

Zastanowiła się, czy istotnie nie wie, czy też próbuje coś przed nią ukryć.

- A Salon Ortal?

- Wydaje mi się, że Ortal to jej fryzjerka. Nurit! - zawołał Bruno Balfour do sekretarki. - Czy Salon Ortal to fryzjerka Aleks?

- Tak - odpowiedziała Nurit i pospiesznie wyciągnęła z pudełka papierową chusteczkę. Miała około dwudziestu dwóch lat, oliwkową cerę i szczupłą, miłą twarz okoloną czarnymi lokami. Wyglądało na to, że jest jedyną osobą, która opłakuje śmierć Aleksandry.

Lizzi podeszła do niej.

- Jak długo tu pracujesz?

- Dwa lata. Odkąd wyszłam z wojska. Ale przedtem też tu pracowałam, uczyłam się pracy biurowej.

- Byłaś w dobrych stosunkach z Aleksandrą Hornszyk?

- Nie. Krzyczała na mnie. Ale ona krzyczała na wszystkich. Tylko że inni się w końcu przyzwyczajali, a ja nie mogłam. Nie umiałam się opanować i odpowiadałam, a to ją złościło jeszcze bardziej. Nie lubiła dyskusji. Chciała, żeby wszyscy robili dokładnie to, co mówiła. Była zdolniejsza od innych i bardzo wymagająca.

- Czy była też sprawiedliwa?

Nurit znowu zaczęła płakać. Wyciągnęła z pudełka kolejną chusteczkę i otarła oczy.

- Nie wiem. Nie pracowałam nigdzie indziej.

- Dobrze zarabiasz?

- Ani źle, ani dobrze. Tak jak w moim zawodzie i z moim doświadczeniem. Kiedy założyli nową centralkę, podniosła mi trochę pensję. Chciała mnie też wysłać na kurs maszynopisania.

- Tylko ona zajmowała się finansami?

- Tak.

- Kto to jest Archimedes Lewi?

Nurit usiłowała sobie przypomnieć. Wzruszyła ramionami, podniosła brwi i powiodła wzrokiem po obecnych w pokoju.

- Brzmi znajomo. Ma chyba jakiś związek z filatelistyką, nie sądzicie? Wydaje mi się, że widziałam gdzieś to nazwisko. Może się na nie natknęłam, gdy pracowałam na posterunku wojskowym, a może po prostu było na jakimś szyldzie albo tabliczce. Jest dość niezwykle. Czy to ważne?

- Możliwe. Kto zwykle odnosił czeki do banku?

- Ja zajmowałam się wysyłkami. Kiedy trzeba było porozmawiać z dyrektorem, szła Aleksandra.

- A pan Balfour?

- On też. Zwłaszcza ostatnio. Aleks była zła, bo uważała, że on jej nie ufa.

Bruno Balfour podszedł do nich zniechęcony i kazał Nurit wracać do pracy. Wyraźnie spochmurniał.

- Istnieje różnica między zbieraniem informacji a plotkowaniem. Próbujemy jakoś się pozbierać.

- Ostatnie pytanie, panie Balfour. W kibucu Sade Oznaja twierdzą, że znikło pół miliona dolarów, które wypłacili pańskiej firmie. Wie pan coś o tym?

Podprowadził Lizzi do wyjścia, trzymając ją za łokieć jednym palcem, jakby bał się zarazić jakąś egzotyczną chorobą.

- Proszę mi wybaczyć, ale - jak to się mówi w teleturniejach - pani czas się skończył.

- To znaczy, że wie pan o tym.

Wyszedł za nią na podwórze. Gdy znaleźli się sami, ukryci wśród drzew, zwrócił się do niej z wściekłością:

- To oszczerstwo! Jeśli pani umieści coś takiego w artykule, pozwę waszą gazetę do sądu.

- Ale właśnie tak powiedziano mi w Oznai. Nie będzie można temu zaprzeczyć. Dowodem są nagrane rozmowy.

- Chce nas pani zniszczyć? I bez tego ponosimy duże straty. Mamy tu pięciu pracowników i ich rodziny. Nie mówiąc o klientach, którzy dostaną hysterii. Obiecała mi pani na początku, że nic nie zostanie opublikowane bez mojej zgody.

- Przeraża pana tylko wizja artykułu? Kibuc domaga się swoich pieniędzy! Chcą wiedzieć, co się z nimi stało.

- To całkiem zrozumiałe. Sam bym chciał wiedzieć, co się z nimi stało. Tydzień temu w ogóle nie miałem pojęcia, że znikły jakieś pieniądze. Mamy im zbudować jeszcze pięć domów. Wczoraj cały dzień rozmawiałem z naszym dyrektorem banku i księgowym. Rachunki są w porządku. Pieniądze wpływały na konto i były pobierane zgodnie z rytmem robót. Wiadomo, na co poszedł każdy grosz!

- Chwileczkę! Czy to znaczy, że pieniądze przeznaczone na budowę nowych domów kibuc wpłacał na osobny rachunek?

- Tak. Obstawali przy tym. Otworzyli specjalne konto w głównym oddziale banku Izrael-Luksemburg. Inne operacje finansowe przeprowadzali w oddziale Banku Rolniczego. Obawiali się, że jeśli pieniądze na budowę będą na koncie ogólnym, wydadzą je na coś innego. Zawsze w ostatniej chwili pojawiają się jakieś niespodziewane wydatki. A tak pieniądze były odłożone na konkretny cel, a nawet przynosiły procent. Na każdym etapie wiedzieliśmy, ile zostało już wydane.

- Aleksandra miała dostęp do tego konta?

- Tak. Jeśli trzeba było kupić cement czy rury albo zapłacić dostawcom, wystawiała czek i zapisywała wydatek, a oni to potem zatwierdzali. Przecież nie zawsze można było czekać, aż któryś z nich przyjedzie do Beer Szewy.

- Gdy mówi pan „oni”, ma pan na myśli Achinoama i Gabrielowa?

- Tak.

- Ale dlaczego sami nie płacili firmie budowlanej?

- Mieli zaufanie do Aleks. Bali się, że wykonawca ich oszuka.

- Pan też wystawiał чеки i podpisywał rachunki?

- Czasami. Ale kwestie finansowe z reguły były w rękach Aleks. Proszę mi wybaczyć, naprawdę muszę już wracać do pracy. Przeżywamy kryzys.

- Dlaczego?

- Dlaczego?! Brakuje nam pół miliona dolarów na koncie.

- Nie na waszym koncie, tylko kibucu.

- Rozśmiesza mnie pani! Mieliśmy do niego pełny dostęp.

Balfour nie wyglądał na rozbawionego. Wyglądał raczej jak ktoś, komu właśnie dach wali się na głowę, i patrzył na rozmówczynię jak na kompletną idiotkę.

Lizzi stała na wąskim chodniku i wiedziała, że istotnie robi wrażenie kretyнки, ze swoimi wielkimi płaskimi stopami i kolczykami z plastiku. Wiedziała też, że w jej zawodzie to czasami pomaga.

- Mam do pani prośbę. Proszę nie publikować ani słowa o zaginionych pieniądzech. Porozmawiam z ludźmi z Oznai i jestem pewien, że oni też się na to nie zgodzą. Przecież to będzie ze szkodą także i dla nich.

- Nie mogę nic obiecać. Kto mi zaręczy, że to się nie ukaże w innej gazecie?

- Nie będę rozmawiał z żadnym dziennikarzem. Nic mi z tego nie przyjdzie.

Usiłował się uśmiechnąć, mrużąc lekko powieki. Lizzi widziała, że wahał się, czy jej nie podziękować. W końcu pożegnał się słowami: „Muszę wracać do pracy”, odwrócił się i poszedł do biura. Wyglądał sympatycznie. Ale co z tego? Ona sama nie wyglądała zbyt sympatycznie, a uważała, że jest miła.

Rozdział 15

Z firmy „Hornszyk i Spółka” Lizzi pojechała do nowego centrum handlowego na konferencję prasową w Instytucie Kreowania Wizerunku, który obiecywał, że „wypełni puste miejsce na mapie południowego Izraela”. Tak przynajmniej było napisane w prospekcie dołączonym do zaproszenia:

„Jesteśmy dumni z Beer Szewy i jej osiągnięć. Mamy tutaj uniwersytet, filharmonię i teatr. Ale czy Beer Szewa ma odpowiedni wizerunek? Czy w świadomości mieszkańców naszego kraju utrwalił się obraz jej sukcesów? Czy ktokolwiek, myśląc «Beer Szewa», myśli jednocześnie «sukces»? Czy ktoś, myśląc o tobie, pomyśli «sukces»?” - pytała Sima Jenkins, założycielka instytutu. Jej zdjęcie na tle portretu Kitchenera, brytyjskiego generała z czasów pierwszej wojny światowej, widniało na prospekcie. Dla wszystkich było oczywiste, że kto myśli „Sima Jenkins”, myśli „sukces”. W przeciwieństwie do tych, którzy myślą „Lizzi Badihi”, jeśli w ogóle ktokolwiek o niej myśli - stwierdziła w duchu Lizzi. Może ona też powinna się zapisać na kurs kreowania wizerunku?

Instytut mieścił się na najniższym piętrze centrum handlowego, zaraz pod sklepem z galanterią „Easy Come”. Obok sklepu stała grupka ludzi - trzy kobiety, czterech mężczyzn - i wymachiwała kartonową tablicą z napisem: „Powstrzymać okupację”.

Ściany działowe niewielkiego pomieszczenia zostały wyburzone. Na podłodze leżały poduszki w pastelowych kolorach, światło było przytłumione. Sima Jenkins tryskała dobrym humorem i uśmiech nie schodził jej z warg. Dziennikarze rozsiedli się na poduszkach i starali się sprawiać wrażenie, że zawsze w ten sposób przeprowadzają wywiad. Wesoła młoda kobieta roznosiła sok z ogórków i ciasteczka figowe z pełnoziarnistej pszenicy. Lizzi obliczyła, że minęły cztery dni, odkąd jadła ciepły posiłek. Po wyjściu z instytutu pojedzie do redakcji, napisze artykuł, a następnie uda się do spożywczego i zapełni dom niezdrową żywnością.

Sima Jenkins tłumaczyła, że człowiek jest w stanie zrealizować każde swoje pragnienie. To zależy wyłącznie od niego. Świat na nas czeka i tylko dlatego, że myślimy, iż jest brzydki i zły, nie potrafimy dostrzec, że jest on piękny i dobry. Ale teraz mamy do dyspozycji narzędzia, które pomogą nam się pozbyć negatywnych myśli wpojonych przez wychowanie. Człowiek może być, czym zechce. Poprawa własnego wizerunku jest kluczem do odkrycia swoich możliwości. Ona sama stosuje metodę holistyczną, której nauczyła się w Kansas City u profesora Salto Mortale, ucznia Hernefelsa. Postanowiła założyć swój instytut właśnie tutaj, gdyż Beer Szewa, tak jak metoda poprawy wizerunku, jest syntezą opartą na idei „twórczego gromadzenia”. To, co wewnątrz, jest tożsame z tym, co na zewnątrz. Posługujemy się - opowiadała - odłamkami kamieni, krzykiem, ruchem i muzyką. Chodzi o to, aby się wyzwolić i osiągnąć to, co „nadindywidualne” i „nadwitalne”. A to umożliwi sukces. Jej metoda sprawdziła się w Kansas i ma nadzieję, że przyjmie się także w Beer Szewie.

Dziennikarze byli pod wielkim wrażeniem. Padły pytania o czas trwania i koszt kursu - dwie kwestie, których Sima akurat wolałaby nie poruszać. Francuska dziennikarka zapytała, czy powołanie takiego instytutu jest rodzajem protestu. Sima Jenkins skwitowała jej słowa uśmiechem. Nie musiała nic mówić. Wszyscy i tak zrozumieli. Wszyscy oprócz Lizzi, która oczywiście nic nie rozumiała.

Ktoś pociągnął ją za rękaw. Odwróciła się i ujrzała Adulama. Oczywiście! Kiedy wyszli na zewnątrz, powiedział, że nie ustąpi i że muszą zjeść razem obiad, ponieważ mu to obiecała. Lizzi oświadczyła, że jest kłamcą i że niczego nie obiecywała. Wtedy on stwierdził, że powinna pójść na kurs poprawy wizerunku, gdyż jego zdaniem bardzo by jej się przydał. W końcu głód przesądził sprawę: Lizzi doszła do wniosku, że wszystko jej jedno - może iść do restauracji, nawet jeśli będzie musiała przesiedzieć dwie godziny naprzeciwko Adulama. Tym bardziej że taki lokal jak „Coco” nie odbierał chęci do pracy. Wręcz przeciwnie, po posiłku chciało się opuścić go jak najszybciej. W zimie było tam zimno, a w lecie gorąco. Były tam też plastikowe stoły, do których przyklepiały się ręce i resztki jedzenia. Jednym słowem - wszystko to, czego Lizzi potrzebowała, aby poprawić sobie humor.

Coco przywitał ich tak serdecznie, jakby byli jego odnalezionym po latach rodzeństwem. Jeszcze zanim zdążyli otworzyć usta, zastawił stół oliwkami, marynowaną papryką i ciepłymi chlebkami pita. Adulam zapytał, czy ma zamówić dla nich obojga. Lizzi skinęła głową i wpakowała oliwkę do ust.

Na początku rozmawiali trochę o układzie berlińskim i o młodoturkach. Adulam chodził na wykłady niektórych z dawnych profesorów Lizzi. Kiedy pochłonęła szaszłyki, tehinę i sałatkę ze

swojego talerza oraz resztę frytek ze wspólnego półmiska, a potem colę i kawę, poczuła, że ma niewielki kłopot z koncentracją.

- Nie gotujesz sobie?
- Nnnie.
- To gdzie z reguły jadasz?
- Gdziekolwiek.
- Nadal zbierasz informacje o Hornszytku?
- Mmmm...
- Lizzi!

Mimo że w restauracji panował gwar, ludzie siedzący przy stolikach wokół nich podnieśli głowy znad talerzy. Podobnie zresztą jak Lizzi.

- Z czego się śmiejesz?
- Idź do domu. Potrzebujesz snu.
- Jadę do redakcji przepisać na komputerze artykuł o instytucie.
- Zawrzyjmy układ. Oboje damy ten artykuł w przyszłym tygodniu.
- Ty go dasz w przyszłym tygodniu. Ja napiszę go dzisiaj. Moja siostra Hawacelet jest słuchaczką Simy Jenkins i nie wybaczy mi, jeśli nic nie napiszę o instytucie.
- Ja ci to napiszę.
- Nie rozśmieszaj mnie.
- Lizzi, padasz z nóg.
- Nic jeszcze nie wiesz o moich nogach, mój drogi.
- Chciałbym się czegoś dowiedzieć, moja droga.

Lizzi zauważyła, że rozmowa zaczyna przybierać niepożądany obrót. Z kamienną twarzą wstała z miejsca i usiłowała wyjść z restauracji, zachowując resztki godności. Nie było to łatwe, zważywszy, że krzesło przylepiło się jej do spodni, a następnie z łoskotem wylądowało na podłodze. Coco w lansadach odprowadził ich do drzwi. Zamieszanie, które wywołali, sprawiło mu wielką przyjemność. Gdyby ktoś spytał Lizzi, ilu ludzi pragnęłaby uniknąć przez najbliższe kilka miesięcy, z pewnością odparłaby, że dwóch - Coco i Adulama.

Rozdział 16

Dahan i Szibolet siedzieli na stole, pijąc kawę z kubków. Lizzi zastanawiała się, czy kawa jest smaczniejsza, kiedy pije się ją, siedząc na stole. Dahan poprosił, aby zaznaczyła, że lokal Simy Jenkins znajduje się pod sklepem z galanterią „Easy Come”. „Nie ma problemu” - odparła Lizzi i poszła do swojego pokoju. Za to na pewno nie dostanie premii, to nie jest informacja, która mogłaby się przedostać do prasy krajowej. Jej siostry będą musiały trochę poczekać na następną pożyczkę. Starła się, żeby to, co pisze, brzmiało poważnie, zarówno ze względu na Hawacelet, jak i Adulama. Szibolet przyniosła jej kawę i Lizzi spytała, jak w kibucu przyjęto artykuł o Willim Achinoamie.

- No pewnie, że wszyscy się cieszyli. Zawsze się cieszymy, kiedy jeden z nas odnosi sukces. Jesteśmy z niego dumni - odpowiedziała Szibolet.

- Lubicie go?
- Jasne, że lubimy, w końcu to jeden z nas, nie?

Szibolet uśmiechnęła się, a Lizzi pomyślała, że nigdy przedtem tak naprawdę z nią nie rozmawiała.

- W Oznai spotkałam też jego syna, Szajkego. Podobno jest skarbnikiem. Od dawna?
- Od kilku lat. Zna się na rzeczy.
- A Gabrielow, długo już jest sekretarzem kibucu?
- Wiele lat. Jest też dyrektorem fabryki śrub. Ma jakieś wykształcenie ekonomiczne. Skoro chcą to robić, nie będziemy rzucać im kłód pod nogi.
- Gabrielow to miły człowiek. Sympatyczny.
- Aha.
- Co „aha”? - zapytała Lizzi.
- To zależy od tego, jak dużo się o nim wie.

- Nie lubicie go?

- To nie kwestia lubienia czy nie lubienia. - Szibolet zawahała się. - On ciągle wyjeżdża na konferencje albo na spotkania z władzami partii. Ma samochód i zwracają mu za delegacje. Kiedy ma ochotę, jedzie sobie do miasta - do teatru albo coś obejrzeć. Nie wszystkim to się podoba. Poza tym ludzie nie pochwalają, że rzucił swoją dziewczynę, Lejkę, i związał się nagle z inną, dużo od niego młodszą, która przedtem była z takim jednym Mojszem. Mówi się, że to ona namawia Gabrielowa na te wszystkie wyjazdy. Tak słyszałam.

- Gabrielow chce opuścić kibuc?

- Nie sądzę. Po prostu to mi do niego nie pasuje. Ale ktoś może wiedzieć?

- Gdzie on mieszka, kiedy jest w mieście?

- Jakiś czas temu kibuc wynajął mu pokój u pewnej rodziny. Chcesz, żebym sprawdziła u kogo? Są z nim jakieś problemy czy co?

- Problemy? Jakie mogą być z nim problemy? Wydaje mi się, że ludzie tak sobie gadają. On ciężko pracuje, kieruje zakładem, jest sekretarzem kibucu. Zorganizował budowę nowych domów, a to przecież olbrzymie przedsięwzięcie. Nie należy aż tak się przejmować całym tym gadaniem.

- Możliwe. Tylko że ludzie czekali tyle czasu na nowe mieszkania, i starzy, i młodzi, a tu nic się nie rusza.

- Sama widziałam nowe domy.

- Budowę rozpoczęto dwa lata temu i powiedziano nam, że za rok stanie dwanaście nowych domów, a teraz nagle nie ma pieniędzy. Chyba opracowano jakiś plan finansowy, nie? Mój tata twierdzi, że coś tu jest nie tak. Albo były pieniądze, mówi, i znikły, albo nigdy ich nie było i ktoś nas okłamał. Nie tylko on tak mówi. Moi rodzice mieli się wprowadzić do nowego mieszkania już rok temu.

Lizzi pomyślała, że istnieje jeszcze jedna możliwość: pieniądze zaoszczędzone na nowe domy nie znikły, ale po prostu nigdy nie zostały wpłacone na konto. Zapytała Szibolet, czy zgodziłaby się wziąć ją ze sobą, kiedy następnym razem będzie jechać do domu.

- No pewnie! Bomba! Ale super! - wykrzyknęła dziewczyna z rozjaśnioną twarzą.

- Nie chcesz nigdzie studiować, moja droga?

- Nie. Na razie chcemy zbierać pieniądze na wyjazd do Boliwii albo do Tajlandii. Na rok albo dwa. I tu, i tam mamy przyjaciół, którzy na nas czekają. Tak też się człowiek czegoś uczy, prawda? Jak wrócę, to może pójdę na jakieś studia. Albo pedagogika specjalna, albo terapia zajęciowa. Ale przeszkadzam ci, za dużo gadam.

Kiedy wyszła, Lizzi się uśmiechnęła. Rozmowa z Szibolet rozproszyła wreszcie senność, która ogarnęła ją w czasie obiadu z „młodoturkiem”. Artykuł o Instytucie Kreowania Wizerunku może poczekać. Teraz czas rozpocząć poszukiwania igły w stogu siana, czyli tajemniczego Archimedesza Lewiego. Kiedy słyszała to imię, miała wrażenie domowej przytulności, jakby otulała się swym starym szlafrokiem. Sekretarka firmy „Hornsztyk i Spółka”, Nurit, powiedziała, że być może się na nie natknęła, gdy pracowała na posterunku wojskowym. Lizzi postanowiła więc odwiedzić ciotkę Klarę i wuja Jakowa. Ich sklep przecież sąsiadował z posterunkiem.

Oczywiście, że Klara i Jakow znali Archimedesza Lewiego. Jego biednego ojca, Jusufa, nieraz spotykali w Egipcie. Sprowadzał porcelanę i naczynia emaliowane z Limoges. Wtedy jeszcze ludzie używali nocników i spluwaczek. Ciotka Klara wyprostowała się trochę, aby pobudzić pamięć, i kot zeskoczył z jej kolan.

- Dlaczego jego ojciec był biedny? - zapytała Lizzi, zanim Klara zdążyła zasypać ją opowieściami o niegdyś przeznaczonych porcelanowych i emaliowanych naczyniach.

- Ty opowiedz, Jakow - poprosiła ciotka.

- Miał ładną żonę, Teresę, o wiele od niego młodszą. Urodziła mu dwóch synów, Archimedesza i Pitagorasa, a w końcu uciekła z jego najlepszym przyjacielem, Ismaelem Tuv-Elem.

- I co się z nią stało?

- Nie wiadomo. Jusuf szukał jej i szukał. W końcu znalazł Ismaela w Aleksandrii. Okazało się, że ktoś rzucił nań urok i cała jego skóra pokryła się brązowymi i białymi pręgami, jak u tygrysa. Wtedy Teresa od niego odeszła. W Aleksandrii Ismael zaczął pracować w łaźni, bo tam pod osłoną pary nie można było zobaczyć tych okropnych pręg. Nie umiał powiedzieć Jusufowi, gdzie może

być jego żona. Tak to jest, gdy człowiek żeni się z kobietą, która potrafi stać się niewidzialna. Kiedy Jusuf zrozumiał, że ona nigdy nie wróci razem z dziećmi, wyemigrował do Palestyny.

Wszyscy troje siedzieli przez chwilę w milczeniu i rozmyślali o gorzkim losie, który przepadł w udziale rodzinie Lewich.

- A co robi Archimedes? - zapytała w końcu Lizzi.

Okazało się, że Archimedes Lewi handluje znaczkami pocztowymi, a jego sklepik mieści się w tym samym budynku co kawiarnia etiopskich Żydów i znany jest nie tylko w Beer Szewie, ale również w Tel Awiwie, Hajfie i Jerozolimie. Turyści, którzy zbierają znaczki, także znają jego nazwisko i ciągną do sklepiku Archimedesa jak pielgrzymi do Ściany Płaczu.

- Jest bogaty?

- Ma w domu krany, które są z zewnątrz z niklu, a pod spodem ze złota. Liczy się to, co jest pod spodem.

- To wszystko dzięki znaczkom?

- Handluje też monetami. Zabytkowymi. Niektórzy powiadają, że nowymi również.

- Falszerz?

- Żyje z procentu.

- Znacze go?

- Archimedes jest właścicielem tego domu i wszystkich sklepów na ulicy. Płacimy mu trzysta dolarów miesięcznie. Zawsze mówi, że mógłby dostać pięćset.

- Chciałby was stąd wyrzucić?

- Nie. Ale chce, żebyśmy wiedzieli, że robi nam łaskę. Żebyśmy czuli się zobowiązani.

- Moglibyście mu mnie przedstawić?

Teraz Klara i Jakow zaczęli zadawać pytania. Cała historia utwierdziła ich w przekonaniu, że postawili na właściwą kartę - ich Lizzi była niezwykle bystra.

Rozdział 17

Kiedy Lizzi weszła do sklepu filatelistycznego Archimedesa Lewiego, pomyślała o swoim dzieciństwie. Tak wiele rzeczy było dla niej obcych. Niczego nie zbierała. Ani znaczków, ani muszli, ani kart, ani nawet papierków od czekoladek lub gumy do żucia „Bazooka” - żadnej z tych rzeczy, które stanowiły skarby jej małych siostrzenic. Dziewczynki przechowywały w pustych bombonierkach swoją biżuterię, a w starych portmonetkach zbiory obrazków. Mama przynosiła jej wprawdzie resztki tkanin z fabryki, ale zawsze zostawały wykorzystane w jakimś pożytecznym celu: zamieniały się w lalki, ściereczki do kurzu, serwetki. Ona sama była cichą, pracowitą dziewczynką i wyrosła na cichą, pracowitą kobietę. I nie zbiera niczego, co nie ma praktycznego zastosowania. Zawsze potrzebny jest dach nad głową, chleb i ubranie. Wszystko poza tym jest zbędne. W każdej chwili Lizzi była gotowa wyjść z domu, zamknąć za sobą drzwi i odjechać. Żywiła też ogromny lęk przed gromadzeniem dóbr materialnych. Staropanieństwo nie jest jeszcze tak straszne, dopóki nie ma się serwisu do kawy. Serwis dostaje się w prezencie ślubnym. Dziewczyna, która kupuje go sobie sama, traci nadzieję na zamążpójście.

Lizzi rozglądała się po sklepie oczami małej dziewczynki, która po raz pierwszy napotyka nowy i cudowny świat: wielkie klasery, pudełka, bloczki znaczków na ścianach, egzotycznie brzmiące nazwy, jak Mauritius, Czarnogóra czy Przylądek Dobrej Nadziei, podobizny Karola rumuńskiego, Borysa bułgarskiego, cuda przyrody i osiągnięcia człowieka, zwycięstwa i klęski, zdobywcy i podróżnicy - wszystko tam było!

Trwały właśnie negocjacje pomiędzy Archimedesem Lewim a dwoma angielskimi turystami, dotyczące znaczka o nominale pół pensa z podobizną królowej Wiktorii. Sądząc po wyrazie twarzy kontrahentów, proponowane warunki nie zadowalały żadnej ze stron. Anglicy najpierw oglądali znaczki pod światło i bez entuzjazmu badali znaki wodne. Potem zaczęli wertować angielskie i amerykańskie katalogi, rzucając luźne uwagi o pogodzie, stanie pokoi hotelowych, agresywnych przewodnikach, bezczelnym kierowcy - słowem, o wszystkim z wyjątkiem Wiktorii, roztaczającej przed nimi swój królewski majestat. Archimedes zażądał zbyt wysokiej ich zdaniem ceny i oświadczył, że nie zależy mu zbytnio na sprzedaży tego znaczka. Jego wartość bowiem nieustannie rośnie i chętnie by go sobie zostawił. Turyści postanowili rozważyć sprawę w ciągu tygodnia, który

spędzą w Ejlacie, a Archimedes odparł, że nie ma nic przeciwko temu, ale nie może obiecać, że w tym czasie nie sprzeda znaczka komuś innemu. Zaproponowali mu zastaw w wysokości pięćdziesięciu funtów szterlingów. Właściciel sklepu odrzekł na to, że trudno, zgodzi się poczekać, ich słowo musi mu wystarczyć.

Lizzi była oczarowana i bez wahania powiedziała to Archimedesowi Lewiemu. Sposób prowadzenia negocjacji przywołał jej na myśl figury jakiegoś skomplikowanego tańca. Podobnie musiały wyglądać obrady paryskie w 1856 roku.

Lewi zareagował tak, jak według Lizzi powinien zareagować ambasador Napoleona III w Konstantynopolu. Był lekko zdziwiony, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że jego umiejętności istotnie zasługują na pochwałę.

- Prawdziwi filateliści rozpoznają się nawzajem - powiedział. - Od razu wiem, czy klient to ignorant, który postanowił zbierać cokolwiek, czy dziadek, który szuka prezentu dla wnuka na bar micwę i ostatni raz był tu sześćdziesiąt lat temu, czy też ktoś, kto rzeczywiście się na tym zna. Ci dwaj to zawodowcy. Słyszeli o mojej Wiktorii i specjalnie po nią tu przyjechali.

Archimedes Lewi był wysokim, barczystym mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał kształtną głowę, siwiejące włosy zaczesane do tyłu i smagłą cerę. Wyglądał na kogoś, kto regularnie gra w tenisa i pływa każdego ranka, latem i zimą. Nieskazitelnie biała koszula wyglądała spod niebieskiej flanelowej kamizelki i Lizzi pomyślała z żalem, jaka to szkoda, że mężczyźni przestali nosić białe koszule. Miał silny, wyraźny głos o charakterystycznym „lewantyńskim” akcencie, w którym drgały tony arabskiego i francuskiego i który był jej tak drogi. Nie rozumiała, czemu dotychczas nie spotkała Archimedes, chociaż żył w sąsiedztwie Jakowa i Klary. Przedstawiła się i wyjaśniła, że zbiera informacje o morderstwie Aleksandry Hornszyk.

- Słyszałam, że pan ją znał.

- Znałem ją dobrze. Bardzo żałuję, że nie mogłem być na pogrzebie.

- Pożyczał jej pan pieniądze?

- Ja?! Po co miałaby pożyczać ode mnie pieniądze? Ktoś pani powiedział, że jej pożyczałem?

- Tak jakby.

- Kto tak powiedział?

- Nie pamiętam.

- Jeśli pani nie pamięta, to bardzo proszę tego nie rozpowiadać. Muszę dbać o swoje dobre imię. Kupiec, którego się obmawia, to martwy kupiec. Swój sukces w interesach zawdzięczam latom pracy i dobrej opinii. Proszę nie powtarzać tych pogłosek, dobrze?

- Byliście przyjaciółmi?

Archimedes zawahał się, wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Długimi kształtnymi palcami przeczesał włosy. W końcu spojrzął na Lizzi uważnie, jakby się zastanawiał, czy może jej odpowiedzieć.

- Wyznałbym coś, gdybym miał pewność, że pani tego nie zacytuje.

- „Nie cytuje” to moje prawdziwe nazwisko - odparła z westchnieniem Lizzi. - Lizzi Nie Cytuje Badihi.

Zaśmiał się tak, że ramki ze znaczkami o mało nie pospadały ze ścian. Śmiech, gwałtowny i donośny, urwał się równie nagle, jak się zaczął.

- Jadła pani kolację?

- Jadłam obiad u Coco. - Lizzi zmarszczyła nos.

- Czekają na panią w domu?

- Kto?

- Mąż, dzieci, pies, kanarek...

- Nie.

- Wybierzmy się więc na kolację, a opowiem pani wszystko, co wiem o Aleksandrze Hornszyk. Ale uprzedzam: nie jest tego dużo.

- Na pana nie czekają w domu?

Archimedes Lewi uśmiechnął się i pomógł jej wstać z krzesła. Włożył ładną niebieską marynarkę, po czym pozamykał sejfy, włączył alarm, zaryglował drzwi i opuścił kratę. Następnie wziął Lizzi pod ramię i poprowadził ją na niewielki parking na tyłach budynku. Tam otworzył przed nią drzwi czarnego Citroena ze skórzaną tapicerką i mahoniowym wyposażeniem. Samochód roztaczał woń zamożności i luksusu.

Skierowali się na północ i dopiero gdy opuścili Beer Szewę, Lizzi zapytała, dokąd jada.

- Do dobrej restauracji, która zatrze wspomnienia po „Coco”.

- Jak się nazywa?

- „Escopie”.

- W Aszkelonie?

- Będziemy tam za czterdzieści minut. Podróż wykorzystamy na rozmowę. W restauracji natomiast będziemy się delektować daniami przygotowanymi przez mojego przyjaciela Armanda, jedyne go kucharza w Izraelu, który choć trochę zna się na jedzeniu. Wszyscy inni to hochsztaplerzy, którzy chcą zrobić szybkie pieniądze. Wczoraj byli właścicielami warsztatu albo włamywaczami, a dzisiaj są ekspertami od nouvelle cuisine. W kuchni sadzą swoją siostrę fryzjerkę, a sami zalewają klientów - takich samych ignorantów - potokiem obcych nazw. Potem bankrutują i wracają do swoich warsztatów albo sejfów, a w najlepszym przypadku jada do Los Angeles i pracują w zakładzie fryzjerskim siostry.

Lizzi zagłębiła się wygodnie w skórzanym siedzeniu, wyciągnęła swoje długie nogi i przypomniała sobie, że w swetrze ma dziurę na łokciu. Co najmniej od miesiąca. Już tyle razy miała usiąść i ją zacerować, ale nie zrobiła tego. Teraz dostała nauczkę. Kiedy w końcu taki mężczyzna jak Archimedes Lewi wiezie ją luksusowym citroenem do restauracji Armanda w Aszkelonie, ona ma na sobie właśnie ten sweter z dziurą. Jeśli to jej nie nauczy rozumu, to już nic jej nie nauczy.

- O czym pani tak poważnie rozmyśla? - zapytał.

Powiedziała mu i znowu się roześmiała. Taki już mój los - podsumowała. Bawię ich. W najlepszym wypadku.

Archimedes poznał Aleks wiele lat temu, kiedy rozpoczynała karierę architekta. Jej pierwsze biuro mieściło się w budynku, który należał do niego. Była wtedy bardzo ładna. Kasztanowe włosy, brzoskwińowa cera, aksamitna i świetlista, idealne ciało, pełne tam, gdzie trzeba (w przeciwieństwie do mojego, pomyślała Lizzi). Miała bogatych rodziców, którzy nie skąpili na jej utrzymanie, ale była bardzo ambitna. Być może dlatego, że wywodziła się z nowobogackich. Według nich pieniądze są dokładnym miernikiem powodzenia, a ambicja to paliwo, które je napędza. Została kochanką Archimedesesa kilka miesięcy po ukończeniu Technionu i powrocie do Beer Szewy. Nauczył ją wszystkiego. Jak się ubierać, co jeść, jak się zachowywać, jak się kochać. Była w nim zakochana, a on zastanawiał się, czy zaproponować jej małżeństwo, kiedy nagle oświadczyła, że wychodzi za Pinchasa Hornshtyka, chłopaka bez niczego, różniącego się od Archimedesesa jak wschód od zachodu. Hornshtyk był wtedy młodym prawnikiem i prowadził jakąś sprawę, w którą zamieszane było przedsiębiorstwo handlowe starego Lubicza.

- Wino z Jugosławii - wtrąciła Lizzi. - Myśli pan, że Hornshtyk szantażował Lubicza?

- Jesteś mądrzejsza, niż na to wyglądasz, Lizzi Nie Cytuje Badihi - powiedział Archimedes.

- Już mi to mówiono. Nie jestem pewna, czy to komplement.

- Jak czegoś nie wiem, to nie wiem. Plotki i oszczerstwa to trefny towar, Lizzi, a ja nie handluję trefnym towarem.

Kiedy Aleks poślubiła Hornshtyka, zerwała wszelkie kontakty z Lewim. Widywali się czasami, Beer Szewa to małe miasto. Przed rokiem przyszła do niego do sklepu i zaproponowała interes. Dysponowała dużą sumą pieniędzy, którą chciała zainwestować w tak zwanej szarej strefie, żeby uzyskać procent wyższy niż w banku. Archimedes miał znajomego, który się zajmował takimi interesami, i spełnił rolę pośrednika.

- Wykorzystała otwarty rachunek bankowy, z którego brała pieniądze na bieżące wydatki, i jestem pewien, że księgi wykażą, iż wszystkie operacje były we wzorowym porządku. Z zysków kupiła swojemu żigolakowi mieszkanie i samochód. Trzy albo cztery miesiące temu przekazała znajomemu wyjątkowo dużą sumę, około trzystu tysięcy dolarów. On zaś wziął pieniądze i zniknął. Prawdopodobnie uciekł za granicę.

Aleks wpadła w panikę. Najpierw udała się oczywiście do Archimedesesa Lewiego, który jej owego człowieka polecił. Ale Archimedes nie był w stanie pomóc, gdyż nie miał pojęcia, gdzie można go znaleźć.

- Pieniądze, które Aleks zainwestowała, nie należały do niej, tylko do jej klientów, i obawiała się, że ci zwrócą się do policji. Próbowwała zyskać na czasie i szukała sposobów zdobycia gotówki. Poprosiła mnie o pomoc, ale akurat wszystko miałem w czymś ulokowane. Poradziłem jej, żeby

poszła do ojca, lecz nie chciała o tym słyszeć. Z siebie tylko wiadomych powodów nienawidziła całej rodziny Lubiczów. Usiłowała wpłynąć na swojego żigolaka, żeby sprzedał samochód i mieszkanie, które od niej dostał, i obiecała, że przy najbliższej okazji kupi mu nowe zabawki. Ale ten mały szczur nie tylko się na to nie zgodził, lecz jeszcze uznał, że teraz, kiedy Aleks ma kłopoty, nadszedł odpowiedni moment na szantaż. Prosząc mnie o pożyczkę, powiedziała, że postanowiła sprzedać dom. Spodziewała się, że w ten sposób uzyska znaczną część potrzebnej sumy. Kiedy spytałem, co na to jej mąż, odparła, że dopóki ma do woli chleba z masłem, nie interesuje go, skąd pochodzą pieniądze. Tak się wyraziła.

- Jak się nazywa ten znajomy od podejrzanych interesów?

- Nie wiem. Skontaktowałem ją z kimś, kto skontaktował ją z kimś jeszcze innym. Mój znajomy był wiecznym turystą, który tu od pewnego czasu mieszkał. Już pół roku temu wyjechał z Izraela i wrócił do Francji.

- Można by go odnaleźć.

- Nie mam ochoty być zamieszany w tę historię. Śmierdzi, z której strony nie podejść.

- Gdzie się zwykle spotykali?

- W paszczy lwa.

- To znaczy?

- W banku.

- Banku Izrael-Luksemburg?

- Brawo, Lizzi. Bank to bardzo wrażliwy instrument. Najmniejszy podmuch może nim wstrząsnąć. Okruch plotki, drobne podejrzenie - i klient jest skończony. Aleks rozwiązała problem w ten sposób, że wszystkie swoje interesy załatwiła w banku. Na oczach dyrektora i urzędników otrzymywała ogromne sumy pieniędzy od tego człowieka, wręczała mu czek, pobierała procenty, które wpłacała na własne konto. Zakłęty krąg hazardu.

- Skąd pan wie, gdzie się spotykali?

- Też mam konto w Izrael-Luksemburg. Co jakiś czas ich tam widywałem.

- Ale dlaczego inteligentna kobieta, zamożna pani inżynier, właścicielka dobrze prosperującej pracowni, zaplatała się w ten sposób?

- Ja też ciągle się nad tym zastanawiam i nic nie rozumiem. Choć wiem, Lizzi Nie Cytuje Badihi, że pieniądze to choroba odznaczająca się wieloma nieoczekiwanymi symptomami. No, jesteśmy na miejscu.

Restauracja „Escopie” mieściła się w zwykłym domu mieszkalnym niedaleko plaży. Krzew bugenwilli piął się po żelaznej furtce, widać było skromny szyld, donice z ziołami przy drzwiach, ani śladu złota, żadnego przepychu.

Armand był rówieśnikiem Archimedesza Lewiego. Akcent zdradzał, że on także urodził się w Egipcie. Mężczyźni nie obejmowali się na przywitanie ani nie całowali, nie było poklepywania po plecach, nie padły nawet imiona. Żadnych poufałości, jakie zazwyczaj obserwowano w modnych restauracjach. Archimedes Lewi był klientem, a Armand Zilberman właścicielem.

- A teraz, cherie, zapomnijmy o pracy i poświęćmy się jednej z przyjemności odkrytych przez człowieka.

Wysłuchawszy opowieści Archimedesza, Lizzi miała mnóstwo pytań, wahań i domysłów, ale nie chciała psuć mu wieczoru. Pozwoliła, by złożył zamówienie, i przysłuchiwała się jego głosowi, myśląc, że przecież tacy mężczyźni jak on zawsze istnieli na świecie. Czemu więc ona nigdy ich nie spotyka?

- Ma pan imię hebrajskie?

- Abraham. Ale wszyscy mówią na mnie Archimedes. Mój ojciec, handlarz porcelaną w trzecim pokoleniu, był zamiłowanym matematykiem. Brat ma na imię Pitagoras. Zbuntował się i każe się nazywać Peter. Mieszka teraz w Kanadzie. Są tysiące Abrahamów Lewich. Postanowiłem pozostać przy Archimedesie.

- Mój wujek Jakow mówi, że pana matka umiała stać się niewidzialna.

Znowu się roześmiał. Tym razem nie był to ten krótki śmiech, który już знаła, ale długi, wyciskający łzy z oczu. Archimedes podniósł się z krzesła, pochylił w jej stronę i pocałował w policzek.

- Lizzi Badihi, trudno uwierzyć, że takie dziewczyny jak ty istnieją jeszcze na świecie.

- Takie głupie jak ja?

- Nie! Nie! Nie obrażaj się. Naprawdę miłe dziewczyny. To miałem na myśli. Ten twój wujek Jakow i jego historie! Ktoś powinien je spisać. Niewidzialna! Moja matka uciekła z najlepszym przyjacielem ojca, Ismaelem Tuv-Elem. Najbardziej banalna historia na świecie. Młoda żona i stary mąż. Później zostawiła też Tuv-Elema. Kilka lat temu spotkałem go w Hajfie. Jest dyrektorem Banku Żeglugi. Niewidzialna. - Znowu zachichotał. - Smakuje ci tom collins?

- Tak.

Lizzi czuła, że jest w jego mocy, albo mówiąc prościej - zaczyna się w nim zakochiwać.

Przypomniała sobie, że najprawdopodobniej Archimedes Lewi jest tą tajemniczą osobą, która pomagała Aleks w podejrzanym machinacjach z pieniędzmi klientów i ostatecznie przyczyniła się do jej zguby. Doskonale rozumiała, czemu Aleksandra Hornszyk zakochała się w nim ponad dziesięć lat temu. Nie rozumiała natomiast, co skłoniło ją do tego, że wybrała Hornszyka.

- Jesteś żonaty?

- Nie.

- Z powodu Aleks?

- Nie. - Pytanie wyraźnie go rozbawiło. - Myślałaś, że mam złamane serce? Obraziłem się, kiedy mnie rzuciła. Byłem wściekły, czułem się oszukany. Ale bez przesady. To właśnie, Lizzi, różni ludzi ze starych, dobrych rodzin od nuworyszy: brak przesady! Domy, meble, ubrania, uczucia, dzieła sztuki, rozum, wykształcenie... Z niczym nie należy przesadzać.

- Myślę, że jesteś bardzo inteligentny.

- Mam nadzieję, że tego nie widać.

Oboje się uśmiechnęli. Lizzi pomyślała, że przecież sama jest osobą, która z niczym nie przesadza. Jeśli spróbuje ją uwieść, nie będzie miała nic przeciw temu, choć diabli wiedzą, dlaczego miałyby wybrać akurat ją.

- Od dawna nie spotkałem kobiety, która się na nic nie sili - powiedział Archimedes.

- To miał być komplement?

- Tak.

- Dużo pracuję.

- Ja też.

Znowu się uśmiechnęli, wiedząc, że ich dialog zabrzmiał głupio.

Podszedł kelner, aby po raz trzeci napełnić kieliszek Lizzi winem Golan, lecz Archimedes dał mu znak, żeby tego nie robił. Wstali od stołu, pozostawiając butelkę w połowie pełną. Lizzi stwierdziła, że była to najbardziej elegancka rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Nawet bardziej elegancka od jego Citroena. Nie należy przesadzać - powiedziała sobie w duchu.

- Dokąd cię odwieźć? - zapytał, gdy wjechali w granice Beer Szewy.

- Mój samochód stoi na parkingu naprzeciw posterunku.

Kiedy podeszła do białego forda, delikatnie odwrócił ją w swoją stronę i dotknął wargami jej warg. Był trochę od niej wyższy i pachniał kawą, koniakiem i cygarem, a także wodą po goleniu. Ponieważ się nie cofnęła, zagarnął ją w ramiona, przyciskając jej ciało do swojego. Gdy gładził jej wygięte plecy pod swetrem, czuła, że cała płonie. Jego ręce były silne i chłodne. Język wędrował pomiędzy jej wargami, a potem wyruszył na mały rekonesans po szyi, podbródku i za uszami. Palcami szukała jego ciała i wciągnęła w nozdrza karmelowy aromat skóry. Pierwszy raz w życiu zawiodły ją nogi i o mało się nie przewróciła.

Ogłuszający pisk z wnętrza samochodu sprawił, że oboje aż podskoczyli. Pager! Lizzi dostała ataku śmiechu, którego w żaden sposób nie mogła powstrzymać. Cały alkohol, który dzisiaj wypila, tom collins, wino Golan i likier, i ten mężczyzna - jeszcze trochę, a położyłaby się na parkingu! Archimedes puścił ją, spojrzął na nią z uśmiechem i czekał, aż się uspokoi.

- Nie zamierzasz odpowiedzieć?

- Za moment. To tylko mój naczelny z Tel Awiwu, Gedalia Arieli. Nie zaszkodzi mu, jak trochę poczeka.

- Nie będzie na ciebie zły?

- On zawsze jest na mnie zły. „Fakty, które możesz potwierdzić, Badihi” -przedszczyła Ariego. - Boi się sprawy o zniesławienie.

- Wydaje się więc rozsądnym człowiekiem.

- Nie obawiaj się. Nawet gdybym chciała opublikować to, co mi opowiedziałeś, Arieli by się nie zgodził.

- A nie chcesz?

- Bardzo chcę! Zgodziłbyś się?

- Obiecałaś, że tego nie zrobisz, Lizzi Nie Cytuje Badihi.

- Nigdy nie złamałam obietnicy, złodziejskie słowo honoru.

- Idź spać, Lizzi. Jesteś zmęczona.

Wiedziała, co sobie pomyślał. Że jest pijana. Właśnie tak. Miała już po dziurki w nosie tego „Lizzi, idź spać”. Chętnie poszłaby teraz spać, ale z nim!

Otworzyła drzwi samochodu, zapaliła silnik i odjechała do domu, nawet się nie oglądając. Postanowiła, że nie zadzwoni do redakcji. Niech Arieli pęknie ze złości!

Rozdział 18

„Urząd” Pinchasa Hornszytyka mieścił się w małym ponurym pokoju na drugim piętrze gmachu sądów. Jediną ozdobę tego gabinetu, z którego korzystała też sędzina Taana Berger, stanowiły dwie reprodukcje obrazów Daumiera ze scenami z życia prawników. Na wieszaku przy drzwiach wisały dwa płaszcze nieprzemakalne, dwa czarne parasole i toga Hornszytyka. Nie było zasłon ani firanek i widoczny za oknem skrawek szarego nieba jeszcze bardziej wzmagał posępny nastrój. Lizzi pomyślała, że w porównaniu z miejscem pracy dwojga sędziów jej pokój w redakcji jest naprawdę luksusowy.

- Nie życzę sobie, żebyś do mnie dzwoniła. Ani do domu, ani do pracy - powiedział Hornszytyk, starając się nie patrzeć na nią swoimi wyblakłymi oczami. Stał przy biurku i układał w trzech stosach brązowe kartonowe teczki. Wyglądał przy tym jak wychudzony szczur.

- Mam wiele pracy. Próbuję wrócić do normalnego życia. - Zgolił brodę, która mu wyrosła w czasie żałoby, i jego pociągła twarz wydawała się teraz dłuższa niż zwykle.

- Z chęcią dałabym ci spokój - skłamała Lizzi - ale mój szef żąda, abym nadal zbierała materiały o... o tym nieszczęściu. Postaram się streszczać.

- Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać. - Jego głos się załamał, podniósł do krzyku.

- Dlatego że ze mną spałeś, czy dlatego, że jestem dziennikarką?

Przez moment myślała, że Hornszytyk dostanie ataku. Opadł na krzesło jak marionetka, której nagle podcięto sznurki.

- Jeśli będziesz przychodzić do mnie do domu czy do biura albo będziesz mnie niepokoić w jakikolwiek inny sposób, poproszę o pomoc policję. Zrozumiałaś?

- Skąd ta agresja? Co ci zrobiłam?

- To ja jestem agresywny?! Przecież mogłem opowiedzieć policji, skąd się wzięła krew na prześcieradle, ale nie zrobiłem tego, żeby ci nie zaszkodzić. Policja mnie podejrzewa, mam alibi, lecz go nie zdradzam, bo myślę o twojej reputacji. Nie wstyd ci?

- To ja mam się wstydzić? Ja?!

Wydał się jej nagle odpychający w swojej brązowo-zielonej kamizelce, na tle szarego nieba za oknem, ze zniszczonymi tekturowymi teczkami w rękach. Jak taka kobieta jak Aleks mogła z nim żyć? Dlaczego?

- Wiedziałaś o Jackiem Danzigu?

Hornszytyk zawahał się, popatrzył w kierunku drzwi. Była pewna, że zastanawia się, czy nie wezwać pomocy i nie usunąć jej stąd. Była też pewna, że tego nie zrobi.

- Tak.

- Wiedziałaś, że Jackie ją szantażował?

- Szantażował?

- Szło o pieniądze.

- Wiedziałem, że kupiła mu mieszkanie. To były jej pieniądze.

- To znaczy: wiedziałaś o tym.

- Nie mówię, że wiedziałem, że ją szantażował.

- Macie wspólne konto w banku?

- To nie powinno cię interesować.

- Lubicz wpłacał twoją pensję na wspólny rachunek?
- O czym ty mówisz?
- Słyszaleś.

Hornszyk, zarumieniony, wstał z miejsca, obszedł biurko, zbliżył się do niej i ujął silnie za ramię, ciągnąc w stronę drzwi. Lizzi zdawała sobie sprawę, że z pewnością nie życzyłby sobie awantury. Nie pierwszy raz ktoś próbował wyrzucić ją za drzwi i z pewnością nie ostatni. W torbie miała włączony dyktafon i jeśli zajdzie taka potrzeba - taśma oczyści ją z zarzutów.

- Nie zdziwiłeś się, kiedy go zaprosiła, by grał na przyjęciu?
- Wynos się!
- Nie podejrzewasz, że to Jackie zabił twoją żonę?
- Przecież grał wtedy na fortepianie.
- Skończył grać o północy, a twoja żona została zastrzelona około północy.
- Wydaje ci się, że kim jesteś? Detektywem?
- Nie podejrzewasz Jackiego Danziga?
- Nie.
- A dlaczego go nie podejrzewasz? Bo wiesz, kto naprawdę zamordował twoją żonę!
- Tak? Kto?

Lizzi stała naprzeciw niego i milczała. Czekwała, że się załamię, że wymieni jakieś nazwisko. Obrzydzenie wykrzywiło jego usta.

- Jeśli odważysz się raz jeszcze mnie niepokoić, zadbam, żeby cię zatrzymano. Mam małe dzieci, zapomniałaś? Zdajesz sobie sprawę, jak muszą cierpieć? Pomyślałaś o tym?

Hornszyk nacisnął klamkę, ale nie otworzył drzwi. Ktoś, kto przechodził korytarzem, mógł usłyszeć gniewne głosy, ale nie mógł zrozumieć słów ani rozpoznać mówiących. A cóż nadzwyczajnego jest w gniewnych głosach na terenie sądu? Lizzi doszła do wniosku, że Hornszyk jest doskonałym graczem. Jego reakcje były powściągliwe, niemal zrównoważone. Nie można było się zorientować, czy istotnie kogoś podejrzewa, czy też próbuje udawać albo zyskać na czasie. Wypchnął ją na zewnątrz i zamknął za nią drzwi. Wyglądał na wyczerpanego, ale był silny. Miał dosyć siły, aby wytrwale czynić zło. Siły fizycznej i psychicznej. Najwidoczniej przed tą siłą ustąpiła także Aleksandra Hornszyk, z domu Lubicz.

Lizzi przystanąła na korytarzu w gmachu sądów i włożyła prochowiec. Po raz pierwszy od przyjęcia w domu Hornszyków usiłowała zrozumieć, co się z nią wtedy stało. Co ją rzuciło w ramiona pana domu? Czyżby aż tak łatwo było ją uwieść? Czy też zachowała się tak, ponieważ prawie skończyła trzydzieści lat i nagle przestraszyła się samotności i staropanieństwa? Ale co jest złego w panieństwie i samotności? Przecież nie rozpacza z tego powodu i ma pracę. Czyżby niepokoił ją pewien stereotyp? Skrywany nacisk ze strony matki i sióstr? A może to brak doświadczenia sprawił, że pomyliła się w ocenie sytuacji? Coś przebudziło się w głębiach jej ciała, które dotąd było jak wygasły wulkan. Iskra, która pojawiła się z nieznanych przyczyn, rozżarzyła się nowym ogniem. Trzydziestoletnie ciało wyrwało się z uśpienia i zadziwiło ją ukrytymi siłami i możliwościami. W każdym razie Hornszyk, którego się brzydziła, uwolnił ją od wstydu „wiecznego dziewictwa”. Ale czy w związku z tym Archimedes Lewi, w którego ramionach omdlewała wczoraj i z którym gotowa była pójść do łóżka, gdyby tylko tego zapragnął, po tygodniu także wyda jej się stary i odrażający? Nie, nie, na pewno nie. Zdażyła już zauważyć, że to mężczyzna wyjątkowy, oaza kultury i wyrafinowania na pustyni chamstwa i pospolitości.

Nie miała nikogo, z kim mogłaby omówić dręczące ją problemy. Całe jej towarzystwo stanowili zawsze krewni. Wydarzenia rodzinne - zaręczyny, śluby, ceremonie obrzezania i bar micwy, pogrzeby - wypełniały każdą wolną chwilę w jej życiu. Odkąd skończyła szkołę podstawową, nie miała żadnych koleżanek i - prawdę mówiąc - nigdy nie odczuwała ich braku. Czasami spotykała przypadkiem tamte dawne koleżanki. Wszystkie były otoczone potomstwem. Niektóre nawet zdażyły odbyć służbę w wojsku i pracowały zawodowo, jednocześnie wychowując dzieci. Wiedziała, co sobie myślą: że z całej ich klasy właśnie Lizzi zostanie starą panną. Kto by w to uwierzył? Wszystkie oczywiście widywały jej nazwisko w gazecie. Lizzi Badihi to była instytucja, prawie na równi z targowym czwartkiem. Choć nie przyszłoby to do głowy nikomu, kto znał jej skromne osiągnięcia szkolne. „Kujonka”. Niezbyt zdolna, ale pracowita. Wypełniała swoje obowiązki bez entuzjazmu, słaba z muzyki, kompletne dno na wuefie. W szóstej klasie nagle zaczęła rosnać wzdłuż i wszerz, wszystkie ubrania stały się na nią za krótkie i za wąskie. Zaczęła

też mówić po cichu i poruszać się krokiem wielbłąda usiłującego nie wyróżniać się w stadzie. Nic to jednak nie pomagało. Lizzi przypuszczała, że niektóre z jej dawnych koleżanek czerpią skrytą satysfakcję z faktu, że ta najbardziej znana spośród nich nie złapała męża ani nie założyła rodziny. Istnieje sprawiedliwość w życiu albo równowaga w przyrodzie, albo każdy sukces ma swoją cenę, albo coś tam.

Rozdział 19

Lizzi weszła do teatru w połowie konferencji prasowej. Jeśli istniał człowiek, który mógł się gdziekolwiek pojawić bez zwracania na siebie uwagi, to z pewnością była nim Lizzi. Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi. Wiedziała, co sobie myśleli. Bezczelność tej baby z „Czasu Południa” przekracza wszelkie granice! Właśnie tak! Erez Jakobson, kierownik zespołu tanecznego, podstarzały chłopiec w obcisłych dżinsach, podkoszulku i okularach lennonkach, cierpliwie odczekał, aż znajdzie sobie krzesło i usiądzie. Oczywiście krzesło okazało się najbardziej skrzypiącym meblem w Beer Szewie.

Nie może istnieć pełne życie kulturalne bez tańca.

- W Beer Szewie niewątpliwie istnieje życie kulturalne - podkreślił Jakobson donośnym głosem, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. - Lecz brakuje tu jednego aspektu, a mianowicie tańca. Wypełniliśmy puste miejsce na mapie życia kulturalnego Beer Szewy, zakładając ten zespół, w całości złożony z miejscowych tancerzy. Pierwszy układ, który przygotowaliśmy, nazywa się Ekspresja. Myli się ten, kto oczekuje tu fabuły, charakteru czy piękna. Ktoś taki nie powinien w ogóle przychodzić na nasze przedstawienia. Choreografia jest dziełem Moszego Szuberta, muzyka - amerykańskiego artysty, Henry'ego Dicksona Caula, występują trzy tancerki i czterech tancerzy. Układy choreograficzne są ściśle zależne od charakteru muzyki Caula i - tu Jakobson rozpostarł ręce we wszechogarniającym geście - siły przyciągania ziemskiego.

Dziennikarze zachichotali. Jakobson uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami i odczekał, aż ponownie zapanuje cisza.

- Tego problemu jeszcze nie udało się nam rozwiązać. Powiadomimy was z pewnością, gdy to nastąpi. W każdym razie - mówca postarał się odzyskać inicjatywę, za dużo humoru mogłoby mu zepsuć konferencję prasową - zamiast linearnej scenografii, którą ku mojemu zdziwieniu nadal wykorzystują inne zespoły, posłużymy się linami i światłem laserów. Podziela one przestrzeń sceny na segmenty, w których będą się poruszać tancerze. Każdy z nich będzie miał możliwość dowolnej interpretacji utworu, stając się jednocześnie twórcą i wykonawcą, trochę jak w nowoorleańskich zespołach jazzowych. Jak zapewne wiecie, nasz choreograf, Mosze Szubert, od dwóch lat prowadzi w Beer Szewie warsztaty tańca. Przywiązuje on wielką wagę do pracy kręgosłupa, szyi i karku. Jest to absolutnie nowatorska metoda w Izraelu. Wydaje mi się, że teraz możemy zacząć odpowiadać na pytania. Chcesz coś dodać, Mosze?

Niepozorny, szczupły człowieczek, który siedział pomiędzy dziennikarzami, podniósł się z miejsca i stanął w takiej pozycji, że zarówno jego brzuch, jak i góra pleców były zwrócone w stronę Jakobsona. Nie, właściwie nie ma nic do dodania - powiedział. Może poza tym, że zaznacza się tu wyraźny wpływ Cunninghama, tak jak oczywiście w Siddharcie, z tym że tam brzmienie było indyjskie. Częściowo tybetańskie, częściowo indyjskie. I to tyle mniej więcej - zakończył i opadł z powrotem na krzesło jak zwolniona sprężyna.

Dziennikarze nalewali sobie sok pomarańczowy i zaczęli wyjadać słone paluszki z papierowych kubeczków, gdy Lizzi poczuła, że coś dźga ją w plecy. Obróciła się i ujrzała Adulama, który celował parasolem w środek jej płaszcza i dawał znaki, żeby wyszła na zewnątrz. Odsunęła czubek parasola i zamierzała notować dalej, ale uświadomiła sobie, że pamięta tylko coś o Indiach. Chętnie wyszłaby z teatru, ale po tym hałasie, który spowodowała wchodząc, nie pozostawało jej nic innego, jak siedzieć i czekać, aż inni sobie pójdą. Francuska dziennikarka zapytała, czy wybór tematów jest w pewnym sensie protestem. Jakobson odparł, że to raczej reakcja niż protest, ale może być też protest, chociaż on woli się nad tym nie rozwodzić. Na sali zapanowała cisza. Lizzi przemknęło przez myśl, że może wszyscy obecni w ogóle nie są dziennikarzami, tylko członkami jakiegoś rewolucyjnego podziemia. Miło będzie zostać aresztowanym nie wiadomo za co i dlaczego.

Przed budynkiem natknęli się na grupkę demonstrantów - cztery kobiety i trzech mężczyzn, ubranych jak do wspinaczki wysokogórskiej, którzy nieśli transparent z napisem: „Skończyć z okupacją!” Wiał wiatr, niosąc w ich stronę kłęby cierni i plew wirujące w tumanie pyłu. Adulam otworzył parasol i trzymając go przed sobą jak rycerz tarczę, odprowadził Lizzi do samochodu.

Zaproponował jej układ.

Dziennikarze, których spotykają na konferencjach, są korespondentami prasy krajowej. Ich praca opiera się na innych zasadach, stawia im się inne wymagania. Tylko oni, Beni Adulam i Lizzi Badihi, są obciążeni podwójnie. Muszą dostarczać wiadomości i do prasy krajowej, i do prasy lokalnej. Według niego nie może tak dalej być. Nie powinni się uganiać za każdym przedsiębiorcą, który otworzył nową pizzerię, albo wariatem, co powiesił psa na latarni, protestując przeciw brakowi jakiegoś towaru. Proponuje, żeby zaczęli ze sobą współpracować. Jest zajęty, studiuje, nie chce mu się informować redakcji o każdym kichnięciu każdego żebraka w tym mieście. W ciągu tych kilku miesięcy, które przepracował w „Dzienniku Południa”, zebrał więcej kopniaków niż w ciągu całego życia, ze służbą w artylerii włącznie. Wszystko ma swoje granice, nie?

- Chciałbyś, żebym przestała pracować dla „Czasu” krajowego?

- Nie przesadzaj. Mam na myśli rzeczy, które mogą się ukazać tylko w gazetach lokalnych. Biorę udział we wszystkich tych konferencjach tylko ze strachu, że pani Badihi tam będzie, a pana Adulama zabraknie. To współzawodnictwo nas ogłupia. Konferencja prasowa Ereza Jakobsona! Z domu nazywa się Ben Jakow, tak jak jego rodzice. Jego matka miała pralnię w naszej jednostce.

- Co w tym złego?

- Zupełnie nic, tyle że zwykła sprzedawać wojskowe spodnie w czwartki na targu.

- Już masz historię.

- Z taaaką brodą. Jakobson! Myślałby kto! Lizzi, marnujemy tylko czas i siły na masę bzdur.

- To jest część tej pracy, mój drogi. Dopiero zaczynasz i już się skarżysz? Ja to robię od dziesięciu lat.

- Za tydzień zaczyna się sesja.

- Ja też jednocześnie uczyłam się i pracowałam. Dasz sobie radę.

- Nie miałaś konkurencji.

- To rzuć dziennikarstwo.

- Na moje miejsce przyjdzie ambitny reporter, entuzjasta swojej pracy, i wtedy sama zobaczysz.

- Naprawdę mnie przeraziłeś.

Adulam odwrócił się i odszedł. Lizzi stała w chmurze piasku, który zgrzytał jej w zębach i wnikał we włosy. Szybko wsiadła do samochodu i w lusterku zobaczyła, jak wiatr obraca na drugą stronę parasol Adulama, odsłaniając połamane druty.

- Wcale mi go nie jest żal - powiedziała do siebie.

Na szczęście nie przyszło mu na myśl, że ona także chodzi w te wszystkie miejsca ze strachu przed konkurencją. Powinna zachowywać się tak, jakby „Dziennik Południa” i Adulam w ogóle nie istnieli. Jednak właśnie z ich powodu zmieniła styl pracy i zaczęła pisać o różnych lokalnych głupstwach, którymi przedtem w ogóle się nie przejmowała.

Rozdział 20

Rodzice Szibolet, Miri i Jechezkiel, ucieszyli się z przyjazdu Lizzi. Córka opowiadała im, że reporterka jest bardzo pracowita, a oni umieli docenić pracowitych ludzi, również tych z miasta. Lizzi może stanowić dobry przykład dla Szibolet. Nie żeby brakowało jej dobrego przykładu w kibucu. Jednakże w naszych czasach młodzi ludzie są podatni na wszelkie pokusy z zewnątrz, więc lepiej, żeby znalazła się pod wpływem Lizzi niż kogoś innego. Jechezkiel pracował w oborach razem z Willim Achinoamem. Lubił go i cieszył się razem ze wszystkimi, kiedy ukazał się o nim artykuł w gazecie. Należało mu się, tacy ludzie jak Willi Achinoam to wielka rzadkość.

Miri i Jechezkiel mieszkali w ostatnim z domków szeregowych. Jechezkiel uprawiał ogródek. Hodował wyłącznie róże, które rosły w klombach zrobionych z pomalowanych na różne kolory opon samochodowych. Krzewy pnących róż zwieszały się z daszku nad wejściem.

Rodzice Szibolet, podobnie jak Jafa i Willi Achinoamowie, należeli do założycieli kibucu Oznaja. W odróżnieniu od stanowiących większość czarnowidzów byli przekonani, że młodsze pokolenie nie jest nastawione konformistycznie.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Miri. - Rzecz w tym, że oni naśladują nasz nonkonformizm. Chcą tak jak my zaczynać od zera. Wychowali się na opowieściach o tym, jak opuściliśmy drobnomieszczańskie domy rodziców i osiedliliśmy się na pustkowiu, jak własnymi rękami zbieraliśmy kamienie i kopaliśmy studnie, jak sialiśmy zboże i jak przyszły na świat pierwsze dzieci. I co robią? Powielają nasz wzór. Szukają dziewiczego ładu, żeby tam założyć własne społeczeństwo. Nie możemy mieć do nich o to pretensji. Fakt, że granice ich świata przebiegają gdzie indziej - Los Angeles, Bangkok, Boliwia... To już nasza porażka, nie ich. Czyż nie tak?

Miri mówiła w sposób agresywny, w każdej chwili gotowa odeprzeć cudze argumenty. Podobną dyskusję prowadziła już wielokrotnie i nie zdawała sobie sprawy, że ten kontrowersyjny temat może zupełnie nie obchodzić dziennikarki.

- Jest pani nauczycielką? - zapytała Lizzi, próbując coś zrozumieć z ideologicznego żargonu.

- Lizzi, nie przypominaj jej o tym - wtrąciła Szibolet. - To tylko pogarsza sprawę.

- Nigdy nie byłam murarzem i jeśli to komuś nie odpowiada, to już nie moja wina - powiedziała Miri ze złością do córki.

- A nie mówiłam? - Szibolet się roześmiała.

- Nie chce pani być nauczycielką? - zapytała Lizzi.

- Ja akurat chcę. Problem w tym, że mamy tu dziewczyny, które nie chcą być nauczycielkami, nie nadają się do tego i działają na szkodę uczniów. Tak jak we wszystkich sfeminizowanych zawodach.

- Jafa Achinoam też jest nauczycielką? - zapytała Lizzi.

- Jafa przez wiele lat była wychowawczynią harcerek. Ostatnio ukończyła specjalny kurs w College'u Negew i zaczęła uczyć przyrody w jednej z miejscowych szkół. Zajmuje się też przygotowaniem świąt.

- Jej syn, Szajke, to bystry chłopak.

- Bardzo bystry - potwierdziła Miri.

- Nowe domy świetnie wyglądają! Nie wiem, czy wygodnie w nich się mieszka, ale sprawiają wrażenie bardzo funkcjonalnych.

- Są ładne, nie tylko funkcjonalne. Każdy mógł wedle własnego uznania urządzić sobie kuchnię i łazienkę.

- Kiedy zakończy się budowa całości?

W pokoju zapadło ciężkie milczenie. Jechezkiel i Miri starali się na siebie nie patrzeć. Lizzi przyglądała się im i próbowała odgadnąć, czy jeszcze się kochają. Oboje mieli około pięćdziesiątki, góra pięćdziesiąt pięć lat. Na parapecie okiennym stały słoiki z pestkami awokado, które wypuszczały pędy. Lizzi zastanawiała się, czy zamiłowanie do hodowli roślin łączy się ze zdolnością do okazywania miłości.

- Dostałyśmy pokój Jeffreya i Dalii - obwieściła radośnie Szibolet, jakby nagle przypomniała sobie jakąś pomyślną wiadomość. - Jeffrey gra na wiolonczeli w miejscowym kwartecie smyczkowym - wyjaśniła. - Dziś wieczorem mają koncert w Kiriat Gat.

- Młode małżeństwa mieszkają w pojedynczych pokojach?

- Kiedy my tu przyjechalśmy, mieszkaliśmy we czworo w jednym pokoju - przypomniał Jechezkiel.

- Ale minęło już trzydzieści lat! - oburzyła się Miri. - Jak nie ma - trudno! Ale są! Tylko nie dla wszystkich!

- Miri, proszę cię - powiedział Jechezkiel zduszonym głosem.

- O nic nie będziesz mnie prosił. Nie masz o co mnie prosić. O co mnie prosisz?

- Pół miliona dolarów - Lizzi dołała oliwy do ognia - nie rozplywa się w powietrzu. Te pieniądze były i są, trzeba tylko je znaleźć. Należy iść po śladach od początku i sprawdzić, w którym momencie były jeszcze na swoim miejscu. Gabrielow nawet chciał ze mną porozmawiać, ale nie zgodził się na to Szajke Achinoam. Powiedział, że musi uzyskać zgodę czy coś tam.

- Miał rację, jeszcze tylko tego nam brakuje! Rozgłosu! - wtrącił Jechezkiel.

- Zaczęliśmy od dziesięciu mieszkań - zwróciła się Miri do męża cichym głosem. - Potem była mowa o dwunastu, a skończyło się na pięciu. Co się stało?

- Nie ma dymu bez ognia - powiedziała Lizzi.

- A nie mówiłam wam, że ona jest mądra?! - wykrzyknęła Szibolet.

Jej rodzice nie odezwali się ani słowem. Miri miała pociągłą twarz i szerokie biodra. Jej skóra, napięta na wystających kościach policzkowych, wyglądała, jakby została wyszorowana szczotką ryżową. Wszystkie diety świata nie są w stanie poprawić takiej budowy ciała - myślała Lizzi. Kto jak kto, ale ona wie coś o tym.

- Jak trafiliście na Aleksandrę Hornszytk?

- Jak trafiliśmy! Skąd mam wiedzieć?! Ido i Szajke zajmowali się badaniem rynku budowlanego. Powiedzieli, że powinna to być firma miejscowa, żeby mogła nadzorować budowę.

- I nadzorowała?

- I sama Aleksandra, i jej wspólnicy. Wszystko było w porządku. Nikt się nie skarżył. Trzeba będzie zwołać nadzwyczajne zebranie mieszkańców - powiedziała nagle do Jechezkiela, który cały czas patrzył na nią zatroskany. - Cały nasz dorobek tonie na naszych oczach, a my nic!

- Zaufaj Szajkemu i Idonowi. Jestem pewien, że robią co należy.

- Ja też chcę coś robić. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Mam do tego pełne prawo. Wszyscy mieszkańcy mają prawo. Jak długo jeszcze będą nas wodzić za nos? Co to ma być? Ich rodzinny interes?

- Mamo, mamo! - Szibolet nagle posmutniała.

- Może warto, żebyście zwrócili się do policji - zaproponowała Lizzi.

- Napijcie się kawy? - zapytał Jechezkiel. - Lizzi, jaką kawę pijesz? Neskę czy mieloną?

- Ja zaparzę - powiedziała Szibolet i zerwała się z miejsca. Lizzi zrobiło się jej żal. Ta dziewczyna tak bardzo chciała wierzyć, że świat jest piękny i pełen radości.

- To nie tajemnica, że wasze pieniądze znikły - powiedziała Lizzi. - Jeśli ja o tym usłyszałam, inni też usłyszą.

- Ta pani inżynier od początku mi się nie podobała. To będzie istny cud, jeżeli Ido nie dostanie zawału - narzekła Miri.

- Ido, Ido! - wybuchnął Jechezkiel. - Ja się będę tylko cieszył, jeśli zostaniemy w tym domu. Zostawić moje róże! Po tylu latach pracy! Pomyślałaś o tym? Co dla mnie znaczy zostawić moje kwiaty?

Szibolet ze łzami w oczach wróciła do pokoju. Kiedy w milczeniu wypili kawę, chwyciła Lizzi za ramię i pociągnęła ją na zewnątrz.

Rozdział 21

- Lizzi Badihi we własnej osobie!

Ten głos, jedyny w swoim rodzaju! Bencijon Koresz był ostatnią osobą, którą Lizzi pragnęła spotkać w tym miejscu i w tym czasie. Patrzył, jakby za moment miał ją pochwycić i zakuć w kajdanki. Za jego plecami Ilan-Sergio Bahut uniósł brwi. „Niestety, nie mogę cię uratować, kochana Lizzi” - wydawał się mówić. Z tyłu za nimi stał jeszcze jeden policjant, którego nie знаła, chudy, wysoki i łysiejący, o wystraszonej spojrzeniu. W rękę trzymał starą skórzaną teczkę i wyglądał jak nauczyciel Biblii. Ku zdumieniu wszystkich Szibolet wybuchła płaczem. To grzmiący głos Benciego sprawił, że ostatecznie się załamała.

- Kto to jest? - zapytał Benci.

Lizzi przedstawiła Szibolet obu swoim szwagrom i chudemu policjantowi, który się nazywał Mike Zilha.

- Teraz jedziesz do domu, Lizzi.

- To wolny kraj - sprzeciwiła się. - Jestem gościem Szibolet. Teraz idziemy do pokoju Jeffreya i Dalii, którzy pojechali na koncert do Kiriath Gat. - Lepiej niech się z tym pogodzi. - A co wy tutaj robicie?

- Zbyt często się na ciebie ostatnio natykam.

- W takim razie warto, żebyś ze mną współpracował, Bencijonie Koresz.

- Nie rozśmieszaj mnie.

Role się zamieniły. Tym razem to Lizzi chwyciła za ramię Szibolet i pociągnęła ją wzdłuż ścieżki. Kiedy oddaliły się od Benciego i jego towarzyszy, powiedziała:

- Zaprowadź mnie do Idona Gabrielowa. Szybko. Zanim porozmawia z nim policja.

Szibolet poprowadziła Lizzi między domami. Przechodziły przez trawniki, klucząc wśród młynków wodnych, rodziców bawiących się ze swoimi pociechami, dziadków ubranych w niebieskie kombinezony, siedzących na małych traktorach, rzeźb Willego Achinoama, który okazał się niezwykle płodnym artystą, oraz babć niosących tace z ciastem ukrytym pod serwetkami, jakby się go wstydziły.

Znalazły Idona w jego pokoju, siedzącego za niewielkim biurkiem. Lizzi powiedziała mu, że policja właśnie do niego idzie, i zaproponowała, żeby udał się z nią w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mógłby wszystko przemyśleć, a może nawet podzielić się z nią tymi przemyśleniami. Trzeba przyznać, że nie zadawał zbędnych pytań. Zebrał papiery z biurka i wepchnął je do dużej plastikowej torby z rysunkiem Myszki Miki, po czym wypadł na zewnątrz, z Lizzi i Szibolet depczącymi mu po piętach.

Kiedy doszli do fabryki śrub, wyciągnął klucz spod doniczki z kaktusem i otworzył drzwi. Z hali maszyn przeszedł do sortowni, a z niej do małego magazynu. Stały tam koszyczki wypełnione plastikowymi śrubami, których kolor odpowiadał kolorowi koszyczka. A było tam tych pojemniczków co najmniej z pięćset - dość, by zaspokoić potrzeby Chin.

Lizzi opowiedziała Gabrielowowi o Bencim, Ilanie i trzecim policjancie, on zaś w odpowiedzi rzucił jej to samo uszczypliwe, kwaśne spojrzenie, które zapamiętała ze swojej pierwszej wizyty. Zastanawiała się, czy jest coś, co w ogóle cieszy go w życiu albo po prostu sprawia mu przyjemność. Przypomniała sobie jednak, że ten jego ascetyczny wygląd może być zwodniczy. Przecież opuścił żonę dla młodej dziewczyny, którą zresztą komuś odbił, i nie unikał też innych przyjemności życiowych, korzystając przy tym z samochodu, delegacji i wynajętego pokoju. Lizzi poleciła Szibolet stanąć przy oknie, aby mogła ich ostrzec, gdyby ktoś nadchodził. Ido zdjął z metalowego stołu niebieski koszyczek pełen niebieskich śrubek i położył na jego miejscu torbę z Myszką Miki.

- Z rachunku bankowego kibucu zniknęło pół miliona dolarów przeznaczone na budowę nowych domów. Gdzie one są? - zaatakowała go Lizzi.

- Dajcie mi spokój.

- Wiem, że razem z Aleksandrą Hornszyk zainwestowaliście te pieniądze nielegalnie, żeby więcej zarobić. Wiem też, że człowiek pożyczający na procent was oszukał. Zamordował pan Aleksandrę, żeby nie wykryto tych manipulacji. Gdzie są pieniądze?

- Daj mi pomyśleć.

- W jakim stopniu był w to zamieszany Szajke Achinoam? Komu jesteście winni pieniądze? Czy jest nakaz konfiskaty majątku? Kim są wasi dłużnicy? Czy Bank Izrael-Luksemburg poręczył za was?

- Szibolet - rozkazał Gabrielow - zabierz stąd tę kretynkę.

- Kretynka zaraz sama stąd wyjdzie i powie policji, gdzie można pana znaleźć. Ma pan prywatne konto w banku, panie Gabrielow. Już na nie trafili.

- Oszalałaś! Jakie konto?

- To, które otworzyliście razem z Aleksandrą Hornszyk. Tam wpłacaliście nielegalnie zarobione pieniądze. Mielście wspólny rachunek w Banku Izrael-Luksemburg i drugi, dodatkowy, wasz prywatny. W ten sposób praliście brudne pieniądze.

- Nasza księgowość jest w porządku. Wszystkie transakcje mamy zapisane.

- Z miesięcznym opóźnieniem. Wszystko jest zapisane z miesięcznym opóźnieniem.

- Kto tak mówi?!

Był przerażony. W istocie, potwierdził się jeden fakt: Ido Gabrielow był współnikiem Aleksandry Hornszyk w jej finansowych machinacjach. Czy te pieniądze szły do jego kieszeni? Czy też wpadł w kłopoty, starając się zarobić dla kibucu więcej, niż to było osiągalne?

- Szibolet! - krzyknął Ido. - Przyprowadź tutaj Szajkego. Ty zostań! - rozkazał Lizzi.

Szibolet zawahała się. Chciała usłyszeć Gabrielowa, lecz jednocześnie nie chciała zostawiać Lizzi.

- Nic mi nie zrobi - uspokoiła ją Lizzi. - Nie powiedziałam niczego takiego, czego policja już by nie wiedziała.

Szibolet wyszła.

Ido otworzył plastikową torbę i zaczął w niej grzebać. Kiedy nie udało mu się znaleźć tego, czego szukał, wysypał jej zawartość na podłogę i sam ukląkł obok, przerzucając papiery. Były między nimi książeczki czekowe, poświadczenia wpłat i wydruki komputerowe z kont przeróżnych banków. W którymś z pokoi w biurze kibucu z pewnością znajdowała się dokumentacja bardziej uporządkowana niż ta upchnięta w torbie z Myszką Miki.

- Policja podejrzewa, że zamordował pan Aleksandrę Hornshtyk. Oddał jej pan pieniądze kibucu, wpadła w kłopoty, pieniądze znikły. Żądał pan zwrotu, ale ona tylko pana zbywała i usiłowała zyskać na czasie, motając się w ten sposób jeszcze bardziej. Jedynym ratunkiem było obwinić ją wobec członków kibucu. Dlatego umarła.

Lizzi była niezwykle z siebie dumna. Sądziła, że jej hipoteza jest logiczna i robi wrażenie. Gabrielow jednak puszczał jej słowa mimo uszu. Pochylony, grzebał i grzebał w papierach, przeglądając każdy z osobna i wpychając z powrotem do torby te nieużyteczne.

Usłyszeli, jak otwierają się drzwi i do budynku wchodzi jacyś ludzie. Po chwili do małego magazynu wkroczył Szajke, za którym podążał Bencijon Koresz, pochód zaś zamykali Ilan Bahut, Mike Zilha i Szibolet.

Benci ujął Lizzi za ramię, podprowadził ją do żelaznych drzwi i wypchnął na zewnątrz.

Aby oddać mu sprawiedliwość, należy zaznaczyć, że Szibolet poprosił, aby stamtąd wyszła.

- Myślisz, że to Ido zabił tę Hornshtyk? - zapytała dziewczyna z oczami rozszerzonymi ze strachu, kiedy już stały na zewnątrz.

- To możliwe.

Szibolet zalała się łzami.

Lizzi zrobiło się jej żal. W redakcji Szibolet zawsze tryskała radością. Odkąd jednak przyjechały do Sade Oznai, spotykały ją same przykrości, a tak bardzo chciała sprawić Lizzi przyjemność. Zdążyła już odkryć, że za plecami nazywają ją „Lizzi Słowik”, i uważała, że to niesprawiedliwe. Jej zdaniem Lizzi była mądrą kobietą i świetną dziennikarką, w ogóle była super. Zapraszając ją do kibucu, chciała wyrazić swój podziw i szacunek. Tymczasem wszystko się popsuło. Nawet wizyta u jej rodziców okazała się niemiła.

- Nie powiedziałam, że to on zamordował - pocieszała ją Lizzi. - Powiedziałam tylko, że to możliwe.

- Jego córka, Jedida, którą nazywamy Didi, była ze mną w harcerstwie. Jest na niego wściekła, że rzucił jej matkę, i niezbyt dobrze się ostatnio dogadywali. Ale to w końcu jej tata, no nie? To ją załamało, nas wszystkich to załamało. Co z nim zrobią?

- Zabiorą go na przesłuchanie. Jeśli jest niewinny, to go uwolnią. Jeśli okaże się podejrzany - aresztują go. Ten policjant, co tak wrzeszczy, to mój szwagier. Jest przerażający, ale nie bije przesłuchiwanym.

- Nie bije? - Szibolet była zaszokowana. Przez myśl jej nie przeszło, że ktokolwiek mógłby podnieść rękę na Idonę.

Nad ich głowami krzyczały ptaki. Mieszkańcy i mieszkanki kibucu, w większości rówieśnicy Gabrielowa, podchodzili - niektórzy z wahaniem, inni zdecydowanie - do budynku, w którym mieściła się fabryka śrub. Popatrywali na Lizzi spode łba. Cieszy się z cudzego nieszczęścia - można było wyczytać w ich oczach. Ech, ta przyjaciółka Szibolet, ta dziennikarka, niech ją diabli wezmą!

Rozdział 22

Ktoś podpalił dwa przystanki autobusowe na osiedlu C i Lizzi zdążyła zebrać i przekazać materiały do redakcji, zaledwie strażacy zakończyli akcję. Arieli był zadowolony. Zmęczony tłumaczeniami Lizzi, która zasłaniała się zawsze niesprawnością swojego pagera, postanowił nagrodzić ją japońskim telefonem komórkowym i pagerem, który był ostatnim krzykiem mody: piszczał i zapisywał wiadomości, zapamiętywał i przypominał, tańczył kozaka i przyrządzał koktajle. Jeżeli, nie daj Boże, go nie usłyszała, wyświetlał informację na małym ekraniku. Od tej chwili Lizzi Badihi nie będzie mogła powiedzieć „nie słyszałam”. Informacja o pożarze pojawiła się w wiadomościach radiowych, co częściowo osłabiło zadowolenie Arielego. Postanowił jednak,

być może powodowany względami dydaktycznymi, że zamieści materiał Lizzi w krajowym wydaniu „Czasu”. Mała informacja, mała premia - nie od razu podbijamy świat.

Lizzi wchodziła ciężko po schodach, stopień za stopniem, tęskniąc do gorącej kąpieli. Już teraz zaczynała się złościć na zdradzieckie krany. Na osiedlu C pojawiła się praktycznie razem ze strażakami. Razem z nimi też przeklinała wariata, który podpalił przystanki, i zimowe niebo, które akurat dzisiaj nie dało ani kropli deszczu. Brodziła w kałużach czarnej wody, wędrując między brygadą strażaków, kierowcą autobusu a kobietą, która widziała - a może i nie - podpalacza. Był ortodoksyjnym Żydem, Arabem albo wariatem, albo kombinacją wszystkich trzech. Rozmawiała też z Eliezerem Hawojnikiem, przypadkowym przechodniem, który cudem ocalał. Wyglądało na to, że ów Hawojnik za każdym razem był cudem ocalałym przechodniem. Czyżby własna wyobraźnia płatała jej figle? Czy może to doświadczenie dziennikarskie, spiętrzające się bez żadnej logiki czy porządku? Lizzi czuła w ustach smak dymu, który unosił się z jej włosów i wyciskał z oczu łzy. Usłyszała dzwonek telefonu, jeszcze zanim przekreśliła klucz w zamku.

- Chcesz pojechać na przystań?

- Kto mówi?

Oczywiście wiedziała, kto mówi. Archimedes zaś wiedział, że ona wie.

- Zjemy kolację na „Neptunie”, pod gołym niebem.

- Gdzie to jest?

- W Aszkelonie.

- Nie wiedziałam, że mają tam przystań.

- Nie mają. To prywatna plaża.

- Dlaczego nie przeniesiesz się do Aszkelonu?

- Bo wtedy nie mógłbym tam jeździć.

- Skąd masz mój numer telefonu?

- Od ciotki Klary. Będę u ciebie za kwadrans. Włóż sweter.

- Muszę wziąć prysznic. Cała jestem w popiele i dymie. Daj mi pół godziny.

Woda tym razem była letnia. Lizzi umyła włosy pachnącym szamponem, natarła wszystkie zakamarki ciała balsamem „Królowa Saby”, który dostała od Georgette na Rosh Haszana, i wyrzuciła na łóżko zawartość szafy. Domyślała się, że „Neptun” jest jachtem, i postanowiła nie stroić się specjalnie. Jeżeli „brak przesady” jest dewizą Archimedesa Lewiego - ona także może ją przyjąć. Czarne flanelowe spodnie, biały sweter z angory, długi biały skórzany płaszcz - pamiątka po zeszłorocznej wyprzedaży w domu towarowym „Megged-More”, odrzut z eksportu. Lizzi przyjrzała się sobie w lustrze i zdziwił ją uśmiech, który zobaczyła.

Wielkie mi odkrycie - pomyślała. Włożyła plastikowe kolczyki w kształcie półksiężyców, znak firmowy Lizzi Badihi, wrzuciła pager na dno torby i zbiegła ze schodów. Zmęczenie, które czuła jeszcze pół godziny temu, znikło bez śladu, ustępując miejsca podnieceniu. Jak to dobrze, że nie jestem już dziewczicą - pomyślała.

Przed domem czekał czarny Citroen. Archimedes wysiadł, gdy zobaczył Lizzi wychodzącą z klatki schodowej. Przytulił ją, a ona uniosła twarz, znajdując od razu jego usta. Pachniał tak samo jak za pierwszym razem. Poczowała delikatne drżenie, które przebiegło jego ciało. Zastanawiała się, czy jest tak samo przejęty jak ona. Jego ręce zawędrowały pod jej sweter, lecz nagle się od niej oderwał.

- Chodź, wsiadajmy do samochodu, inaczej nigdy nie dojedziemy na „Neptuna”.

Lizzi chciała powiedzieć, że nie będzie żałować, jeśli tam nie dojadą, i że jest skłonna zapomnieć także o kolacji, ale coś ścisnęło jej gardło. Usiadła bokiem, żeby patrzeć na niego również podczas jazdy, wdychając aromaty skóry i mahoniu zmieszane z zapachem cygara i wody po goleniu. Milczeli przez jakiś czas. Potem zerknął na nią rozbawiony i zapytał:

- Czemu byłaś cała w dymie i popiele?

- Musiałam napisać reportaż o pożarze przystanków autobusowych na osiedlu C.

- Jesteś jedyną korespondentką „Czasu Południa”?

- Tak.

Opowiedziała mu o swojej pracy i tyranii Arielego, o lęku, że zrealizuje groźbę i mianuje Dorona Cementa korespondentem w Beer Szewie.

- Nie przyśle tutaj dziennikarza z Tel Awiwu. Musiałby wtedy wynająć mu mieszkanie i pokrywać wszystkie opłaty. Gdyby uważał, że źle pracujesz, zatrudniłby innego miejscowego.

Trzyma cię krótko, to wszystko. Klara mówi, że jesteś nie tylko miła i dobra, ale też zdolna. Do czego jesteś zdolna, Lizzi?

- Nie mam pojęcia, o co mogło jej chodzić.

Zatoneła w myślach. Nie jest zdolna. Ale ma doświadczenie. Wypełnia zlecone jej zadania, najlepiej jak potrafi. Bez zbędnego wzruszenia. Idzie na wskazane miejsce, notuje, przesyła informacje. Może nigdy nie będzie gwiazdą mediów, ale roboty jej nie zabraknie. Żadnego polecenia nie uważa za upokarzające ani za nadmiernie męczące. Lecz rzadko dzieje się odwrotnie: niewiele spraw, którymi się zajmuje, jest w stanie naprawdę ją zainteresować. Tyle że lubi swoją pracę, no i sama się utrzymuje. Tak. „Profesjonalistka”. Ta etykieta najbardziej jej odpowiada.

Samochód zatrzymał się przy niewielkim skrawku asfaltu obrzeżającym pas plaży. Archimedes wyciągnął z bagażnika kosz piknikowy, otworzył stalową bramę własnym kluczem i ruszył w kierunku mola. Cumowały tam jachty, którymi można było pływać jedynie wzdłuż plaży, i takie, które prawdopodobnie brały udział w regatach. Na jednym była podniesiona flaga Wielkiej Brytanii. Sprawiał wrażenie zamieszkanego, z okrągłych okienek sączyło się przytłumione światło. Inna jednostka, największa ze wszystkich, przypominała trochę wodolot. Archimedes przeszedł po drewnianym mostku i przedstawił Lizzi swój jacht, jakby dokonywał oficjalnej prezentacji:

- Proszę, poznajcie się...

„Neptun” był piękną i elegancką francuską łodzią, długą na trzydzieści osiem stóp, wyposażoną w dwa maszty i silnik. Przy dobrym wietrze mógł osiągać prędkość czternastu węzłów. Lizzi przyznała, że dostąpiła zaszczytu zapoznania się z prawdziwą piękną, marzeniem każdego żeglarza. Nawet jeśli niezbyt nową ani błyszczącą, to przecież należąca do Archimedesa Lewiego. W końcu liczy się wewnętrzne piękno.

Kajutę dziobową w całości wypełniała koja w kształcie trójkąta o ściętym wierzchołku i szerokiej podstawie. Na rufie mieściły się jeszcze dwie małe kajuty. Pośrodku pokładu znajdował się mostek kapitański zaopatrzony w rozmaite elektroniczne przyrządy nawigacyjne i koła sterowe. Na półce u dołu pulpitu piętrzył się stos map. Nad ławkami zawieszono były miedziane tabliczki, najwyraźniej trofea zdobyte przez właścicieli jachtu na kolejnych zawodach.

- Wypływamy? - zapytała Lizzi.

Archimedes roześmiał się. Jej słowa, jej uczynki nie przestawały go zadziwiać. Czy jest zadowolony z mojego towarzystwa? - zastanawiała się. Dlatego że jest starszy i doświadczony, a ja młoda i głupia, czy może dlatego, że ja to ja?

- Wypłynąć moglibyśmy tylko z Tel Awiwu. Trzeba przejść przez Straż Graniczną i urząd celny.

- Nie myślałam o zagranicy.

- Usiądź. Zrobię dla nas martini. Za chwilę będziemy mieli też lód.

Barek był pełen rozmaitych butelek. Archimedes umył i wytarł dwa kieliszki, po czym przygotował martini z oliwką.

- Chcesz kawałek cytryny?

- Do czego?

Archimedes znowu się roześmiał. Włożył małeńki skrawek cytryny ze skórą do jej kieliszka. Potem otworzył kosz i wyjął z niego wędzonego łososia, razowy chleb, masło, cztery czerwone pomidory i butelkę pinot chardonnay. Powiedział, że ma jeszcze cztery takie butelki. Dwa lata temu pewien Francuz przysłał mu w podziękę całą skrzynkę, kiedy Archimedes zdobył dla niego brakujący do serii znaczek.

Lizzi pociągnęła łyżeczkę martini i obserwowała Archimedesa nakrywającego stolik. Miał piękne ręce o wąskich dłoniach, długich i silnych palcach, szczupłych przegubach. Ręce filatelisty - pomyślała.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Bardzo. Dużo żeglujesz?

- Gdyby to tylko ode mnie zależało, chętnie żeglowałbym co tydzień. Mój towarzysz nie zawsze jest wolny. Płynęłaś kiedyś jachtem?

- W prezencie z okazji bat micwy mama wzięła mnie i moje siostry, Georgette i Hawacelet, na wycieczkę do Tel Awiwu. Wybrałyśmy się wtedy w rejs statkiem spacerowym z plaży Hilton do Jaffy. Wszystkie przez cały czas wymiotowałyśmy. Następnego dnia dowiedziałyśmy się, że był to

najbardziej burzliwy dzień w Tel Awiwie od pięćdziesięciu lat. Ot, zwykle szczęście rodziny Badihi. Dokąd zazwyczaj pływacie?

- Na Cypr, na Rodos. Ostatnim razem zabraliśmy jeszcze jednego kolegę i dotarliśmy aż do Jugosławii. Ich żony poleciały samolotem i czekały na nas w Dubrowniku. Zwiedzaliśmy Jugosławię przez cztery dni. Potem one znowu wsiadły do samolotu, a my wróciliśmy jachtem. Taki rejs to nieustanna praca. Ciągłe czyszcisz, smarujesz, malujesz, dokręcasz i wymieniasz. Albo się to lubi, albo nie.

- Byłeś kiedyś żonaty?

- Kiedyś byłem. Moja była żona mieszka teraz w Hajfie, wyszła za lekarza. Ma dwóch synów. Spotykamy się raz na kilka lat, dwoje zupełnie obcych sobie ludzi.

- Czemu się rozstaliście?

- Życie wtedy było ciężkie. Byliśmy nowymi imigrantami bez grosza przy duszy. Oboje pochodziliśmy z zamożnych i szanowanych rodzin, a tu nagle znaleźliśmy się w tej dziurze, w Beer Szewie. Kłóciliśmy się stale, nawet nie pamiętam już o co. Prawdopodobnie o pieniądze. O co ludzie mogą się kłócić?

- O zdradę, zazdrość, dominację. Ale to nieważne, jeśli się kochają. Widocznie nie kochaliście się.

- Widocznie.

- Moje siostry zamieniły się mężami.

- Wiem o tym. Kto w Beer Szewie by nie wiedział? Czy teraz są szczęśliwsze?

- Myślę, że tak. Nie wiem. Można coś takiego wiedzieć?

- Możesz wiedzieć tylko to, co same ci opowiadają. A i temu nie powinno się ostatecznie ufać.

Nieszczęśliwe małżeństwo to porażka. Ludzie niechętnie przyznają się do porażek. Na świecie jest bardzo niewiele udanych małżeństw.

- To dlatego nie ożeniłeś się po raz drugi?

- Samotność mnie nie przeraża. Nauczyłem się żyć sam ze sobą.

- Ja też.

- Tak myślałem.

Archimedes uśmiechnął się i nałożył jedzenie. Lizzi słuchała go, smakując łososia. Zastanawiała się przy tym, co się stanie później, kiedy skończą jeść i on będzie ją pieścił w trójkątnej kabinie na dziobie, bo z pewnością do tego dojdzie. Wiedział, dlaczego tu się znalazła, i ona też wiedziała. Nie wiedział tylko, że ona nie ma pojęcia, co się robi w łóżku. Ma już co prawda trzydzieści lat i nie jest dziewczcą, ale nic nie wie. Jeśli się odważy i mu o tym powie, nie uwierzy jej. Postanowiła więc zyskać trochę na czasie, przeciągając rozmowę. Zachowuję się jak głupia nastolatka - pomyślała.

- Poznałeś Aleksandrę Hornszyk, jak byłeś już rozwiedziony?

- Tak. Poznałem ją, gdy ukończyła Technion i wróciła do Beer Szewy jako inżynier budownictwa. Była inteligentna i ambitna. Pogodzona z piętnem, jakie odcisnęła na niej rodzina Lubiczów, rozumiała, że pozycja społeczna otworzy jej wiele drzwi do świata biznesu. Dzięki mnie mogła nabyć większej pewności siebie.

- Przypuszczam, że musiałeś mieć też inne zalety. - Tym razem to Lizzi się uśmiechnęła. Próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał dwadzieścia lat temu. Czy był podrywaczem, czy przeciwnie - to kobiety się za nim uganiały? - Szukała pieniędzy?

- A kto ich nie szuka?

- Ja.

- Wszyscy gonimy za pieniędzmi, Lizzi. Jedni z nas chcą mieć na buty dla dziecka albo na chleb, inni na prywatny samolot, kolejną firmę albo bank. Pieniądze to jedyny motor napędzający ludzkość.

- Wierzysz w to?

- Tylko w to.

- Są rzeczy, których nie możesz kupić.

- Na przykład?

- Młodość. Uroda. Inteligencja. Miłość.

- Można kupić ich namiastki.

- Jak Jackie Danzig?

- Też. A wracając do wcześniejszego pytania - tak, Aleksandra Hornszyk pragnęła pieniędzy, nie mniej i nie bardziej niż inni ludzie interesu. Przyzwyczaiła się do wygodnego życia i do znaczenia, jakie zapewniają pieniądze. Dyrektorzy banków, wielkich firm, a nawet kibucnicy, woleli robić interesy z kimś śmiałym i przedsiębiorczym. Ludzie odpowiedzialni sprawdzają zawsze „tło” człowieka czy firmy, z którą zamierzają wejść w układy. Aleks o tym wiedziała i potrafiła zadbać, aby wyniki takiego śledztwa były zadowalające. Mówiąc jej słowami: zawsze starała się mieć o szekla więcej, niż jej potrzeba. Do ostatniej chwili go miała. Nie zapomniała, że ojciec wydał ją za Hornszyka, bo popadł w kłopoty. Wiem, co myślisz. Że mogła odmówić. Ale nie odmówiła. Nie odmówiła, ale i nie wybaczyła. Ani ojcu, ani mężowi. Stała się kobietą cyniczną, która wierzy jedynie w pieniądze.

Lizzi zamyśliła się nad jego słowami. Czy Archimedes Lewi także wierzył jedynie w pieniądze. A ona? Czy oczarowałby ją, gdyby był biedny? Gdyby nie miał tej marynarki, citroena, wędzonego łososia, jachtu, martini z oliwką i tego stylu bycia, mówiącego, że wszystko leży w zasięgu jego ręki. Skoro jednak jest aż tak wyrafinowany, czego właściwie chce od niej? Nie jest ani ładna, ani sławna, ani bogata. Czego w niej szuka? Seksu? Trzeba oddać sprawiedliwość faktom - powiedziała sobie w duchu. Seks w naszych czasach to nie rzadki znaczek, którego szuka się z lupą po całym świecie. Ty, moja droga, masz swoje zalety, ale seksbombą niewątpliwie nie jesteś. Widocznie jednak działa tu owa tajemnicza „chemia”, której nikt jeszcze nie zbadał, i to ona obezwładnia teraz jej ciało, a może także i jego? Lizzi, Lizzi, uspokój się, dopij resztkę pinot chardonnay, oprzyj nogi o burtę i pozwól Archimedesowi, człowiekowi światowemu, znaleźć drogę do przystani.

W okrągłym bulaju kabiny na dziobie widać było gwiazdkę. Koja była wystarczająco szeroka, aby Lizzi zdołała nauczyć się wszystkiego o tym, co łączy mężczyzn i kobiety, zamieniając ich w jedno ciało, które nie wstydzi się niczego. Po raz pierwszy nie wstydziła się swoich wielkich piersi, płaskich stóp i zaokrąglonego brzucha. Przyjemność wypełniała całe jej ciało, od stóp do głowy. Czowała się piękna i wyjątkowa jak egzotyczny owoc odkryty na pustyni. Wybuch rozkoszy był tak silny, że dopiero później pomyślała o mężczyźnie, który go spowodował.

Archimedes leżał z zamkniętymi oczami, ale wiedziała, że nie śpi. Delikatnie pogładziła jednym palcem jego powieki, fioletowe cienie pod oczami, niewielkie zagłębienie nad górną wargą, bruzdy w kącikach ust. Wdychała jego oddech, ciepło rozchodzące się w szczelinie między ich wargami, błagając go bez słowa, aby otworzył oczy i znowu wziął ją w ramiona. Była gotowa zrobić wszystko, o co ją poprosi. Była jego, duszą i ciałem. Zwłaszcza ciałem. Mowa, zwykle tak elastyczna i prężna, tym razem ją zawiodła. Lizzi w żaden sposób nie potrafiła opisać rozmiarów własnego pożądania i jego spełnienia.

Archimedes ułożył jej głowę na swoim ramieniu, odgarnął dłonią włosy. Jej noga była przyciśnięta jego nogami, policzek spoczywał w zagłębieniu między ramieniem a piersią. Lizzi zamknęła oczy.

Obudził ją zapach jedzenia. Archimedes, ubrany w szorty i koszulę z podwiniętymi rękawami, stał przy kuchence i obracał omlet na drugą stronę. Miał ładne, silne nogi, proste i nie nazbyt umięśnione, opalone jak jego twarz i ręce.

- Pływasz?

- Dzień dobry! Już myślałem, że będę musiał cię obudzić. Jest północ. I... tak, pływam.

- Na uniwersytecie?

- Nie, w basenie hotelu „Savoy”. Jesteś głodna?

- Tak.

Archimedes uśmiechnął się. Lizzi przeprosiła i wyjaśniła, że z powodu nieregularnego rozkładu zajęć nigdy nie może zrobić na czas zakupów w spożywczym, a w restauracjach nie bywa, bo nie czuje się tam swobodnie. W efekcie jest wiecznie głodna i bardzo się cieszy, kiedy ktoś zaprasza ją na omlet.

- A mężczyźni?

Omlet był gorący i smaczny, nie za suchy i nie za płynny. Lizzi jadła z przyjemnością, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie ma żadnych - odparła w końcu.

- Nikt cię nie podrywa?

- Ty.

- Oprócz mnie. Miałaś przecież innych mężczyzn przede mną, Lizzi.

Omlet utknął jej w gardle. Popiła go winem i wlepiła wzrok w kłamkę lodówki.

- Nie miałaś? - zapytał w końcu, prawie szeptem.

Lizzi pokręciła głową, starając się na niego nie patrzeć. Cóż - pomyślała - jest co prawda Beni Adulam, który się do mnie przyczepił, ale to nie mężczyzna, tylko kolega. Kłamka zatraciła kontury, zamieniając się w plamę na białym tle.

- Skończyłaś jeść?

Czy wydawało się jej, że słyszy w jego głosie złość? Skinęła głową, ciągle starając się nie patrzeć mu w oczy.

Włożył naczynia do zlewu, umył je, wytarł i schował w szafce. Lizzi zastanawiała się, czy często mu się zdarza przywozić tutaj kobiety. Czyżby była zazdrosna? Zerwała się z miejsca i szybko ubrała. Jest dorosły i wolny. Podziękuj więc, Lizzi, i milcz.

Rozdział 23

Klucz odmówił wejścia do zamka. Napotkał jakąś przeszkodę i zazgrzytał. Lizzi była zmuszona włożyć go pod innym niż zazwyczaj kątem, aby drzwi nareszcie się otworzyły.

- Nie wypilaś aż tak dużo - powiedziała do siebie.

Archimedes Lewi nie umówił się z nią na następne spotkanie. Postanowiła, że jeżeli nie zadzwoni w ciągu tygodnia, spróbuje się z nim skontaktować. Może przecież wejść do sklepu filatelistycznego i powiedzieć, że była u wujostwa i zajrzała zobaczyć, co u niego słychać.

Odwiesiła ubranie do szafy, otworzyła szufladę komody, żeby odłożyć pager i dyktafon, i zastygła w miejscu. Ktoś ukradł wszystkie jej kasety! Jak skamieniała przypatrywała się pustej szufladzie, czekając najwyraźniej, aż ta opowie jej, co się stało, kto otworzył, kto grzebał, co za łotr odważył się to zrobić. W szufladzie zawsze znajdowało się kilkanaście pudełek rzuconych bez ładu i składu, ale ona dokładnie wiedziała, co każde z nich zawiera. Drżącymi rękami zaczęła otwierać wszystkie pozostałe szafy i szuflady. Bała się, że zaraz rzuci się na nią ktoś przyczajony za jej plecami. Wszystkie przedmioty znajdowały się na swoich miejscach, niczego nie brakowało. Lizzi popatrzyła podejrzliwie na milczące sprzęty, jakby w nadziei, że zaraz przemówią i wyjaśnią, co tu się działo pod jej nieobecność. Kasety! Kto mógłby potrzebować jej kaset? Co na nich jest takiego, dla czego warto było ryzykować?

Wiedzona pierwszym impulsem, chciała zadzwonić do Benciego. Zerknęła na zegarek. Druga w nocy. Jeśli zadzwoni teraz, obudzi jego i Georgette. Siostra się przestraszy, a szwagier zechce wiedzieć, skąd wróciła o tak późnej porze. Ona natomiast powinna chwilę odczekać i postanowić, co opowie, a czego nie opowie Benciemu o Archimedesie Lewim. Z drugiej strony - ktokolwiek ukradł jej kasety, z pewnością nie był to Archimedes. Wypełnił ją gniew, gniew na anonimowego włamywacza, który ośmielił się wdrzeć do jej twierdzy, i na własny gorzki los. Nareszcie ma mężczyznę, no więc ktoś musiał włamać się jej do mieszkania, kiedy poszła na randkę. Takie kobiety jak ona nie mają szczęścia na tym świecie. Za wszystko muszą płacić.

Włożyła klucz do zamka od wewnątrz i przekręciła go. Nigdy dotąd tego nie robiła. Wiedziała jednak, że już za późno; kto chciał wejść - wszedł i tak. To oczywiste, że ten, kto tu był, nie szukał pieniędzy ani biżuterii. Lizzi widziała wystarczająco dużo mieszkań, do których dokonano włamania, i pamiętała bałagan, jaki w nich panował po takich odwiedzinach. Jej złodziej starał się nie pozostawiać śladów. Czyżby myślał, że ona nie zauważy braku? Nie, to było niemożliwe.

- Czy ktoś wiedział, że zamierzasz wyjść? - zapytał Benci.

- Nikt. Z miejsca pożaru pojechałam prosto do redakcji i przesłałam reportaż. W chwili gdy weszłam do domu, zadzwonił telefon i Archimedes Lewi zaprosił mnie na wieczór. Spotkaliśmy się po półgodzinie. Czekał na mnie pod domem w swoim samochodzie i pojechaliśmy do Aszkelonu. Nie było mnie tutaj od dziewiątej do mniej więcej drugiej.

Lizzi i Benci siedzieli przy stole w kuchni. Policjanci szukali odcisków palców. Raz po raz zaglądał jakiś sąsiad. Żaden z nich, oczywiście, nic nie słyszał, chociaż niektórym nawet się wydawało, że coś słyszą, ale nie byli pewni. Opowiadali o kradzieżach, które zdarzyły się niegdyś

na osiedlu. Jakie to szczęście, że Lizzi nie było w tym czasie w domu! Inaczej spotkałaby się z włamywaczem oko w oko! To nie to co kiedyś.

Dałabym mu w mordę - pomyślała Lizzi.

Benci był stosunkowo cichy. Pozwolił swoim podwładnym robić swoje, a sam spokojnie z nią rozmawiał. Lizzi jednak mu nie ufała. Mogli wyglądać jak starzy przyjaciele popijający poranną kawę. Ale wieloletnie doświadczenie mówiło jej, że woda zbliża się do stanu wrzenia i lada chwila buchnie z niej para.

- To znaczy, że tylko jeden człowiek wiedział, że nie będzie cię w domu. Archimedes.

- Tak. Ale po co jemu moje kasety?

- Co na nich było?

Lizzi usiłowała sobie przypomnieć i sięgnęła w tym celu po kalendarz. Wymieniła konferencje prasowe, spotkania, wywiady, tajne nagrania, prywatne śledztwa. Dyktafon był jej narzędziem pracy. Kasety służyły za archiwum i jednocześnie zabezpieczały przed omyłkami w pracy. Nikt nie oskarżył jej, że zniekształciła cytaty albo użyła go w niewłaściwym kontekście czy bez zezwolenia. Zazwyczaj włączała dyktafon za wiedzą osoby, z którą przeprowadzała wywiad, nawet wstęp do rozmowy miała nagrany, żeby potem w razie czego mogła się bronić. Benci również posługiwał się w pracy dyktafonem i właśnie teraz nagrywał jej słowa. Ale on, może dlatego że był od niej starszy, nie ufał elektronicznym wynalazkom i sporządzał również notatki.

- Sierżancie Bahut! - Na krzyk Benciego gwar w pomieszczeniu zamarł. Po kilku sekundach wszyscy wrócili do swoich zajęć. - Zapisz te nazwiska - powiedział Benci, zaglądając do swojego notesu. - Szajke Achinoam i Ido Gabrielow z kibucu Sade Oznaja, Jackie Danzig, pianista z „Niebieskiego Pelikana”, Szamaj Lubicz, ten od win, jego zięć i współpracownik Neeman Aszbel, sprzedawca Goldner i sędzia Pinchas Hornshtyk. Sprawdź, gdzie każdy z nich był wczoraj między dziewiątą wieczorem a drugą w nocy. Powiedz im, że to rutynowe.

- Sędziemu też? Nie obawiasz się, Benci?

- Rutynowe badanie! Nawet on wie, co to jest!

- Mimo wszystko to sędzia. A jeśli będzie chciał wiedzieć, czemu o to pytam?

- Nie masz pojęcia. Jesteś prostym policjantem, którego wysłano, żeby zadawał pytania.

- Nie jest aż tak głupi. Wie, że nie zapytam go o nic bez pozwolenia.

- To zapytaj służącą. Ale przy nim. I zwróć uwagę na jego reakcję. Idź już. I weź ze sobą kogoś z komisariatu.

Ilan posłał Lizzi swój czarujący uśmiech: „Przykro mi, że muszę cię zostawić w łapach tego potwora” - i skierował się do drzwi.

- Bahut!

- Tak? - Ilan zawrócił. Wyraz jego twarzy nie zdradzał zażenowania czy niecierpliwości. Lata wspólnej pracy wytworzyły między szwagrami więzy wzajemnego szacunku i zaufania.

Benci zmrużył powieki. Miał minę, jakby się nad czymś wahał i szukał poparcia u Ilana.

- Jackiego Danziga zatrzymaj na czterdzieści osiem godzin. Poproś o nakaz.

- Dobrze.

Lizzi popatrzyła na Benciego, który westchnął teraz głęboko i wyprostował się, jakby chciał odepchnąć od siebie choćby cień wahania czy niepewności. Tylko tego mu brakuje!

- Kto mógł potrzebować moich kaset, Benci?

- Ktoś, kto musi uczynić jedną z dwóch rzeczy: zniszczyć informacje albo je zdobyć. Dzięki temu, co mi opowiedziałas, mamy kilku kandydatów. Nawiasem mówiąc, zatrzymaliśmy Archimedesę Lewiego na czterdzieści osiem godzin.

- Co takiego?!

Lizzi zerwała się z miejsca i spojrzała na Benciego płonąącym wzrokiem. Jej reakcja go rozbawiła.

- Zakochałaś się, Lizzi?

Uderzyła go w twarz, jeszcze zanim zdążyła pomyśleć, co robi. Ręka sama podskoczyła i wylądowała z impetem na policzku Benciego. Potem jej wielkie i zdradzieckie ciało ogarnęło drżenie i Lizzi opadła bezwładnie na krzesło. Czuła się jak worek treningowy rzucony na podłogę.

- Potrzebuje mnie pan, inspektorze? - zapytał Mike Zilha. Przemawiał głębokim basem, który wydobywał się jak gdyby z przepastnego tunelu we wnętrzu ziemi. Było to nie lada niespodzianką u chudego, lekko łysiejącego człowieczka, który wyglądał jak nauczyciel Biblii. Lizzi pomyślała, że

Benci i Mikę mogliby razem burzyć mury swoimi głosami. Benci machnięciem ręki dał podkomendnemu znak, że może odejść. Potem usiadł i czekał, aż Lizzi odsłoni twarz, którą zakryła kuchenną ścierką.

- Lizzi, posłuchaj, chciałbym, żebyś mi opowiedziała, co zostało nagrane na każdej z twoich kaset.

Była mu nieskończenie wdzięczna za to, że nie mówił nic o policzku. Kto, jeśli nie ona, miał wiedzieć, że Benci łatwo wpada we wściekłość, chociażby z powodu wilgotnej gazety wieczornej. Bencijon Koresz był człowiekiem przerażającym, a ona bała się go nie mniej niż pozostali. Z wyjątkiem Georgette, którą mąż wyłącznie rozśmieszał. Podniosła twarz znad ścierki i opowiedziała, co było na kasetach. Relacjonowała wszystko chronologicznie, często zaglądając do kalendarza i starając się niczego nie pominąć.

O pierwszej po południu zapiszczał pager. Wszyscy policjanci, oprócz Benciego i Zilhy, już sobie poszli. Mike zajęty był czyszczeniem mebli z pokrywającego je białego proszku. Ku zdziwieniu Lizzi to Benci kazał mu to zrobić. Lizzi zadzwoniła do Arielego, a Benci przysłuchiwał się ich rozmowie z drugiego aparatu w kuchni.

- Badihi!

- Co?

- Ten aresztowany filatelista.

- Tak?

- Słyszałaś o tym?

- Tak.

- Znasz go?

- Tak.

- Czemu nie zadzwoniłaś? - Kiedy był wściekły, jego głos zamieniał się w piskliwy falset.

Lizzi zawahała się, czy opowiedzieć mu o włamaniu i o tym, że inspektor Koresz uczestniczy teraz w ich rozmowie.

- Wysłać materiał?

- Po co? Mamy przecież radio.

Kochany i miły Arieli rozłączył się. Powiedział to, co sobie zaplanował.

- Czy on zawsze tak z tobą rozmawia? - zapytał Benci. Jego policzek z wolna siniał.

- Dzisiaj był bardzo uprzejmy.

- Co za gbur! Skończony cham! - Benci popatrzył z wściekłością na aparat telefoniczny.

Lizzi uznała, że nadeszła odpowiednia chwila, aby zadać pytanie, które szarpało jej wnętrzności.

- Dlaczego zatrzymaliście Archimedesę Lewiego?

- Z tego samego powodu, dla którego ty się nim zainteresowałaś. Na marginesie, Lizzi, jeśli zechcesz kiedyś pracować w policji, powiedz mi. Jesteś dużo mądrzejsza, niż na to wyglądasz.

- Nie chcę tego dłużej słuchać.

- Do tej pory zawsze udawało ci się wyprzedzić nas o krok. Ja też uważam, że Archimedes Lewi był tym tajemniczym biznesmenem, który pożyczał pieniądze Aleksandrze Hornshtyk i kibucowi Oznaja. Próbuję tylko to udowodnić, nie spędzając nocy na jego jachcie.

- Przepraszam, że cię uderzyłam.

- Nic nie szkodzi.

- Można kogoś zatrzymać na podstawie podejrzenia?

- Jeśli to podejrzenie wydaje się prawdopodobne i jeśli prokurator uzna, że podejrzany może przeszkadzać w śledztwie, będąc na wolności.

- W jaki sposób może przeszkadzać?

- Ukryć dowody, wpłynąć na świadków, skłonić ich do fałszywych zeznań albo uciec za granicę. Te lewe interesy to jak seks między dwojgiem dorosłych ludzi, których łączy obopólna zgoda. Nikogo to nie interesuje, dopóki nikomu nie dzieje się krzywda. Mogłabyś nam zrobić coś do jedzenia, Lizzi? To moja szwagierka - wyjaśnił „nauczycielowi Biblii”.

Lodówka była oczywiście pusta, co od razu przypomniało Lizzi o Archimedesie. Nie wierzę, że jest przestępcą - powiedziała sobie w duchu. I ja to udowodnię. Uratuję go.

Otworzyła torebkę z zupą minestrone. Chleb był suchy, ale nie zdążył jeszcze spleśnieć, więc przyrządziła z niego grzanki. Na deser wypili kawę rozpuszczalną.

- Co odkryliście w Sade Oznai?

- Nadal wszystko jest niejasne i nic z tego nie nadaje się dla prasy - odparł Benci.

- Jak zawsze.

- Kontakty między Aleksandrą Hornszyk a kibucem odbywały się za pośrednictwem dwóch osób: Szajkego Achinoama, skarbnika, i Idona Gabrielowa, sekretarza. Przez lata oszczędzili trochę pieniędzy, trochę pożyczili i gdy zburzono pomieszczenia do hodowli kaczek, postanowili wreszcie zrealizować marzenie i postawić nowe domki dla kibucników weteranów. Podpisali z panią Hornszyk umowę na budowę dziesięciu domów. Kiedy umowę zrealizowano już w mniej więcej jednej trzeciej, Aleksandra namówiła ich na zainwestowanie choćby części kapitału w szarej strefie. Znalazła kogoś, kto gotów był dać pięć procent więcej, niż oferował bank. Zaproponowała, że zainwestuje za nich te pieniądze, a potem podzieliła się zyskami: jedną trzecią dostanie kibuc, a dwie trzecie pani Hornszyk. W charakterze rękojmi dała im czek-zastaw, który wystawił Bank Izrael-Luksemburg. O ile mi wiadomo, oprócz tej trójki nikt w kibucu ani w firmie nie miał pojęcia o tych interesach. Zyski z szarej strefy wpłacano na osobne konto w Banku Rolniczym. Suma, jaką dysponował kibuc w rok po zawarciu tej umowy... nawiasem mówiąc, była to umowa ustna i nie istnieje żaden skrawek papieru, który mógłby posłużyć za dowód... w każdym razie po roku Szajke i Ido ogłosili mieszkańcom, że dzięki mądrej polityce finansowej będą mogli wybudować dodatkowo jeszcze dwa domy. Tymczasem Aleksandra kupiła Jackiemu mieszkanie. To nie tajemnica w tym mieście, ale mąż nie zadawał zbędnych pytań. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Tak jak to odkryłaś, Lizzi, Aleksandra Hornszyk miała kilka kont w bankach. Na jedno z nich, użytkowane przez nią wspólnie z mężem, co miesiąc wpływało dziesięć procent z przedsiębiorstwa Lubicza. Nie tykała nigdy tych pieniędzy i zwykle przelewała je od razu na konto osobiste męża. Ciekawe, czy ten układ nadal będzie trwał. Konto zostało założone około dwudziestu lat temu, kiedy Aleksandra wyszła za Pinchasa Hornszyka. Młody prawnik prawdopodobnie nie chciał dowodu na to, że dostał pieniądze od Lubicza, kiedy zatrął się jego winem. Ale mógł do woli cieszyć się pieniędzmi żony. Aleksandra dysponowała jeszcze kontem swojej firmy, do którego mieli dostęp ona i wspólnik, Bruno Balfour. Oraz dodatkowym kontem osobistym, na które wpłacała duże sumy bardzo nieregularnie.

- Archimedes powiedział, że miała usposobienie hazardzisty.

- Przypuszczamy, że to on był tym pożyczkodawcą. W ostatnich miesiącach zdarzyło się jednak coś, co zmusiło go do gromadzenia pieniędzy, a nie dawania ich Aleksandrze. Potrzebował gotówki, i to szybko. Być może stracił na giełdzie. Może w coś zainwestował. Albo był szantażowany. Krajowy Wydział do spraw Przestępstw Gospodarczych zaczął z nami współpracować i niewykluczone, że już niedługo na coś trafimy. Kiedy mówię, że potrzebował gotówki, mam na myśli, że potrzebował jej wraz z procentem. Nie wiem, o jakich dokładnie sumach może być mowa. Całą stroną finansową zajmują się ci z wydziału. Sądzę, że Ido Gabrielow wiedział o wszystkich poczynaniach pani Hornszyk, natomiast Szajke zorientował się po fakcie, mimo że jest skarbnikiem. Żaden z nich nie ciągnął osobistych zysków z tej afery. Gabrielow wynajął pokój w mieście i przyjeżdżał tu na koncerty i do teatru. Trudno to określić jako korupcję. Marzyli o tym, żeby zbudować więcej nowych domów, i na tę przynętę złowiła ich pani Hornszyk. Lecz jakieś trzy miesiące temu poinformowała Gabrielowa i Achinoama, że ów aferzysta uciekł za granicę wraz z trzystoma tysiącami dolarów. Prosiła przy tym, żeby się nie martwili, gdyż ona znajdzie pieniądze. Ale oni bardzo się martwili! Zaczęła na nich naciskać, aby przenieśli pieniądze z konta bieżącego w Banku Rolniczym na specjalne konto w Banku Izrael-Luksemburg, co miało zmniejszyć procent. Nie odważyli się jednak na to i coraz natarczywiej żądali zwrotu pieniędzy. Aleksandra Hornszyk nie mogła już dłużej ukrywać swoich kłopotów przed wspólnikiem. Długi w banku rosły z dnia na dzień, a jednocześnie wznęgały się naciski ze strony tych wszystkich, którzy nie otrzymali zapłaty: wykonawców, producentów, robotników, no i oczywiście Gabrielowa i Achinoama. Ci z kolei bali się ujawnić prawdę mieszkańcom kibucu. Próbowiła namówić Jackiego Danziga, żeby sprzedał mieszkanie i samochód, które mu kupiła, ale się nie zgodził.

- Zaczął ją szantażować.

- Skąd wiesz?

- Z karteczek, które jej posyłał.

- Jakich znowu karteczek?!
- Nie krzycz na mnie.
- Przecież nie krzyczę.
- Nie krzycz na mnie też po tym, co ci powiem.
- Lizzi!

Uśmiechnęła się. Zaczynała powoli rozumieć Georgette. Było coś zabawnego w tym chodzącym ładunku wybuchowym.

- Pod obwolutą służbowego notesu, który leżał na jej biurku w firmie, były trzy karteczki z notatkami określającymi warunki szantażu. Raczej w stylu Jackiego.

- Pamiętasz, co tam było napisane?

Lizzi wyciągnęła notes z torby, przekartkowała go i położyła na stole kuchennym, żeby Benci mógł przeczytać sam.

- Sierżancie Zilha? - szepnął Benci tak cicho, że prawie niedosłyszalnie. Lizzi wiedziała, że dusi się ze złości. Sierżant też wiedział. Popatrzył na Benciego tak, jak patrzy dziecko na pasek w rękach ojca. - Jedź, mój kochany, do biura Hornshtykowej i zajrzyj pod obwolutę notesu, który leży na biurku.

- Wydaje mi się, że go zabraliśmy - powiedział sierżant Zilha.

- Sprawdź. Odszukaj go i zajrzyj pod obwolutę. Zostawiłaś te karteczki tam, gdzie je znalazłaś?

- Tak.

- Jeśli nie ma ich pod obwolutą, sprawdź, kto miał ten notes. Kto się nim interesował. - Wziął notatnik z rąk Lizzi. - Mogę to skopiować?

- Chciałabym zobaczyć się z Archimedesem.

- Zatrzymaliśmy go tylko na czterdzieści osiem godzin.

- Poproś o zezwolenie.

- Opowiesz mi, o czym rozmawialiście?

- Nie. Ale możesz założyć podsłuch.

- Mogłbym zatrzymać twój notatnik do użytku policji.

- Proszę bardzo. Pokaż mi nakaz.

- Dosyć, Lizzi. Jak to się stało, że udało ci się wejść do biura Aleksandry Hornshtyk i skopiować zapiski z jej notesu?

- Dałam im do zrozumienia, że sędzia wie o mojej wizycie.

- Skłamałaś.

- On naprawdę wiedział.

- Dał ci prawo grzebać w jej rzeczach?

- Nie.

- Kto był w biurze?

- Wszyscy. Sekretarka, jej wspólnik Bruno Balfour, młody architekt, kreślarki. Przepisałam to, co było w notesie Aleksandry, i odłożyłam go na miejsce. Kiedy dostanę z powrotem swój?

- Za godzinę, jeśli to pilne. To pilne? Bierz! - rozkazał podkomendnemu. - Skopiuj to!

Rozdział 24

Lizzi została sam na sam z Bencim i nie była wcale pewna, czy ma się z tego cieszyć. Obawiała się, że zacznie ją wypytywać o związek z Archimedesem.

- Czy w czasie przesłuchania nie powinien być z tobą ktoś jeszcze?

- Chcesz, żebym zadzwonił po Malkę?

- Wszystko mi jedno.

- Dlaczego nie kupujesz nic do jedzenia?

- Nigdy nie mam czasu.

- Mogłabyś raz w tygodniu pojechać do supermarketu i napełnić lodówkę. Kiedy jadasz obiady?

- Kiedy mam okazję. Tu i tam.

- To niedobrze.

- Wiem. Dlaczego uważasz, że to Archimedes pożyczał Aleksandrze Hornszyk na procent? Nie widywali się od dwudziestu lat.

- Niezupełnie.

Lizzi czekała. Przed oczami miała postać śmiałej i prowokującej kobiety, która obwieszała dom złotem, aby wyrzucić wrażenie na gościach swojego męża. Dawnej ukochanej człowieka, którego mottem był „brak przesady”. Kobiety, która przeszła długą drogę, odkąd poślubiła sędziego Pinchasa Hornszyka. Zbyt długą drogę.

- Mniej więcej dwa lata temu Aleksandra Hornszyk i Archimedes Lewi odnowili znajomość. Nie wydaje mi się, by został jej kochankiem. Był to raczej związek dwojga starych wyjadaczy, towarzyszy broni, których drogi rozeszły się dawno temu i skrzyżowały ponownie, kiedy życie dało im się już we znaki. Możliwe, że w jej imieniu spekulował na giełdzie. Sklep filatelistyczny to zaledwie czubek góry lodowej w interesach Archimedesego Lewiego. Jego majątek ocenia się na ponad dwa miliony dolarów. Nikt nie rozumie, co robi w Beer Szewie i czemu zajmuje się właśnie znaczkami. Zakładamy, że większość jego kapitału pochodzi z szarej strefy. Mówiąc wprost, kupuje i sprzedaje pieniądze. Aleksandra i pan Lewi spotykali się co piątek na basenie hotelu „Savoy”, pływali, popijali, rozmawiali. Na tydzień przed morderstwem Archimedes poleciał do Londynu i sprzedał dwa rzadkie znaczki. Jeden z wyspy Mauritius i jeden szwajcarski. Sprawdziliśmy to. I lot, i transakcję. Po powrocie do kraju w trakcie tradycyjnego spotkania w „Savoyu” przekazał Aleksandrze czeki na sumę stu tysięcy dolarów. Mamy świadków tego spotkania. Ponieważ odbyło się po południu, Aleksandra nie zdążyła pójść z czekami do banku. W sobotę zadzwoniła do Itona Gabrielowa z wiadomością, że zdobyła sto tysięcy dolarów i wpłaci je na konto w niedzielę rano. Mamy na to tylko jego słowa, żadnych dowodów. Jak wiadomo, została zamordowana w sobotę wieczorem. W niedzielę, o wpół do dziewiątej rano, zaraz po otwarciu banku, jakaś kobieta przyniosła czeki Lewiego i poprosiła w zamian o czek bankowy. Ponieważ była to ogromna suma, urzędniczka zachowała ostrożność. Czek bankowy to tak jak gotówka. Poprosiła o zezwolenie dyrektora. Ten zbadał sprawę i odkrył, że czeki mają pokrycie na rachunku Archimedesego Lewiego. Na jego polecenie urzędniczka zadzwoniła do pana Lewiego, starego i szanowanego klienta, on zaś oświadczył, że czeki istotnie są jego. Kiedy się dowiedział, że to nie Aleksandra Hornszyk przysłała do banku, wysunął przypuszczenie, że to jej sekretarka. Nie wiemy, kim była kobieta, która zrealizowała czeki. Cytuję za urzędniczką w banku: średniego wzrostu, około czterdziestu pięciu lat, włosy brązowomysie, lekko siwiejące, brązowe oczy, aszkenazyjski akcent. Żadnych znaków szczególnych. Padała i była ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy koloru khaki. Poza tym miała czarną parasolkę, nylonową chustkę na głowie i czarną aktówkę. Nie wyglądała na zdenerwowaną ani przestraszoną. Sprawiała wrażenie sekretarki, która wykonuje powierzone jej zadanie. Trochę się zirytowała, kiedy się okazało, że musi poczekać. Przesłuchaliśmy tę urzędniczkę z banku na wszelkie możliwe sposoby, ale więcej już z niej nie wyciągniemy. Wiemy na razie tylko to, co Archimedes sam nam powiedział i co zostało potwierdzone w banku. Dał Aleksandrze czeki na sumę stu tysięcy dolarów i jakaś inna kobieta je zrealizowała, zanim się dowiedział o morderstwie i zdążył je unieważnić. Kto mógł o nich wiedzieć? Archimedes, Ido, być może jej mąż albo wspólnik. A jeśli Jackie Danzig szantażował Aleksandrę, jak mi opowiedziałaś, to może i on wiedział.

- Nie ma nigdzie podpisu pani w płaszczu przeciwdeszczowym?

- Jest. Nieczytelny. Tkwiemy w ślepej uliczce.

- Archimedes powiedział ci, że dał pieniądze Aleksandrze?

- Tak.

- Czy to go nie naraża na oskarżenie o jakieś machinacje finansowe?

- Ale nie na oskarżenie o morderstwo. W każdym razie wolno mu dawać jej pieniądze, jeśli ma na to ochotę.

Lizzi pomyślała o nocy na jachcie, o martini, o tym, co się działo potem w łóżku. Przez cały ten czas wiedział, że policja podąża jego śladem i dopadnie go prędzej czy później.

- Myślisz, że on ją kochał?

- Byli starymi przyjaciółmi. Złodziejski kodeks honorowy. Ja ciebie nie wydam, jeśli ty mnie nie wydasz. Lizzi! On jest od ciebie starszy o dwadzieścia lat!

- Wiem.

Benci otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Najwyraźniej chciał dać jej dobrą radę, ale zmienił zdanie. W sprawach sercowych żadne dobre rady nie pomogą.

- Benci, nie mam żadnego doświadczenia życiowego. To znaczy, jeśli chodzi o mężczyzn - powiedziała Lizzi zachrypniętym głosem, spuszczać głowę. Wytworzyła się teraz między nimi jakaś więź, której nigdy dotąd nie było. Dużo się wydarzyło od siódmej rano, kiedy go wezwała. - Ale mam wystarczające doświadczenie z ludźmi, żebym mogła zaufać swojej intuicji. Archimedes Lewi nie zabił Aleksandry Hornszyk.

- Nawet jeśli jej nie zabił, ma kłopoty. Oszustwa podatkowe, nielegalne transakcje.

- Kto go oskarża?

- My.

- Co to znaczy „my”?

- Państwo.

- Przypomniałam sobie teraz coś, co Archimedes powiedział o Aleksandrze. Że do ostatniej chwili miała o szekła więcej, niż potrzebowała. Nie powiedział tego jak ktoś, kto sam zapłacił. O ile zrozumiałam, wierzył, że Aleksandra zawsze, w każdej sytuacji, była po zwycięskiej stronie. Możliwe, że się myłę. Jeśli stracił dla niej sto tysięcy dolarów, to muszę przyznać, że przyjął to z klasą. Kiedy będę mogła go odwiedzić?

- Jeszcze zobaczymy. Mam dla ciebie sensacyjną wiadomość, Lizzi. Komunikat dla prasy: „Interpol, we współpracy z policją Izraela, natrafił na ślad Archimedes Lewiego, handlarza znaczkami z Beer Szewy, który sprzedał w Londynie dwa rzadkie znaczki wartości stu tysięcy dolarów. Archimedes Lewi został zatrzymany do wyjaśnienia”.

Genialną pułapkę zastawił na nią szwagier. Jeśli nie wyśle tej informacji, rzecznik policji przekaże ją do agencji prasowych i redakcji w całym kraju. Jeśli ją natomiast opublikuje, zyska wyłączność, czym ucieszy Arielego, ale Archimedes będzie na nią zły.

Benci podszedł do telefonu i zadzwonił do Zilhy. Ten nie odważył się powiedzieć szefowi, że notes Aleksandry Hornszyk został gruntownie zbadany, lecz nie znaleziono żadnych karteczek za obwolutą.

- Już idę.

Benci wrzucił dyktafon i papiery do płóciennego plecaka i popatrzył na Lizzi, która siedziała przy kuchennym stole, z głową wspartą na ręku.

- Może zanocujesz u nas?

- Nie. Nic mi nie będzie.

- Idź do sklepu i kup sobie coś do jedzenia.

- Muszę iść na sesję literacką do college'u. Powinam tam być już od godziny. Pójdę do sklepu, jak wrócę.

- Idziesz do sklepu teraz. - Głos Benciego podniósł się o kilka decybeli.

- Muszę się przebrać.

Poczekam.

Lizzi ubrała się i wyszła z domu w towarzystwie Benciego, który odprowadził ją pod sam sklep i odszedł, kiedy zobaczył, że weszła do środka.

Rozdział 25

Lizzi czuła, że oczy same jej się zamykają. Redaktor działu kulturalnego poprosił, żeby przygotowała coś o sesji literackiej, która odbywała się w College'u Ben Guriona, pod hasłem „Literatura zaangażowana”. Wykład inauguracyjny profesora Szanira Charona dotyczył ostatniej powieści Koli Hola, zatytułowanej Płacząca góra. Profesor pogroził palcem w kierunku słuchaczy i oświadczył, że powieść Hola na swoich pięciuset trzydziestu stronach nie ma ani jednego przecinka. Już sam ten fakt świadczy, że jest ona prawdziwym wydarzeniem. Na zawsze już odmieni literaturę hebrajską. Jest dziełem o znaczeniu przełomowym.

- Spotykaliśmy się z kpinami, gdy mówiliśmy o Koli Holu! - prychnął profesor Charon - lecz nasza nadzieja i wiara nie zostały pogrzebane. Dziesięć lat czekaliśmy na tę powieść i jej ukazanie się to prawdziwe święto dla literatury hebrajskiej. Tak, święto!

Okrzyk profesora Charona wyrwał z drzemki Lizzi, która stwierdziła, że jej głowa spoczywa na ramieniu Beniego Adulama. Co mnie to obchodzi - pomyślała. Położyłabym głowę nawet na ramieniu potwora z Loch Ness.

Mniej więcej od kwadransa profesor Szanir Charon opisywał fragment, w którym główny bohater, Metro Mem (wyjaśnieniu znaczenia tego imienia poświęcił pierwsze pół godziny wykładu), jedzie autobusem do matki i rozmyśla o czerwonej plamie pomidora na kawałku żółtego sera. Wyraz pogardy i obrzydzenia pojawił się na obliczu profesora, gdy mówił dzwięcznym barytonem:

- Porównanie, którego dopuścił się mój znakomity kolega, Menasze Jerek, do proustowskiej magdalenki, jest obrażą dla wszystkich, którzy słyszeli - a zakładam, że profesor Jerek także - o monologu wewnętrznym Gensina. Jest obelgą dla wszystkich, którzy słyszeli - jak być może mój szanowny kolega - o indywidualizmie Berdyczewskiego! Płacząca góra ma własną geografie! I własną historię! I własny charakter, który nie jest charakterem kolektywnym! Tak, tak, moi państwo, jest coś takiego, chociaż mój znakomity kolega być może o tym nie słyszał. Podmiot, który nie jest kolektywem!

Adulam obudził Lizzi po błyskotliwym wykładzie profesora Jereka, który ze spokojną ironią i elegancją obalił wywód Charona.

- Znamy skądinąd społeczeństwa - oznajmił - w których czysty rozum musiał ustąpić miejsca emocjom i groźbom. Wszystko, co mam do powiedzenia, to że psy szczekają, a karawana idzie dalej.

Lizzi przepisała notatki Adulama, gdy ten poszedł dla niej po kubek neski. Na zaproszeniu, które dostała, widniały zapowiedzi jeszcze dwóch wykładów. Jeden, pani Elizy Szonzelger, miał traktować o synekdochach i metonimiach w Żądaniu Chaima Hazaza. Drugi, doktor Kornelii Mizrahi - o zmyśleniu i rzeczywistości w pojmowaniu przestrzeni w twórczości Szmuela Josefa Agnona.

Lizzi wychodziła właśnie z auli z kubkiem kawy w ręku, kiedy zagroziła jej drogę rzeczniczka prasowa college'u. Na zewnątrz, obok krzewów begonii, na skraju ścieżki, stała grupka ludzi, cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał niemowlę w nosidelku, inny niósł transparent z napisem: „Koniec z okupacją!” Nie, jeszcze nie idzie, broń Boże - uspokoiła Lizzi rzeczniczkę. Wszystko bardzo ją interesuje. Po prostu chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Rzeczniczka zawróciła do budynku, a Lizzi ruszyła w kierunku swojego samochodu. Kiedy siedziała już w środku, popatrzyła w lusterko wsteczne. Rzeczniczka zniknęła właśnie w drzwiach uczelni. Lizzi odetchnęła głęboko, zapaliła silnik i odjechała w siną dal.

W drodze do domu wstąpiła do sklepu Klary i Jakowa, żeby kupić nowy zapas kaset. Jak zwykle zaczęli ją wypytywać, skąd jedzie i dokąd się udaje, a ona opowiedziała im o sesji literackiej.

- Tyle mamy talentów w Izraelu! - rozczuliła się ciotka Klara. - Tyle talentów! W każdej dziedzinie!

- Zasnęłam na jednym z wykładów.

- Między sztuką a życiem codziennym nie ma związku. Popatrz chociażby na mnie i na Jakowa. Gdy ktoś nas zobaczy tak jak tutaj, w sklepie, nie zgodnie, że byliśmy gwiazdami Opery Królewskiej w Aleksandrii. Sullivan był głupim snobem, ale co za muzyka! Gilbert był aroganckim chamem, ale jakie libretta! Pamiętasz Nahmeda? - zapytała Jakowa.

W milczeniu pokiwał głową. Nie libretta zaprzętały mu teraz umysł. Popatrzył na Lizzi, jakby spodziewał się jakiejś przepowiedni.

- Nahmed był nadwornym poetą króla Faruka. Pisał najpiękniejsze wiersze miłosne w Egipcie. Jego ukochana, Berta Goldman, dla której powstały wszystkie te precudne liryki, była naszą sąsiadką. Najnudniejsza kobieta pod słońcem! Kiedy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, nawet ząby w Nilu zasypiały.

W sklepie czymś cuchnęło. Jakby odchodami wielbłądów.

- Czym tu tak pachnie? - zapytała Lizzi.

- Jakow wpadł na świetny pomysł. Peruka organiczna. Jakow, opowiedz Lizzi.

Istotnie, Jakow nabył od pewnego Beduina wielbłądzią skórę oraz trochę odchodów, którymi posmarował jej wewnętrzną stronę, aby wyschła.

- Ten chłopak z El-Azma, który nam to sprzedał, powiedział, że łysi mężczyźni z jego plemienia wkładali na głowę skórę wielbłąda i włosy znowu im odrastały. Co ty na to, Lizzi?

Lizzi popatrzyła na wuja Jakowa. Wyglądał jak krasnoludek z wielbłądzim plackiem na głowie.

- Psy szczekają, a karawana idzie dalej - powiedziała.

Oczy ciotki Klary wypełniły się łzami. Zrzuciła kota z kolan, wstała z krzesła i ucałowała Lizzi.

- To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszeliśmy. Prawda, Jakow?

- Tak.

- Wiesz, że Archimedes Lewi został aresztowany?

- Tak.

- Zostawił u nas dla ciebie butelkę wina. - Klara podała Lizzi pogniecioną papierową torbę. - Przeprosił, że nie jest zapakowana jak trzeba. Bardzo się przestraszyliśmy, widząc policjantów.

- Aresztowali go w sklepie?

- Tak.

- Bencijon Koresz?

- Nie, Ilan Bahut. Był z nim jeszcze jeden policjant. Jakow cały aż drżał. Prawda, Jakow?

- Tak.

Lizzi odpakowała butelkę. Białe wytrawne pinot chardonnay rocznik 1979, w oryginalnym celofanowym opakowaniu. Na etykiecie przylepiony był znaczek z królową Wiktorią o nominale pół pensa.

- Policjanci sprawdzili torbę i oddali ją z powrotem. Nie ma żadnego listu. Mogę dać ci radę, Lizzi?

- Oczywiście, ciociu Klaro.

- Nie otwieraj tej butelki. Poczekaj, aż on wyjdzie z więzienia.

Lizzi pożegnała się z Jakowem i Klarą i podreptała w kierunku parkingu jak robot. Wstawiła butelkę do bagażnika i pojechała do redakcji pisać artykuł o sesji literackiej.

Rozdział 26

A jednak cuda się zdarzają. Przedziwnym zbiegiem okoliczności Szibolet nie siedziała na biurku i nie popijała kawy z plastikowego kubka. Z nadzwyczajną szybkością przepisywała na maszynie reklamę koszernych pieluch, zatwierdzonych przez Naczelną Rabinat. Przywitała się z Lizzi, nie okazując swojej zwykłej wesołości.

- Stało się coś, Szibolet? - zapytała Lizzi.

- Obiecałam Dahanowi, że przepiszę rano ten tekst, i zapomniałam. Jest na mnie zły.

- To się zdarza. Są jakieś wieści? Listy?

- Wszystko jest na twoim biurku.

- Gdzie Dahan?

- Pojechał na spotkanie do tego hotelu naprzeciwko Kasy Chorych.

- Nie wróci tak szybko.

Szibolet wybuchła płaczem. Położyła głowę na blacie biurka i ukryła twarz w ramionach.

- No, Szibolet, już wystarczy. - Lizzi próbowała ją uspokoić. - On nie jest tego wart.

- Ja nie płaczę przez Dahana - zaprotestowała Szibolet, szlochając. Uniosła twarz, popatrzyła na Lizzi ze zdumieniem i tak, cała zalana łzami, roześmiała się głośno. - Lizzi! Naprawdę myślałaś, że kocham się w Dahanie? No nie, zastrzeżyłaś mnie!

Wyciągnęła z pudełka papierową chusteczkę, wydmuchała nos i otarła policzki.

- Płakałam, bo... kiedy powiedziałam „hotel” i „pojechał”, przypomniało mi się, że wszystko przepadło.

Lizzi zadała dziewczynie kilka pytań, niektóre z nich nawet powtarzając, zanim zdołała wreszcie zrozumieć, że Szibolet i jej koledzy zmuszeni byli zrezygnować z wymarzonej podróży za granicę.

Na zebraniu ogólnym Szajke i Ido powiadomili mieszkańców kibucu Sade Ozna o utracie oszczędności i o długach. Nikt nie podawał w wątpliwość ich dobrych intencji, ale wszyscy byli

bardzo zagniewani. W tym akurat wypadku dobre chęci doprowadziły do katastrofy. Uczestnicy tego niezwykle burzliwego zebrania zgodnie twierdzili, że od osób na tak odpowiedzialnych stanowiskach wymaga się, aby przynajmniej porozmawiali z innymi, zanim rzucą się w wir finansowych przygód. Przecież nie chodziło tu o prywatne oszczędności. Każdy grosz na tym koncie był owocem ciężkiej pracy rolników. Gdyby chcieli się obracać w towarzystwie spekulantów i oszustów, z pewnością nie wybraliby życia w kibucu. Teraz także Sade Oznaja zostanie zaliczona w poczet gospodarstw tonących w długach. Do prostych ludzi, skromnych i pracowitych, przyłgnie etykieta krętaczy. A przecież, korzystając z gorzkiego doświadczenia innych, nie wzięli się do budowy nowych domów, dopóki nie zebrali odpowiedniej sumy, nawet za cenę likwidacji hodowli kaczek, która przecież była ważną częścią ich gospodarki. Wszyscy wiedzą, co to znaczyło dla niektórych osób. Teraz czują się oszukani. Szajke i Ido ich oszukali.

Po pierwszym zebraniu, na którym między innymi padła propozycja usunięcia Szajkego i Idona z kibucu, postanowiono zwołać nazajutrz następne i spróbować znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. W nocy nieznana ręka napisała na ścianie stołówki: DOKĄD ZAPROWADZI NAS HAŃBA? Na murach domów sekretarza i skarbnika ta sama ręka wypisała: ZDRAJCY.

Zawiedli się jednak ci, którzy liczyli, że nastroje się uspokoją. Odwrotnie, oburzenie jeszcze wzrosło. Złoscili się starsi, którzy stracili nadzieję na nowe domy, i młodzi, którzy chcieli wprowadzić się do ich mieszkań. Cała ta złość skupiała się na Szajkem i Idonie, „naszych synach”, którzy stanowili przykład porażki wychowawczej. Spór przeniósł się w sferę ideologiczną. Co prawda niczego oficjalnie nie postanowiono, ale Szajke i Ido byli ogólnie bojkotowani. Atmosfera żałoby zapanowała w ich domach i domach ich rodzin. Ludzie, którzy tam zaglądali, zachowywali się, jakby przychodzili z kondolencjami. Rozmawiali szeptem, przynosili owoce. Mieszkańcy kibucu nie wiedzieli, jak reagować, jak się zachowywać, komu zaufać. Willi Achinoam przeniósł swoje posłanie do dawnego pomieszczenia dla kaczek; tam sypiał i nie wychylał nosa na zewnątrz. Jafa zostawiała mu pod drzwiami jedzenie na tacy i termos z herbatą.

Pierwsza praktyczna decyzja głosiła, aby nie pracować swoich brudów publicznie. To nasza porażka, nasza hańba i musimy zrobić wszystko, żeby ją jakoś naprawić, uratować to, co zostało. Następnie postanowiono nie dopuścić do tego, by Oznaja stała się „upadającym kibucem”. Nie szukać układow i nie starać się o umorzenie długów. Nie prosić o pomoc instytucji publicznych ani fundacji. Zdecydowano sprzedać ciągnik, bronę, siewnik i cztery samochody osobowe. Oraz - i tutaj zostały pogrzebane marzenia Szibolet - zwołać na miejsce wszystkich członków kibucu na co najmniej rok. Rodzice napisali do dwóch chłopców, którzy pracowali w firmie przewozowej w Nowym Jorku, i do czterech innych, którzy zarabiali w spółdzielni ogrodniczej „Oznaya Gardening” w Los Angeles. Wybrano tymczasowy zarząd, aby zwolnił wynajętych pracowników, poprosił o wstrzymanie poboru do wojska, zwołał z powrotem kibucników, którzy udali się na wakacje, oraz odłożył na rok, dwa lata wszystkie wyjazdy za granicę. Krótko mówiąc: ogłoszono stan wyjątkowy. Ze wstydu i przygnębienia narodziła się determinacja, jakiej mieszkańcy kibucu Sade Oznaja nie zaznali przez trzydzieści siedem lat jego istnienia. W stołówce pojawił się znowu chleb z dżemem! No i - dokończyła Szibolet - żegnajcie, Amazonio i Tajlandio.

- Wracasz do domu? - zapytała Lizzi.

- Mam dwie możliwości - odparła Szibolet. - Albo będę pracowała w gospodarstwie, albo oddam im wszystko, co zdołam zaoszczędzić w mieście. Cały czas się wahamy, trzeba się zastanowić, co się bardziej opłaca. Tak czy owak, naszą wycieczkę szlag trafił.

- Na razie.

- Postanowiliśmy też oddać to, co zaoszczędziliśmy do tej pory.

- Wiesz, myślę, że to bardzo ładnie z waszej strony.

- Ja też.

Ten szlachetny uczynek nie napełniał jednak Szibolet dumą i szczęściem. Przeciwnie, była bardzo przygnębiona.

Lizzi weszła do swojego pokoju, żeby napisać artykuł. Kiedy skończyła, mniej więcej po godzinie, Szibolet nie było już w redakcji. Za oknem się ściemniało. Anteny telewizyjne na dachach naprzeciwko drżały za każdym razem, gdy w dole przejeżdżał samochód. Lizzi siedziała przy biurku i myślała o tym, co opowiedziała jej Szibolet. Przed oczyma miała oblicze Willego Achinoama z jego naiwnym błękitnym spojrzeniem. To bardzo łatwe: ukrywać się jak kaczka -

pomyślała. Jego syn, ranny, leży na polu bitwy, a ojciec, zamiast go pocieszyć, chowa się przed ludźmi. Naprawdę żal jej Jary, rozdartej między synem, który sam sprowadził na siebie nieszczęście, i mężem, który zwyczajnie uciekł.

Jakie to wszystko skomplikowane! - pomyślała Lizzi. Instynkt mówił jej, że Szajke i Ido bez żadnych skrywanych motywów pragnęli zwiększyć dochody kibucu i tylko dlatego zaplątali się w machinacje Aleksandry Horasztyk. Ona też ze swej strony chciała dać im zarobić. Jeszcze trzy miesiące temu, zanim tajemniczy biznesmen zniknął razem z pieniędzmi, nie mieli powodu, żeby jej nie ufać. Procenty rosły zadowalająco dla obu stron. Kim był człowiek, który pożyczył jej pieniądze? Archimedes? Umiejętnie podsycił zaufanie, jakim go darzyła, i wykorzystał ją? Taka możliwość zupełnie nie pasowała do człowieka, którego poznała. Ale co ona właściwie o nim wie? I co wie o świecie interesów? Ciągłe słyszy się o biznesmenach, którzy mieli już wszystko i wplątali się w sytuację bez wyjścia, powodowani żądzą przygód. Mówi się, że kto ma milion, chce mieć dwa, a kto ma dwa - chce mieć trzy. Tak czy owak, dwie osoby, które niczego nie zyskały na śmierci Aleksandry Hornszyk, to właśnie Szajke

Achinoam i Ido Gabrielów. Jedyne żywa Aleksandra mogła gwarantować zwrot pieniędzy. Jej śmierć zaś przekreślała ostatnią szansę. Nie, Szajke i Ido byli niewinni. Jeśli Archimedes dał jej sto tysięcy dolarów dwa dni przed morderstwem, to także nie on był sprawcą. Stosunki między Aleksandrą a Pinchaselem nie układały się dobrze. Jej siostra była zazdrosna. Czy to możliwe, by sędzia miał romans ze szwagierką i tych dwoje sprzymierzyło się przeciw Aleksandrze? O ile Lizzi mogła zauważyć, nie przepadali za sobą.

A może Jackie? Ale czemu miałby zabijać kurę, która znosi złote jaja? Może Bruno Balfour chciał przejąć firmę? Nie w momencie, kiedy interes był pogrążony w długach. Za mało skoncentrowałam się na samym morderstwie - pomyślała Lizzi. Kto skorzystał na jej śmierci? A co się stało z pieniędzmi? Jeżeli Archimedes rzeczywiście dał jej sto tysięcy dolarów w piątek, to gdzie one się znajdują? Kim była kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym, która zrealizowała czeki w banku w niedzielę rano?

Lizzi wysłała gotowy artykuł i zamknęła drzwi biura. Jadąc windą, zastanawiała się, gdzie ukryć butelkę pinot chardonnay, którą dał jej Archimedes. Ostatecznie postanowiła postawić ją na półce w kuchni, obok butelek z octem i oliwą. Zawsze najciemniej pod latarnią.

Rozdział 27

Lizzi zamknęła drzwi na klucz i zostawiła go w zamku. Od czasu włamania miała wrażenie, że w mieszkaniu ukrywa się jakaś złowroga istota, która bezustannie jej się przygląda. Może źle zrobiła, zamykając drzwi. A jeśli potwór wyskoczy na nią z szafy w sypialni albo z balkonu? Ja się nie boję - powtarzała sobie. Niech mnie diabli, jeśli zaczną się bać. Wcale się nie boję.

Weszła pod prysznic, odkręciła kurek i sparzyła się. Do licha! Ktoś wreszcie naprawił ogrzewacze wody. A więc jednak zdarzyło się coś przyjemnego w tym przeklętym dniu. Dzięki temu zwariowanemu Benciemu miała też w lodówce coś do jedzenia. Przyrządziła sobie sałatkę i omlet. Posmarowała bułkę masłem i kozim serem i napełniła olbrzymi kubek z napisem „Coffee” pachnącym i słodkim kakao. To był długi, ciężki dzień i Lizzi postanowiła wcześniej położyć się spać. Jutro ma wolny ranek. W południe musi iść na pokaz mody w Country Clubie, ale przedtem załatwi wszystkie te sprawy, które z powodu nadmiaru pracy zepchnęła na dalszy plan: odda zimowe buty do szewca, kupi baterie do radia, zapłaci za wodę i prąd i zamówi nową książeczkę czekową w banku. Jeśli zdąży, pójdzie też do fryzjera. Panie na pokazach mody zawsze są takie zadbane.

Zmywała naczynia, myśląc o kobiecie, która zrealizowała czeki Archimedesa Lewiego w banku Aleksandry Hornszyk. Taki ogólnikowy opis! Co druga kobieta w Beer Szewie mu odpowiadała. Średniego wzrostu, w średnim wieku, o włosach nieokreślonego koloru, płaszcz przeciwdeszczowy, parasolka, aktówka, chustka na głowie. Sekretarki nie chodzą z teczkami. Być może należała do jej szefa. Banki otwierają o wpół do dziewiątej. Pojawiła się rzeczywiście w chwili otwarcia. Przecież w wiadomościach o dziewiątej powiedziano o morderstwie Aleksandry Hornszyk. Benci wspominał, że urzędniczka z banku zadzwoniła do Archimedesa z prośbą o

potwierdzenie czeków, co też uczynił, nie wiedząc nic o morderstwie. To znaczy, że klientka, czy jak ją tam zwał, pojawiła się w banku parę minut po wpół do dziewiątej. Zirytowała się trochę, kiedy sprawa się opóźniała, ale jej reakcja nie zaniepokoiła urzędniczki, która podkreśliła, że klientka pogodziła się z faktami. Być może nie była przyzwyczajona do trudności w banku. Albo dokądś się spieszyła, może do pracy na dziewiątą.

Lizzi była zdumiona decyzją dyrektora banku, który zgodził się wypłacić Aleksandrze Hornszyk taką sumę, wiedząc, że jest pogrążona w długach sięgających tysięcy dolarów. Można było się spodziewać, że bank zechce położyć rękę na pieniądzach. Kiedy ona sama miała debet, zwykła nawet budynek swojego banku omijać z daleka, umierając ze strachu przed spotkaniem z dyrektorem lub urzędnikami. Jak to możliwe? Chyba że... no jasne, moja droga. Lizzi umyła ręce i rozpostarła mokrą ścierkę na kaloryferze. Kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym posłużyła się kontem Pinchasa Hornszyka, a nie Aleksandry! Było to solidne konto, któremu nie zagrażały żadne poczynania rodziny. Z dochodów Lubicza wpływało na nie co miesiąc dziesięć procent, których Aleksandra nigdy nie dotykała. Było to także jedyne konto nie zadłużone. Aleksandra pragnęła uratować w ten sposób pieniądze i przekazać je nietknięte kibucnikom.

Lizzi przygotowała sobie jeszcze jeden kubek kakao i poszła do łóżka. Nawet jeśli jej teoria jest zgodna z prawdą, pozostaje kluczowe pytanie: co się stało z pieniędzmi? Gdzie znikło sto tysięcy dolarów, które Aleksandra dostała od Archimedesza Lewiego? Policja oczywiście próbuje znaleźć czek i najprawdopodobniej w końcu go znajdzie. Chyba że ktoś trzyma go cały czas w kieszeni. Lizzi usiłowała zrozumieć, w jaki sposób cała ta historia z czekiem łączy się ze śmiercią Aleksandry. Na pierwszy rzut oka nikt nie skorzystał na morderstwie. Przeciwnie, wszyscy stracili. Można mieć wątpliwości jedynie w stosunku do Archimedesza Lewiego, który być może - powtarzani: być może - pożyczał jej pieniądze. Tylko on wie, czy był jej winien i ile. Wygląda na to, że nigdy się nie dowiemy - powiedziała sobie Lizzi - czy tajemniczym biznesmenem w istocie był Archimedes, czy też istniała jakaś mglista postać, znajomy znajomego, który zainwestował pieniądze Aleksandry i pewnego pięknego dnia uciekł za granicę. Wydawać by się mogło, że między Aleksandrą a Archimedesem nie wchodzi w grę oszustwo. Byli dobrymi przyjaciółmi. Archimedes nie sprawiał wrażenia człowieka, który zdradza przyjaciela. Ale kto to może wiedzieć naprawdę?

Rozdział 28

Pokaz mody w Country Clubie zorganizowała firma „Jacqueline International”. Dahan poprosił Lizzi, żeby pisząc o pokazie, wspomniała także o poczęstunku. Jedzenie przygotował jego kuzyn, Herzel Dahan, który ukończył szkołę hotelarską w Herzelii. Stoły rzeczywiście były pięknie nakryte. Sądząc zaś z ożywionego ruchu szcęk gości, zarówno kanapki, jak i maleńkie ciasteczka bardzo wszystkim smakowały. Pojawieniu się modelek towarzyszyła muzyka disco o natężeniu, którego nie powstydziliby się żaden koncert.

Pnina Marlboro, producentka pokazu, wytłumaczyła drogim paniom (wśród których było także trzech mężczyzn), czym różni się moda tegoroczna od tej z ubiegłego roku. Do łask wracają tkaniny naturalne: wełna, jedwab, bawełna. Modne są także połączenia dwóch albo trzech tkanin. Tworzy to dramatyczny efekt, który umożliwi dynamicznej i aktywnej kobiecie sukcesu, dbającej jednak o swoją kobiecość, chodzić w tej samej sukni od rana do wieczora. (Czy można mnie określić jako dynamiczną i aktywną kobietę sukcesu, która dba o swoją kobiecość, mimo że nie miałam na sobie sukienki od sześciu lat? - zastanawiała się Lizzi). Podkreślona została linia bioder. Modne obecnie są spódniczki mini, ale też spódnice do kostek, a nawet dłuższe. Dominujące kolory to biel i czerń, lecz nie zapominajmy o zieleni, żółci, a zwłaszcza błękicie. No i o brązie! W nadchodzącym sezonie ujrzymy wiele odcieni brązu. Czekoladowy, kawowy, ziemisty! Sylwetki stały się szczuplejsze; wąskie sukienki, niemal przylegające do ciała, pozbawione dekoltów, świadczą o konserwatyzmie najmłodszego pokolenia. Pnina Marlboro poprosiła, aby zwrócić uwagę także na buty i dodatki. Sztuczne kwiaty, dzieło rąk Ilanit Bohbot, absolwentki Szenker, która stanowiła wielką nadzieję wzornictwa izraelskiego. Ilanit udało się osiągnąć rzecz niemożliwą - podbić Paryż. Dzięki niej Izrael znalazł się na światowej mapie mody. Proszę, wstań, Ilanit. Proszę państwa, brawa dla Ilanit! Biżuteria. Duże koła, także z plastiku, często w kolorach kontrastujących z

odcieniem ubrania. Nie zapominajmy o fryzurach! Jest tu z nami Moki z salonu „Moki i Sima”. W tym tygodniu wrócił właśnie z Niemiec. Zdobył tam międzynarodową nagrodę Złotych Nożyc. Jesteśmy wszyscy z niego dumni. Brawa dla Mokiego!

Lizzi położyła długopis na notesie i biła brawo wraz z innymi. Nalewając sobie kawy z dzbanka, zauważyła, że trzy stoły dalej siedzi Miriam Aszbel. Co za tupet - pomyślała - przecież jej siostra zmarła niecałe dwa tygodnie temu.

Po skończonym pokazie między stolikami zaczęli kręcić się kelnerzy i kelnerki, nalewając gościom świeżej kawy. Lizzi, ogłuszona towarzyszącą prezentacji muzyką, miała teraz okazję nacieszyć się ciszą. Wrzuciła notes do swojej wielkiej torby i podeszła do Miriam Aszbel.

- Dzień dobry, pani Aszbel. Co słysząc? Jestem Lizzi Badihi z „Czasu Południa”. Pamięta mnie pani?

Oczywiście, że jej nie pamiętała. Tamtego wieczoru była przecież kompletnie pijana.

- Spotkałyśmy się w domu pani siostry podczas przyjęcia. Byłam też później, w dniach żałoby, ale tego na pewno pani nie pamięta. Odwiedzało wtedy państwa mnóstwo ludzi. A jak się mają pani rodzice? Wszystko w porządku?

- Nie. Oczywiście, że nie. Jak może być wszystko w porządku?

- Jest pani sama? Nie przeszkodzi pani, jeśli się przysiądę?

- Proszę bardzo. Miałam właśnie zamiar wyjść, ale proszę bardzo.

Lizzi przyciągnęła swoje krzesło do stolika Miriam i ustawiła je obok ku niezadowoleniu najbliższych siedzących pań.

- Stwierdziłam, że oszaleję, jeśli nie wyjdę z domu - powiedziała Miriam. - Neeman przychodzi późno, pomaga ojcu. Syn wrócił do wojska. A ja chodzę po ścianach! Podobała ci się ta czarna tunika, którą miała na sobie Marokanka, co?

- Nie znam się na tym.

- Diabli wiedzą, dlaczego przyłączę na te pokazy. Czysty masochizm! Głowa mi pęka od muzyki i tego gadania. To jest moda dla młodych dziewczyn, ale skąd one mają wziąć pieniądze? Coś ci się spodobało?

- Postanowiłam przejść na dietę i bardzo mi się to nie podoba.

Miriam roześmiała się. Lizzi pomyślała, że właściwie jest całkiem miła. Powiedziała, że szef kazał jej napisać o morderstwie Aleksandry, ale pojawiło się tyle niejasności, że nawet rozmowa z Pinchaselem Hornshtykiem nic nie dała.

- Chodź, wyjdziemy do holu - zaproponowała Miriam - może znajdzie się tam coś do picia.

Lizzi musiała pochwalić w duchu Herzla Dahana, który zatroszczył się o to, by talerze z kanapkami i ciasteczkami pojawiły się także na stole w holu. Drobne przyjemności łączące się z jej zawodem. Zależniona kelnerka, wyglądająca na studentkę, zapytała, co podać do picia, herbatę czy kawę. Miriam odpowiedziała, że napije się „wódki z sokiem pomarańczowym, kawy mam już po uszy”. Kiedy kelnerka odeszła, wyjaśniła, że „wódka z sokiem nie zostawia smaku ani zapachu i Neeman nie będzie mi robił wymówek”.

Lizzi rozmawiała z Miriam o pokazie mody, o synu w wojsku, rodzicach, sklepie, przyjęciu, czekając, aż alkohol zacznie działać. Po drugiej szklaneczce na policzkach i szyi Miriam pojawiły się różowe wypieki.

- Zawsze jej zazdrościłam - zwierzała się Miriam. - Aleksandra była tą zdolną, ładną i udaną córką. Ja byłam zwyczajna. Nie mówiło się o tym, broń Boże, ale nieświadomie rodzice dawali nam to do zrozumienia. Na świadectwie maturalnym miałam średnią dziewięćdziesiąt dwa, a ona osiemdziesiąt dziewięć, mimo to nadal uchodziła za tę zdolniejszą. Może dlatego, że była wysoka i ładna, ja zaś stanowiłam kopię babci Dwoszy, co cieszyło mojego dziadka, ale niekoniecznie rodziców.

- Może jej było jeszcze trudniej. Musiała sprostać oczekiwaniom rodziców.

- To pociąga za sobą wymagania wobec samego siebie. Zobacz, kim ona się stała, a kim ja. - Miriam za późno zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. Oczy zaszyły jej łzami. - Trudno uwierzyć, że ona nie żyje. Że nie mam komu zazdrościć. Czuję się winna. Jak się nazywasz?

- Lizzi Badihi.

- Gdzieś głęboko tkwi we mnie przekonanie, że to ja w końcu wygrałam. Bo ja jestem tutaj, a ona tam. Straszne, prawda?

- Nie ponosisz winy za to, że została zamordowana. Ale nawet Pinchas Hornszyk wydaje mi się strasznie zagubiony.

- Pinchas Hornszyk nigdy nie bywa zagubiony. To ostatnie, co można o nim powiedzieć. Jeśli istnieje człowiek, który zawsze spada na cztery łapy, wie, czego chce od życia, skąd przybywa i dokąd zmierza - to jest nim właśnie sędzia okręgowy Pinchas Hornszyk. Ach, to przyjęcie! Co za koszmar!

- Pracujesz gdzieś?

- Dwa lata temu pracowałam jeszcze w biurze podróży Tur-Bo. Znasz?

- Nie.

- Zbankrutowali. Nie chciało mi się szukać nowej pracy. W tym roku zaczęłam uczyć się malarstwa na kursach wieczorowych. Jak wszystkie kobiety w moim wieku.

- Czy ona go kochała?

- Mówiłaś, że jak się nazywasz?

- Lizzi Badihi.

- Nie, Lizzi Badihi. Nie kochała go. Mogę ci to powiedzieć, to żadna tajemnica. Na początku zrobił na niej wrażenie. Jest inteligentny. Dwa lata po ślubie miała pierwszego kochanka. Potem następnych. Dzisiaj, kiedy jej już nie ma, mówię sobie: „Super, Aleks, dobrze, że zdążyłaś, na zdrowie, Aleks”. Brzmi strasznie, co?

- To nie było zbyt miłe dla sędziego.

- I o to szło. Żeby mu nie było miło. Chciała go zmusić, żeby się z nią rozwiódł.

- Jackie Danzig ją szantażował.

- Skurwysyn.

Miriam zamówiła u zalęknionej kelnerki następną wódkę. Sięgnęła do talerza po któryś ze specjałów Herzla Dahana.

- Kupiła mu mieszkanie i samochód. Czego jeszcze chciał?

- Pieniądzy.

- Kiedy go zobaczyłam, zapytałam ją, czemu ze wszystkich pianistów w Izraelu zaprosiła na przyjęcie Pinchasa akurat tego śmierdzącego głupka, zwłaszcza że Bruchim, jej nowy kochanek, też został zaproszony. „Czy chcesz zebrać ich wszystkich razem?” Odpowiedziała, że Pinchasowi tak czy owak to nie zaszkodzi. A poza tym ma zamiar pozbyć się Jackiego raz na zawsze, jak tylko skończy grać. Myślę sobie, że kiedy ten idiota wstał od fortepianu, Aleks zabrała go do ogrodu na rozmowę w cztery oczy i powiedziała, żeby się wynosił. I wtedy ją zastrzelił.

- Z pistoletu Hornszyka?

- To nie problem. Broń zawsze była w szufladzie przy łóżku. Szuflada zawsze otwarta. Wszyscy wiedzieli, że Pinchas ma broń i gdzie ją trzyma.

- Była kochanką Jarona Bruchima?

- Ja nie zdradzam żadnych tajemnic, Lizzi. Aleks miała tupet. Młodszy od niej minimum o dziesięć lat. Był chłopakiem tej... jak jej tam... sekretarki w biurze Aleks. Właściwie to ona poleciła tego... jak mu tam... i tak pojawił się w pracowni, prosto z Akademii Bezalel. I wtedy szefowa wzięła go dla siebie. Zabawne, co? Zawsze robiła to, na co miała ochotę. Mało kto by się tak ośmielił.

- I zapłaciła za to drogo.

- Owszem, bardzo drogo.

- Czy rodzina wiedziała o jej kłopotach finansowych?

- Nie. Przynajmniej ja nie wiedziałam. Pinchas też, bo nigdy go w nic nie wtajemniczyła. Neeman na pewno nie wiedział. Ani rodzice. Ja dowiedziałam się dopiero w dniu przyjęcia. Kiedy zmyłam jej głowę za Jackiego i Jarona. Oświadczyła, że jest zakochana w Jaronie Bruchimie i postanowiła zacząć życie od nowa. Wziąć rozwód, sprzedać dom, zabrać dzieci i przeprowadzić się do Jarona. Krótko mówiąc, to miało być pożegnalne przyjęcie. Powiedziała, że nie boi się zamieszkać w bloku, że ma mnóstwo długów i że Pinchas z radością się od niej uwolni. Nie było czasu na sprzeczki. Zaczęli nadchodzić goście. Ja stwierdziłam, że w tych okolicznościach najrozsądniej będzie się po prostu upić. Ale to nie do druku.

Miriam roześmiała się i uniosła brwi jak niegrzeczna dziewczynka.

- Zapalono fajerwerki?

- Nie.

Miriam wstrząsnął dreszcz. Wysączyła ostatnią kropelkę ze szklanki. Lizzi zauważyła, że waha się, czy nie zamówić jeszcze jednej wódki, lecz poczucie wstydu zwalczyło tę chęć.

- To było straszne. Pinchas poprosił Neemana, żeby odszukał Aleks. Goście zaczęli się rozchodzić, a on stał w wejściu i się z nimi żegnał...

- Czy Jackie skończył już grać?

- Neeman podszedł do mnie, cały blady, i powiedział, że Aleks siedzi przy basenie, zastrzelona, nie żyje. W takich chwilach zawsze można na mnie liczyć. Zaczęłam krzyczeć.

- Wszyscy słyszeli twój krzyk?

- Oczywiście. Krzyczałam głośno. Pewnie słyszano mnie aż w Ejlacie.

- W takim razie nie było już muzyki.

- Nie, wtedy nie było muzyki. W pokoju zostało może z pięć par, nie licząc członków rodziny, i wszyscy rozmawiali. Znasz ten niewyraźny gwar, który panuje pod koniec imprezy. Moje wrzaski okazały się gwoździem wieczoru.

Pomimo żartobliwego tonu usta Miriam wykrzywiły się, a oczy znowu napełniły łzami.

- Czy to ty zaniósłś czeki Aleks do banku?

- Jakie czeki?

- Słyszałam coś w biurze. Ktoś podobno zaniósł jej czeki do banku w niedzielę rano.

- To nie ja. Do którego banku?

- Nie mam pojęcia.

- W niedzielę był pogrzeb!

Wydawało się, że Miriam nie ma o niczym pojęcia. Wstała z fotela, popatrzyła na Lizzi.

- Dlaczego pytasz?

Przywołała kelnerkę i poprosiła o rachunek.

- Nie trzeba - odrzekła dziewczyna. Była drobna, o przygarbionych plecach i zatroskanym wyrazie twarzy. Lizzi zastanawiała się, co może studiować.

- Szkoda, że nie wiedziałam tego wcześniej - mruknęła Miriam i odeszła.

Lizzi przyglądała się, jak kroczy westybuliem sztywno wyprostowana, żeglując jak łódka bez steru między wypukłościami posadzki i dociera do obrotowych drzwi, które nagle stały się dla niej problemem. Nie - pomyślała Lizzi, czarna tunika nie odmieni Miriam Aszbel. Babcia Dwosza była zapewne niską, okrągłą kobietą o szerokich biodrach. Miriam nawet po ukończeniu kursu malarstwa będzie wyglądała jak żydowska dynia i żadna wróżka nie zamieni jej w księżniczkę.

Rozdział 29

Lizzi położyła na biurku Dahana notatkę o pokazie mody, naszpikowaną licznymi pochwałami pod adresem poczęstunku przygotowanego przez zdolnego restauratora, Herzla Dahana.

Wzięła do swojego pokoju numery „Czasu Południa” z ostatnich trzech miesięcy i pogrążyła się w lekturze ogłoszeń. Jeśli Aleksandra Hornszyk istotnie chciała opuścić męża i sprzedać dom, wysoce prawdopodobne, że jej ogłoszenie ukazało się w rubryce „Nieruchomości”. „Czas Południa” istniał dłużej niż „Dziennik”, a jego czytelnicy należeli do zamożnej i ustabilizowanej warstwy społeczeństwa. Dokładnie takiej, jaka mogłaby się zainteresować kupnem willi w Omerze. Lizzi znalazła odpowiedni tekst szybciej, niż się spodziewała. W rubryce „Nieruchomości” w środę, na trzy dni przed morderstwem, pojawiło się ogłoszenie o sprzedaży umeblowanej willi w Omerze, sześć pokoi plus ogród, garaż, klimatyzacja, basen. Od zaraz. W specjalnym zeszycie Dahana Lizzi odszukała według kodu nazwisko ogłoszeniodawcy i nie była zdziwiona, widząc: Aleksandra Hornszyk, dalej numer telefonu w pracy i adres, również służbowy. Zapłacono z góry. Zgodnie z najnowszymi zasadami ogłoszenie miało się ukazywać, dopóki nie znajdzie się nabywca, jednak nie dłużej niż przez dwa miesiące. Lizzi zajrzała do gazety z następnej środy, ale ogłoszenia nie znalazła. Nie było go również w dzisiejszym dodatku.

- Czemu to ogłoszenie już więcej się nie ukazało? - zapytała Dahana.

- Bo dom został sprzedany.

- Skąd to wiesz?

- Właściciel zadzwonił i powiedział, że dom został już sprzedany i żeby wobec tego zdjąć ogłoszenie.

- To był Hornszytk?

Dahan otworzył szeroko oczy. Lizzi mogła niemal zauważyć, jak tryby w jego głowie zaczynają się obracać.

- Postaraj się sobie przypomnieć, kiedy zadzwonił.

- Na pewno przed wtorkiem, bo we wtorek zamykam rubrykę. Gdyby zadzwonił we wtorek wieczorem, pamiętałbym, bo te zmiany w ostatniej chwili doprowadzają mnie do szału. A więc albo w niedzielę, albo w poniedziałek. W naszych ogłoszeniach nie ma wiele sześciopokojowych willi z basenem. Ten dom znalazł nabywcę w niecały tydzień po ukazaniu się ogłoszenia. Specjalnie sprawdziłem kod, żeby się dowiedzieć, kiedy zgłoszono tę ofertę. Byłem pod wrażeniem.

- Została zamordowana w sobotę wieczorem. Gdyby Hornszytk zadzwonił w niedzielę, zapamiętałbyś. Wspominali nazwisko w wiadomościach. Rozmawialiśmy o morderstwie w redakcji, cała Beer Szewa o tym gadała. Jeszcze jak byś pamiętał, gdyby on zadzwonił w niedzielę! Na pewno dzwonił w poniedziałek albo we wtorek rano.

- Niekoniecznie. Wcale nie musiał podawać nazwiska. Wystarczy, jeśli podał kod i poprosił, żeby zdjąć ogłoszenie. Przykro mi, Lizzi.

- Niech ci nie będzie przykro. Nie dotarliśmy do Indii, ale za to odkryliśmy Amerykę.

- Tak?

Dahan nie wyglądał na przekonanego i Lizzi się roześmiała.

- Czy wiesz, że biedny Kolumb aż do śmierci myślał, że dopłynął do Indii?

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Naprawdę. Jediną osobą, która nie wiedziała, że Kolumb odkrył Amerykę, był sam Kolumb.

- Lizzi, przestań pieprzyć bez sensu. Co takiego odkryłaś?

- Dobrze wiesz, że nie lubię podobnych wyrażań.

- Lizzi!

- Jeszcze sama nie wiem, co odkryłam. Ale posłuchaj! Jeśli Aleksandra Hornszytk umieściła to ogłoszenie, to znaczy, że chciała sprzedać dom. Jeśli Pinchas Hornszytk je unieważnił, to znaczy, że nie chciał go sprzedać.

- Chyba że naprawdę go sprzedał.

- W dniu pogrzebu? W pierwszym albo drugim dniu żałoby? Czy to ci się wydaje prawdopodobne?

- Nie.

- Masz sejf w banku?

- Tak.

- Zanieś tam swój zeszyt z kodami i obiecaj, że nikomu, z Arielim włącznie, nie powiesz o tym ogłoszeniu.

- W porządku.

- Przysięgasz?

- Czy ja cię kiedyś oszukałem, Lizzi?

- Wiele razy.

Dahan obraził się.

Lizzi pochyliła się, pocałowała go w policzek i krążyła wokół niego, dopóki jej nie wybaczył. Potem odstawiła numery „Czasu Południa” z powrotem na półkę, a cenniejszy niż złoto zeszyt włożyła do teczki Dahana i raz jeszcze kazała mu przysiąc, że nie zapomni zanieść go do banku - jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze dzisiaj.

Dahan zamknął redakcję i razem zjechali windą. Gdyby Lizzi paliła fajkę, czułby się teraz jak jeden z tych dwóch z serialu telewizyjnego. Sherlock Holmes albo ten jego doktor. ... jak mu tam.

Rozdział 30

Według obliczeń Lizzi Archimedes powinien już wyjść z aresztu. Pojechała więc do jego sklepu, lecz okazało się, że jest zamknięty. Na drzwiach była nalepiona karteczka z informacją, gdzie można znaleźć właściciela, z jego adresem i numerem telefonu.

Lizzi weszła do sklepiku Klary i Jakowa, żeby od nich zadzwonić.

Wuj siedział na krześle. Bez peruki i kapelusza wyglądał, jakby był nagi. Klara natomiast miała podbite oko, rękę na temblaku i podrapane policzki. Sudański łowca strusi, który sprzedawał im turkusy znalezione na pustyni, oszalał. Stwierdził, że jest wcieleniem egipskiego boga występującego pod postacią sokoła, i zaatakował Jakowa. Klara została ranna, gdy ratowała męża z jego szponów. Tak, przyjechała policja. Benci i Ilan. Zabrali Klarę na izbę przyjęć, a sokoła do ogrodu zoologicznego.

- Do ogrodu zoologicznego? - zapytała Lizzi.

- Tak - potwierdziła Klara. - Benci powiedział, żebyśmy się nie martwili. Zamkną sokoła w klatce i nie zrobi nam więcej krzywdy.

- Przynosił mi zawsze kwiaty akacji z pustyni - powiedział Jakow - a Klara robiła z nich herbatkę, która mi pomagała na oczy.

- Piłeś ją czy tylko na nią patrzyłeś?

- Stosowałem okłady. Okłady z herbatki akacyjowej. To dobrze robi na piekące oczy. Nie mam pojęcia, co mu się stało.

- Co mu się stało, co mu się stało - prychnęła Klara i zdrową ręką posadziła sobie kota na kolanach. - Zamienił się z sokołem na głowy!

Nie, nie widzieli Archimedes. Teraz, kiedy spotkało ich nieszczęście, wspominali go jako swego najlepszego opiekuna.

- Gdyby tutaj był - powiedziała Klara - żaden sudański sokół nie odważyłby się na nas napaść.

- Klara potrafi się bronić - stwierdził Jakow melancholijnie. - Ludzie wykorzystują to, że jest taka drobna, i pozwalają sobie na zbyt wiele, a wtedy ona ich bije.

- Archimedes jest dla nas jak cesarz Mikado - kontynuowała Klara. - Sędzia, król i kat, który nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Wierzysz w to naprawdę, ciociu Klaro? - zapytała Lizzi.

- Z całego serca - odpowiedziała Klara. Jedno jej oko przypominało barwą zimową kałużę, a drugie jajko na twardo.

Zapisał pager i Lizzi zadzwoniła do Tel Awiwu.

- Badihi! - rozległo się warknięcie Arielego, jeszcze zanim zdążyła powiedzieć „dzień dobry”. Zastanawiała się, czy jest jedyną osobą, z którą Arieli porozumiewa się za pomocą pagera.

- Tak?

- Zwolnili tego filatelistę?

- Ma być zwolniony dzisiaj.

- Ustaliłaś coś?

- Właśnie próbuję go znaleźć.

- Świetnie. Widziałaś „Dziennik”?

- Dzisiejszy?

- Artykuł na dwie strony o tym typku, Archimedesie Lewim. Podejrzewają, że to on sprowadził kłopoty na żonę sędziego, i nie wykluczają morderstwa.

- Tak napisali w „Dzienniku”?

- Mniej więcej. Posyłam Cementa.

- Kiedy?

- Jutro. Skontaktuje się z tobą.

Lizzi rzuciła słuchawkę. Drżały jej ręce i nogi, musiała usiąść. Była tak zła, że na moment pociemniało jej w oczach. Przynajmniej to mi się udało - pomyślała. Obiecałam sobie, że choć raz w życiu rzucę słuchawkę, i zrobiłam to.

- Lizzi, co się stało? - Klara zapomniała na chwilę o własnych kłopotach.

- Mój szef.

- Co chce zrobić?

- Przysłać reportera z Tel Awiwu.

- Ludzie przychodzą i odchodzą, a orkiestra gra dalej - powiedział Jakow.

- Mam jeszcze trochę Chanel nr 5 - przypomniała sobie Klara.

Wzięła jedną kroplę na palec, po czym wtarła ją Lizzi za uszami i po wewnętrznej stronie przegubów.

- Teraz poczujesz się lepiej.

Perfumy pachniały przyjemnie, ale Lizzi wcale nie poczuła się lepiej. Ucałowała Jakowa, a potem, z największą ostrożnością, Klarę w nie podrapany policzek, i wykręciła domowy numer Archimedes. Słysząc było sygnał, ale nikt nie podnosił słuchawki. Jeżeli jest podejrzany o morderstwo Aleksandry Hornszyk, nie wypuszczają go z aresztu. Czy to możliwe, że naprawdę go podejrzewają? Archimedes może być mordercą? Ta szuja Adulam! Właśnie dzisiaj nie przejrzała „Dziennika”. Adulam z pewnością rozmawiał z Bencim. Była wściekła na szwagra, że nie raczył jej o tym powiedzieć. Oczywiście, że nie może rozpowiadać o wszystkim, ale jeśli przekazał informacje Adulamowi, to jej też mógł. A Dahan! Ten przebiegły wąż, ten lis, ten obrzydliwy kłamca, którego kryła za każdym razem, kiedy miał ochotę zaliczyć jakąś dziewczynę! Ten wilk w owczej skórze, który na pewno wiedział już o decyzji Arielego, gdy rozmawiali w redakcji! Nie tylko nie miał cienia odwagi, krzty uczciwości, żeby powiedzieć o przyjeździe Cementa, ale jeszcze pozwolił jej prosić o wybaczenie, że osmieliła się wątpić w jego dobre intencje! Już ona się z nim policzy! Koniec z kuzynami restauratorów i bratankami kucharzy! Skończyły się dobre czasy!

Litując się nad sobą, postanowiła jechać do Archimedes. Ale w mieszkaniu, którego adres miała zapisany na kartce, nie zastała nikogo.

Już miała przekręcić kluczyk w drzwiach samochodu, gdy zastygła w bezruchu. Pijane słowa krążące w gęstej mgłę, która wypełniała jej głowę, powoli zaczęły się krystalizować. Po raz pierwszy mogła uporządkować myśli i zdać sobie jasno sprawę z dotychczasowych ustaleń. Nie może dłużej ignorować tego, co prześladowuje ją uparcie już od kilku godzin. Hornszyk jest mordercą - tego była niemal pewna. Pieniądze, które Aleks dostała od Archimedes w piątek, prawie na pewno są w posiadaniu sędziego, albo wpłacone na jego konto, albo w postaci czeku. Aleks pragnęła jak najszybciej uregulować swoje długi wobec kibucu. Sprzedaż domu w znacznej mierze na to pozwalała. Fakt, że jej mąż unieważnił ogłoszenie o sprzedaży, świadczy, że o nim wiedział i nie miał ochoty rozstawać się z domem. Aleks za życia mogła z nim zrobić, co tylko chciała, ponieważ był zapisany na nią. Po jej śmierci mąż odziedziczył cały majątek. Nie jest też odpowiedzialny za jej upadający interes, tym bardziej że nigdy nie miał z nim do czynienia. Jego miłość do pieniędzy wyszła na jaw już wtedy, kiedy kupił rękę Aleks od Lubiczów w okolicznościach pachnących szantażem. Aleks chciała opuścić męża i nie ukrywała tego. Pogardzała nim otwarcie i ośmieszała go, zapraszając do łóżka młodych mężczyzn z całej okolicy. Dopóki Hornszyk mógł liczyć na pieniądze, nie zamierzał dać jej rozwodu. Teraz jednak była pogrążona w długach, które mogły mu przynieść wstyd i bankructwo. Krótko mówiąc, jedynym człowiekiem, który skorzystał na śmierci Aleksandry Hornszyk, był jej mąż.

O wpół do siódmej wieczorem Lizzi postanowiła, że pojedzie do sklepu Lubicza i kupi butelkę wina. Na wszelki wypadek, gdyby Archimedes mimo wszystko został dzisiaj zwolniony z aresztu. Przy okazji może porozmawiać również o sprzedaży willi. Nadszedł czas, by wywołać wilka z lasu. Zajmuje się tą historią już prawie dwa tygodnie i nie dopuści do tego, żeby jakiś tam Cement zebrał owoce jej trudu.

W sklepie zastała Goldnera, który zachowywał się tak, jakby nie widział Lizzi od wieków, Aszabela, nie kryjącego obrzydzenia na jej widok, oraz Lubicza ojca. Stary Lubicz miał przygarbione plecy, zbyt długą brodę, a jego twarz poszarzała ze zmartwienia. Lizzi poprosiła o jakieś słynne drogie wino. Mężczyźni zaczęli się naradzać. Czy zamierza podać je do ryby, czy do mięsa? Ani to, ani to. Zamierza podać je bez zakąsek. W zasadzie rok 1959 był dobry i dla claretu, i dla burgunda. Nastąpiła mała sprzeczka, co będzie lepsze w tym przypadku - biały czy czerwony burgund. W tym roku także wina reńskie i mozelskie były wyśmienite. Rok 1959 był dobrym rokiem, co do tego wszyscy się zgadzali. Ale 1964 też nie był zły. Pozostawała jeszcze jedna możliwość: szampan. Czy to będzie jakaś uroczystość? Nie, to nie będzie żadna uroczystość. Na koniec zapadła decyzja: białe wino burgundzkie rocznik 1961. Widać było, że dyskusja o winach poprawiła wszystkim nastrój.

- Czy sędzia Hornszyk znalazł kupca na swój dom?

- Co takiego?

Lizzi nie zauważyła, czy powiedział to Lubicz, czy Aszbel. Ich zdziwienie jednak wydawało się szczere.

- Słyszałam, że zamierza sprzedać dom.

- Nikt nie sprzedaje żadnego domu - powiedział Aszbel.

- Dali ogłoszenie o sprzedaży willi do „Czasu Południa”. Zaledwie na kilka dni przed... tą tragedią.

- O czym pani mówi? Ach, dziennikarze! Człowiek ma złamane serce, a wy? Jak pijawki! Tato, zamykamy?

Lizzi miała wielką ochotę przekazać gorące pozdrowienia dla jego grubej żony, ale zrobiło jej się żal tej kobiety i dała spokój. Zapłaciła za wino i wyszła ze sklepu.

Ty i to twoje gadanie - skarciła się w duchu. Czy to było rozsądne? Straciłaś swoją najlepszą kartę, Lizzi. Chyba że oni postanowią sprawę wyjaśnić. Szkoda, że nie zobaczy jego miny, kiedy mu powiedzą, że Lizzi Badihi, ta krowa z „Czasu Południa”, pytała, czy sprzedał już dom. Zareaguje tak jak zawsze - pomyślała. Zamglone spojrzenie, bezbarwne słowa. Biada krajowi, w którym sędziowie mordują. I biada idiotkom, które wpadają w ich ręce.

Rozdział 31

Furtka prowadząca na molo była zamknięta. Lizzi przypomniała sobie teraz, że Archimedes otwierał ją kluczem, który wyjął z kieszeni. Widocznie tylko właściciele jachtów mieli wstęp na przystań. Lizzi zadarła swoje długie nogi i przesadziła ogrodzenie. Jej wzrost bywał czasami zaletą. Zardzewiałe metalowe skrzydła zaskrzypiały, a kiedy Lizzi zeskoczyła na pomost, rozległ się odgłos jak przy burzeniu domu. Stała chwilę bez ruchu, wsłuchując się w szmery nocy. Jachty kołysały się leciutko. Fale uderzały o pomost, cofały się gwałtownie i wyglądały, znów uderzały, cofały się i wyglądały. Nad bramą wisiała na kawałku przewodu goła żarówka, oświetlając słowa: TEREN PRYWATNY, które ktoś napisał na kawałku blachy. Czarna woda drżała w słabym świetle.

Nikły blask przebijał również zza okrągłych okienek „Neptuna”. Lizzi weszła na pokład i zapukała do drzwi kajuty.

- Biały burgund rocznik sześćdziesiąt jeden - powiedziała.

Archimedes stanął w drzwiach, ubrany w wyblakłe dżinsy i koszulkę a la Picasso w poprzeczne czarno-białe pasy. „Tak wygląda mężczyzna, który ma wszystko, w swoim wolnym czasie”. Lizzi pamiętała, jak mocno pragnęła znowu go zobaczyć, ale zapomniała, jak bardzo jest przystojny. Przekrzywił odrobinę głowę i popatrzył w kierunku brzegu. Przestraszyła się, że nie zaprosi jej do środka. Przeciwnie - każe jej się wynosić z jachtu, a ona poczłapie na swych wielkich stopach. Wiedziała, że wygląda jak ostatnia kretyńska, z tą głupią butelką w wyciągniętej ręce.

Archimedes nie powiedział ani słowa. Odwrócił się i wszedł do środka. Lizzi weszła za nim, zamykając za sobą drzwi.

- Podobno rocznik sześćdziesiąt jeden był wyjątkowo dobry - powiedziała.

Coś na kształt niechętnego uśmiechu wykrzywiło usta Archimedes. Wziął butelkę i wstawił ją do lodówki. Dziękuję, Lizzi - powiedziała sobie w duchu.

- Zdejmiesz płaszcz?

- Wygląda na to, że nie pałasz entuzjazmem.

- Nie pałam.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie.

Lizzi zdjęła płaszcz i usiadła. Zapomniała już, że kajuta jest aż tak mała. Poprzednim razem wydawała się większa.

- Nie otworzysz wina?

- Musi się najpierw schłodzić.

- Ile czasu to potrwa?

- Chcesz kawy?

- Tak.

Archimedes nastawił wodę i wyjął z szafki dwa kubki. Odwrócony do Lizzi plecami, w milczeniu przygotował kawę. Czy to takie dziwne, że nie cieszy się na jej widok? Czy ona by się cieszyła, gdyby ktoś wprosił się do niej bez zapowiedzi? Gdyby to był Archimedes... jeszcze jak!

Jedyny mój problem w tej chwili to jak wycofać się z godnością - powiedziała sobie Lizzi. Posiedzi jakiś czas, dziesięć minut albo kwadrans, i pojedzie do domu - postanowiła. Takie rzeczy

już się zdarzały w dziejach ludzkości. Czy kiedy Napoleon został zmuszony do przerwania oblężenia Akki, szukał schronienia, żeby się wypłakać? Nie! Spakował swoje mapy i wrócił do domu.

Archimedes podał jej kubek kawy i usiadł naprzeciwko. Jakiś czas pili w milczeniu.

- Skąd wiedziałaś, że jestem tutaj?

- Domyśliłam się. Byłam u ciebie w domu, ale cię nie zastałam.

- Nie czytałaś „Dziennika”?

- Nie, mój drogi, akurat dzisiaj nie czytałam. Naczelnny zadzwonił i zrobił mi awanturę.

- Przyjechałaś zrobić ze mną wywiad?

Lizzi poczuła się urażona. Jeżeli on naprawdę myśli, że mam zamiar wykorzystać naszą znajomość do celów zawodowych, to rzeczywiście powinnam stąd wyjść. Im prędzej, tym lepiej.

Zwykle nie obrażała się łatwo. Codziennie ktoś ją częstował jakąś niemiłą uwagą. Gdyby za każdym razem miała się obrażać, to lepiej by zrobiła, idąc pracować w fabryce, tak jak jej matka. Tam dopiero można się obrażać! Gdzie tam można! To wręcz obowiązek! Dyrektor mnie obraził, szef zmiany na mnie nagadał, tę babę awansowali, chociaż ja pracuję dłużej od niej, odjęli mi z pensji za ten dzień, kiedy poszłam do przychodni, księgowa odzywa się po chamsku... dajcie mi spokój! Obrażanie się było jedyną życiową rozrywką matki. Jeżeli brakło jej do tego własnych powodów, wynajdywała sobie cudze, bo dzień bez obrazy to dzień stracony. Stopień obrazy można było mierzyć w skali Richtera.

- Nie wierzyłam, że jesteś w areszcie. Chciałam sprawdzić sama. Zaraz sobie pójde.

Archimedes zebrał puste kubki, umył je, wytarł i schował do szafki. Potem usiadł naprzeciwko i zapytał:

- Nie do druku, Badihi?

- Co?

- To, co ci powiem.

- Już ci mówiłam. Nigdy nie cytuję niczego, jeżeli rozmówca się nie zgodzi.

- Nadal jestem w areszcie.

- W areszcie domowym? Tu, na jachcie?

- Policja chce, żeby wszyscy wierzyli, że siedzę w więzieniu. Nie podejrzewają mnie o morderstwo Aleksandry Hornszytk, ale chcą, żeby prawdziwy morderca tak myślał. Dlatego mam przebywać w odosobnieniu. Gdybyś przeczytała artykuł w „Dzienniku”, dostrzegłabyś drobne aluzje.

- Powiedzieli ci, kogo podejrzewają?

- Nie.

- Powiedzieli, że nie podejrzewają ciebie?

- Nie mają wątpliwości, że nie jestem zamieszany w to morderstwo. Chcieli mnie zawieźć do jakiegoś hotelu w Naharii. Zaproponowałam, że mogę ukrywać się na jachcie. Prawie nikt o nim nie wie, oprócz dwóch przyjaciół, którzy ze mną pływają. Ponieważ nie planowaliśmy w najbliższych tygodniach żadnego rejsu, pomysł wydał się rozsądny. Policja ma pilnować, żeby nikt nie odkrył, że tutaj jestem. Widocznie słabo pilnują. Ty weszłaś bez problemów. Kto ci otworzył furtkę na przystań?

- Przelazłam przez płot.

W końcu się roześmiał. Wspaniale!

- To właściwie jesteś aresztowany czy nie?

- Nie jestem.

- Jak się zakończyło śledztwo?

- Nie byłem na przyjęciu u Hornszytków. Mam potwierdzone alibi między jedenastą a pierwszą w nocy z soboty na niedzielę. O moich powiązaniach z Aleksandrą dowiedzieli się między innymi z twoich kaset, Lizzi Nie Cytuje Badihi.

- Ukradziono je z mojego mieszkania, kiedy tu byłam poprzednim razem. Nie tylko policja miała do nich dostęp. Także ktoś, kogo nie znamy. Ktoś, kto chciał się czegoś dowiedzieć albo coś ukryć. Ten ktoś tylko nie wiedział, że Bencijon Koresz zdążył przedtem je przegrać. Ostatecznie to nie był taki zły pomysł dać je policji.

- Tak mi się wydaje. O to też mnie pytali. Czy nie ukradłem twoich kaset. Sam albo przy pomocy współnika. Nie mówię, że wszystkie moje interesy są nieskazitelnie czyste, ale nie jestem złodziejem. Powiedziałeś komuś, że wychodzisz?

- Kiedy?! Zadzwoiłeś niespodziewanie, a po kwadransie byłam już na dole. Może ktoś ukrywał się pod domem i mnie śledził.

- Ten ktoś pewnie wie też o naszych kontaktach i może dotrzeć na pokład „Neptuna”.

- Przecież pilnuje cię policja.

- Prawda, zapomniałem.

Uśmiechnęli się do siebie, a potem pocałowali. Lizzi zamknęła oczy, oddała się przyjemności, jaką dawały jego wargi, i pomyślała o alibi Archimedesza na sobotni wieczór. Kim była? Stałą przyjaciółką? Przypadkowym gościem? Czy była szczupła i ładna, potrafiła odróżnić burgunda od rieslinga? Objęła go mocno ramionami. Kiedy kładł ją na wąskiej ławie, zdążyła jeszcze zrzucić buty, wyjąć z uszu kolczyki i opleść go swoimi długimi nogami. Potem nie mogła sobie uprzytomnić, jakim cudem dostali się do kajuty na dziobie, kiedy zdążyli się rozebrać ani nawet kogo rozebrał. Wszystko stało się tak raptownie. Jego ciało było przesiąknięte słodkim zapachem słońca, a skóra miała smak morza. Wiosło pozostało zanurzone w wodzie, dopóki fale się nie uciszyły i oboje nie dotarli na brzeg rozkoszy. Był taki smakowity! Lizzi miała ochotę jeszcze raz zakosztować jego ciała. Odczuła wielkie rozczarowanie, kiedy wstał z łóżka i pociągnął ją pod prysznic.

Kiedy usiedli z powrotem w kabinie, umyć, zadowoleni i ubrani, Archimedes wyjął z lodówki butelkę i nalał wino do dwóch ochłodzonych kieliszków.

- To był dobry rocznik, sześćdziesiąty pierwszy - powiedział.

- Wywiązała się dyskusja, który jest lepszy, pięćdziesiąty dziewiąty czy sześćdziesiąty czwarty, ale w końcu stanęło na sześćdziesiątym pierwszym.

- Gdzie tak było?

- W sklepie Lubicza. Wiesz, wydaje mi się, że palnęłam głupstwo.

- Ależ skąd! Bardzo trudno jest zdobyć białego burgunda z sześćdziesiątego pierwszego roku.

- Nie to miałam na myśli. Arieli, mój naczelny, postanowił zrealizować swoją groźbę. Wkurzył go artykuł Adulama w „Dzienniku Południa” i postanowił się na mnie zemścić. Jutro rano do Beer Szewy przyjedzie Doron Cement. Po dziesięciu latach odpowiedzialnej pracy - co do tego nikt nie ma wątpliwości - zwałają mi na kark reportera z Tel Awiwu. Od dwóch tygodni zajmuję się sprawą morderstwa Aleksandry Hornszyk, dodaję szczegół do szczegółu, układam tę łamigłówkę krok po kroku. I gdy w końcu znajdę ostateczne rozwiązanie zagadki, to spadnie ono jak dojrzały owoc prosto w łapy Cementa. Kiedy więc Arieli zadzwonił, żeby mi przekazać tę radosną wiadomość, postanowiłam działać bardziej otwarcie. Prawdopodobnie ze złości, a na pewno zbyt pochopnie. Nie będę czekać, aż coś się zdarzy. Wykurzę lisa z nory.

- Podejrzewasz kogoś?

- Tak, mój drogi.

- Kogo?

Lizzi opowiedziała Archimedesowi, jak doszła do wniosku, że jedynym człowiekiem, który coś zyskał na śmierci Aleksandry Hornszyk, jest jej mąż, Pinchas. Aleksandra zamierzała sprzedać dom wart ponad ćwierć miliona dolarów. Oprócz tego domu przejął jeszcze sto tysięcy dolarów, które Aleksandra dostała od Archimedesza w piątek. Nie był zobowiązany do spłaty jej długów. Stanowiły dla niego zagrożenie za życia Aleksandry. Jako wdowiec pozostał z willą z ogrodem i ze stu tysiącami dolarów. Nie zapominajmy też, że Aleksandra swoim zachowaniem wystawiała go na plotki i ośmieszala, na co żaden sędzia nie może sobie pozwolić. Zwłaszcza w miasteczku takim jak Beer Szewa, gdzie wszyscy wszystkich znają.

- Czemu myślisz, że moje czeku dostały się w jego ręce?

- Miała olbrzymie długi we wszystkich możliwych bankach. Jedynym dostępnym kontem było konto Pinchasa Hornszyka, na które przez lata wpływały procenty z handlu winami. Bank nie mógł położyć łapy na pieniądzu z tego konta.

- Można to sprawdzić.

- Jej dłużnikom zależało na tym, żeby żyła i zwróciła pieniądze. Nawet temu szczerowi, Jackiemu Danzigowi, zależało, żeby żyła, bo wtedy mógłby ją szantażować. Tymczasem okazało się, że nawiązała romans z młodym architektem, który u niej pracował. Dlaczego on miałby chcieć

ją zamordować? Między Aleksandrą i jej siostrą panowały stosunki typu miłość-nienawiść, ale to zdarza się w wielu rodzinach. Z tego powodu ludzie się nie mordują. Wiemy, że jakaś pani weszła do banku w niedzielę rano, zrealizowała twój czek i w zamian otrzymała czek bankowy. Sądzę, że kiedy odkryjemy tożsamość tej pani, okaże się, że do banku wysłał ją Pinchas Hornszyk.

- Czemu używasz słowa „pani”?

Lizzi zamyśliła się nad pytaniem. Nie zdawała sobie sprawy, że użyła właśnie tego słowa.

- Opis, który nakreśliła urzędniczka z banku, był bardzo ogólnikowy. Kobieta w średnim wieku, bez żadnych cech szczególnych. Płaszcz przeciwdeszczowy, parasolka, aktówka. Padał deszcz i miała nylonową chustkę na głowie. Urzędniczka powiedziała, że mówiła z lekkim akcentem aszkenazyjskim. Co to może oznaczać? Rodzice z Polski, może z Rumunii. Niewykluczone, że jakiś szczegół w jej wyglądzie na to wskazywał. Spieszyła się i była zdenerwowana, że musi czekać, aż dyrektor banku zadzwoni do ciebie i potwierdzi, że czeki rzeczywiście są twoje. Słyszałeś kiedyś, żeby klienci irytowali się na urzędników? Z reguły bywa odwrotnie. To musi być kobieta przyzwyczajona do szybkiej obsługi i do posłuchu. Wydaje mi się, że jej pewność siebie nie wypływa z bogactwa. Urzędniczka nie wspomniała nic o biżuterii. Sądząc z opisu, ubranie było skromne. W każdym razie odniosłam wrażenie, że mowa o „pani”. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Czy Pinchas Hornszyk ma siostrę?

- Nie wiem, ale to łatwo sprawdzić. A co to za głupstwo, które palnęłaś?

- Działałam bezmyślnie. Zawsze jestem bardzo ostrożna, Archimedesie... Czy to imię jakoś się zdrabnia?

- Nie.

- Wszyscy myślą, że jestem powolna. Nie jestem powolna, mój drogi, tylko ostrożna. Arieli doprowadził mnie do szału i postanowiłam zostać Matą Hari. Kiedy byłam w sklepie Lubicza, zapytałam, czy Hornszykowi udało się sprzedać dom. Oczywiście nie mieli pojęcia, o czym mówię. Szwagier Lubicza zaczął przeklinać dziennikarzy w ogóle, a mnie w szczególności. Jestem pewna, że zapytają o to Hornszyka, a on coś zrobi. Będzie musiał coś zrobić! To właśnie był mój cel: zmusić go do działania. A ja miałam asa w rękawie.

Lizzi uświadomiła sobie, że powinna sprawdzić, czy Dahan umieścił swój zeszyt w sejfie. Oby tylko nie zapomniał! Wszystko to, co nie wiązało się ze zdobywaniem ogłoszeń do „Czasu Południa”, miało dla niego niewielkie znaczenie.

- Jeżeli on rzeczywiście jest mordercą, to sporo ryzykujesz. Powinnaś oddać swojego asa policji.

Lizzi pomyślała, że Hornszyk także ma atut w rękawie. I będzie jej bardzo, bardzo nieprzyjemnie, jeśli zdecyduje się go wyciągnąć. Była pewna, że Benci nie spocznie, dopóki nie wyjaśni zagadki zaplamionego prześcieradła. Wtedy ona może założyć prawdziwe płetwy na swoje wielkie stopy i oddać się nurkowaniu w Ejlacie. Im głębiej, tym lepiej.

- Bencijon Koresz to mój szwagier.

- Wiem.

- Krzyczał na ciebie?

- Nie. Siedział i milczał. Badał mnie inny oficer, Salvador Tut.

- Stroisz sobie ze mnie żarty.

- Nie.

Archimedes jednak wybuchnął gwałtownym, mocnym śmiechem, który Lizzi zapamiętała z ich pierwszego spotkania. Jakby śmiał się wbrew własnej woli. Miała wielką ochotę podejść i go objąć, ale zmusiła się do tego, by pozostać na miejscu.

- Kto to jest Salvador Tut?

- Przedstawiciel Wydziału do spraw Przestępstw Gospodarczych.

- Jest coś takiego?

- Okazuje się, że tak.

- Był uprzejmy?

- Nie. Ale to nie przyjęcie towarzyskie. On pytał, ja odpowiadałem.

- Masz dobrego adwokata?

- Tak.

- O co jesteś oskarżony?

- Na razie nie jestem oskarżony. Byłem przesłuchiwany z powodu moich powiązań z Aleksandrą. Wiedzą, że byłem jej przyjacielem. O tym, że dałem jej czek, dowiedzieli się z twoich kaset, ale też od tego sekretarza kibucu.

- Idona Gabrielowa. Zadzwoiła do niego w sobotę rano i powiedziała, że zdobyła sto tysięcy dolarów, które wpłaci na ich konto w niedzielę rano.

- Wyciągnęli więc słuszny wniosek, że istnieje związek pomiędzy jej kłopotami finansowymi a morderstwem.

- Co im opowiedziałeś?

Archimedes wstał i nalał wina do pustych kieliszków. Z lodówki wyjął miseczkę z czarnymi oliwkami i drugą z kostkami koziego sera w oliwie. Pokroił pitę na ósemki, każdą z nich wbił na widelec i opiekł nad palnikiem gazowym.

- Chcesz omlet? - zapytał.

- Nie.

Zobaczyła, jak się uśmiecha. Nie wiedział, że od ich ostatniego spotkania zdążyła zapłacić lodówkę, a zawdzięczała to Benciemu o grzmiącym głosie.

- Możesz to zanotować.

- Do druku?

- Nie możemy Cementowi pozwolić na zajęcie twojego terytorium, Lizzi.

W torbie zawsze miała czyste notesy i kilka długopisów. W każdej chwili była przygotowana na skok z płonącego wieżowca lub tonącego statku albo na spotkanie z archaniołem Gabrielem.

Ponieważ skoncentrowała się na notowaniu, nie zwracała uwagi na to, co jadła. Dopiero później spostrzegła puste naczynia i zaczęła się zastanawiać, czy i tym razem zjadła więcej, niż pozwalają na to dobre maniery. Kiedy była mała, nauczono ją, że powinna zjadać wszystko, co jej podano, do ostatniego okruszka, i tak zwykła postępować do dzisiaj. Głodna czy nie, zawsze dokładnie opróżniała półmiski.

Rozdział 32

- Nie twierdę, że jestem bez winy - powiedział Archimedes. - Być może gdybym się sam zaangażował, Aleksandra nadal by żyła. Była moją przyjaciółką. Kłóciliśmy się, godziliśmy. Minione lata wywarły na nas różny wpływ. Ona stała się jeszcze bardziej zachłanna. Ja się uspokoiłem. Ale nadal się lubiliśmy. To straszne pomyśleć, że ponoszę część odpowiedzialności za jej śmierć. Wydaje mi się, że twoja teoria jest prawdziwa. Pieniądze i krew są ze sobą powiązane. Jak ci już opowiedziałem, Aleksandra postanowiła podjąć pieniądze z konta kibucu Sade Oznaja i zainwestować je w szarej strefie. Wydawało jej się, że wszyscy zarabiają miliony i tylko ona, głupia, zadowala się ogólnie przyjętym procentem bankowym. Ciągłe natykała się na jakichś finansowych akrobatów, którzy robili pieniądze z pieniędzy, grali na giełdzie, zakładali spółki i czerpali z nich niesłychane dywidendy, po czym przerzucali je na przykład na Curacao. Wszystko to robiło na niej ogromne wrażenie i chciała też brać w tym udział. Sam pomysł był prosty. Oszczędności Sade Oznai znajdują się w ręku jakiegoś finansowego czarodzieja. Miał na tym zyskać i kibuc, i ona, i ów czarodziej. Mniej więcej rok temu zwróciła się do mnie z propozycją. Nigdy nie wierzyłem w możliwość łączenia przyjaźni i interesów. To się źle kończy. Skontaktowałem ją z pewnym człowiekiem, którego znałem, a on z kolei - z biznesmenem szarej strefy. Cały układ działał bezbłędnie jeszcze trzy miesiące temu. I zaraz potem ten człowiek zniknął, z oszczędnościami kibucu w kieszeni. Aleks oskarżyła mnie, bo byłem pod ręką. Ja zostałem na miejscu, podczas gdy oszust ulotnił się jak kamfora. Przypomniałem jej, że to nie był mój pomysł i że - szczęśliwie dla mnie - nie zgodziłem się na udział w tym przedsięwzięciu. Ale Aleks uważała, że jestem odpowiedzialny, i zażądała, bym ją ratował. To znaczy: pożyczył wystarczająco dużo pieniędzy, aby mogła ukończyć budowę i wydobyć się z bagna. Bardziej nawet niż o siebie obawiała się o mieszkańców kibucu. Była pewna, że znajdzie jakieś wyjście, i chciała zyskać na czasie. Z moją pomocą. Wtedy właśnie do Lozanny przyjechało dwóch obywateli rumuńskich, którzy mieli do sprzedania odwróconą „czarną” Wiktorię. Na świecie istnieje około dziesięciu takich znaczków. Ponad sto lat temu ktoś odkrył błąd drukarski i zniszczono całą serię. Ale zanim to się stało, sprzedano dziesięć sztuk po zwykłej cenie, w zwyczajnym okienku pocztowym małej

wioski w Shropshire, która zasłynęła potem dzięki temu wydarzeniu. Dwa znaczki udało się odkupić królowej angielskiej i znajdują się teraz w Muzeum Filatelistyki w Londynie. Jeden nabył książę Yorku i przechowuje w swoich prywatnych zbiorach. Losy pozostałych siedmiu są nieznanne. Każdy filatelista na świecie marzy, że kiedyś, cudem, wpadnie mu w ręce jedna z odwróconych Wiktorii. I tak pewien mój stary przyjaciel, szwajcarski filatelista, którego wiedzy i szczerości ufam bez zastrzeżeń, zadzwonił do mnie w kilka dni po mojej rozmowie z Aleksandrą i poradził, żebym wsiadł w pierwszy samolot do Szwajcarii. Nadażasz?

- Tak.

- Kiedy przyjechałem do Lozanny, przyjaciel opowiedział mi o ofercie dwóch braci z Rumunii. Okazało się, że znaczek znajdował się w zbiorach ich dziadka, zamilowanego filatelisty. Wszyscy wiedzieli, że jest to niezwykle cenny okaz. Starszy brat ciężko zachorował i musiał przejść operację w Genewie. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży tego znaczka mogły uratować mu życie. Władzom rumuńskim opowiedzieli zmyśloną historię o bogatym wuju w Szwajcarii, który zgodził się opłacić operację. Ich żony i dzieci zostały w kraju i czeka je straszny los, jeśli władze się dowiedzą, że wywieźli znaczek. Jednego dnia przybyli do Lozanny czterej najwięksi handlarze znaczków na świecie. Dwóch z nich znałem już wcześniej, belgijskiego kolekcjonera i obywatela Monako. Z Filadelfii zdążył przyjechać pewien Amerykanin, Jackson Schwarz. Powstał rodzaj tajnej giełdy, co zresztą często się zdarza. I ja, i mój przyjaciel, który uchodzi za jednego z najwybitniejszych filatelistów, obejrzelśmy Wiktorię i stwierdziliśmy, że jest autentyczna. Postanowiliśmy ją kupić. Kosztowała dwieście tysięcy dolarów. Zakładałem, że odsprzedam ją w Anglii za podwójną cenę. Razem z moim szwajcarskim przyjacielem zdecydowaliśmy przebić o pięć tysięcy ofertę Amerykanina, i Wiktorii była nasza. Mam w szwajcarskim banku konto - od wczoraj wie o nim także policja - i zapłaciłem swoją część. Rumuni odjechali, kolekcjonerzy też, a znaczek został. Sfalszowany. Nie będę się wdawał w szczegóły. Badanie laboratoryjne wykazało, że znaki wodne są identyczne z oryginalnymi, podobnie papier, a nawet krój ząbków. Fałszerstwo wyszło na jaw, gdy w farbie odkryto barwnik syntetyczny. Ktoś, kto sfalszował ten znaczek, był specjalistą i co najważniejsze - nie zostawił po sobie śladów. Naszym zdaniem można było tego dokonać jedynie w profesjonalnym laboratorium za pomocą nowoczesnych urządzeń. Trudno w to uwierzyć, że w Rumunii ktoś zdobył się na takie przedsięwzięcie. Nasze podejrzenia padły na dzokera, pana Schwarza z Filadelfii. Kiedy próbowaliśmy go odnaleźć, okazało się, że adres, firma i numery telefonów podane na jego wizytówce po prostu nie istnieją. Rumuńscy bracia byli aktorami, pan Schwarz - reżyserem. Całe to śledztwo oczywiście trzymaliśmy w tajemnicy. I ja, i mój przyjaciel nie pragnęliśmy rozgłosu. Filatelista, który nie odróżnia dobrego znaczka od fałszywego, może od razu zamknąć interes. Ten zawód opiera się na profesjonalizmie i zaufaniu. Jakby mi nie wystarczyła utrata pieniędzy i wstyd, pozostawał jeszcze problem przemycania sporych kwot za granicę. Okazuje się, że człowiek nie uczy się z wiekiem. Wróciłem do Izraela biedniejszy o sto tysięcy dolarów, choć nadal mogłem sobie pozwolić na kolację w „Escopie”. Kiedy ochłonąłem trochę ze złości, najbardziej na samego siebie, i ogarnąłem sytuację, doszedłem do wniosku, że na razie nie dam rady pomóc Aleksandrze. Opowiedziałem jej o fałszywej królowej Wiktorii i powiadomiłem, że będzie musiała poszukać wybawienia i pociechy u kogo innego. Zagotowała się wtedy ze złości. Miała rude włosy i kiedy się złościła, to Panie Boże ratuj! Była przekonana, że jej pomogę, tak powiedziała. Myślała, że w tym celu pojechałem do Szwajcarii. Nadużyłem jej zaufania, kiedy skontaktowałem ją z tym przeklętym oszustem. Normalny człowiek próbowałby odnaleźć go i jej pieniądze, ale ja nie jestem normalnym człowiekiem. Nie jestem jej przyjacielem, nigdy nie byłem. Dopiero kiedy się trochę uspokoiła, mogła mnie wysłuchać. Powiedziałem, że jestem w stanie zrozumieć, jak się czuje, ponieważ ja też zostałem oszukany. Wpadłem w pułapkę. Nie dosyć, że straciłem forszę i dobre imię, to jeszcze nie mogę nikomu o tym powiedzieć. I gdyby nie była taką egoistką, zrozumiałaby, co przeżywam. Obiecałem, że zrobię co w mojej mocy i znajdę źródło pieniędzy, mimo że na to nie zasługuje po tym, co mi powiedziała. Aleksandra przeprosiła mnie i zaczęła tłumaczyć, że nie ma nikogo, komu mogłaby się wypłakać, że wszystkim musi się zmagać sama. Naraziła na kłopoty swoją firmę, kibuc, rodzinę, a teraz oskarżyła najwierniejszego przyjaciela, jedyne, który usiłował jej pomóc. Ze skrajności popadła w inną skrajność. Zdołała jednak rozładować złość i nagle stała się wesoła i ożywiona. Poprosiła, żebym się nią nie przejmował. Jeśli będzie trzeba, sprzeda dom i to pokryje część jej długów. Przeprowadzi się do mniejszego mieszkania, będzie pracować, naprawi wszystko i wybuduje sobie

jeszcze bardziej luksusową willę. Ta rozmowa miała miejsce przy basenie w „Savoyu” osiem dni przed jej śmiercią.

- Dała do „Czasu Południa” ogłoszenie o sprzedaży domu.

- Hornszyk zawsze może stwierdzić, że o tym nie wiedział.

- W dziale ogłoszeń to Aleksandra Hornszyk została odnotowana jako oferentka. Dahan, król drobnych ogłoszeń, który w razie potrzeby potrafi sobie przypomnieć używany wózek dziecienny sprzedany trzy lata temu, pamięta, że dzień lub dwa po morderstwie zadzwonił do redakcji mężczyzna, który przedstawił się jako właściciel i polecił zdjąć ogłoszenie.

- Policja wie o tym?

- Jeszcze nie. A może tak. Nie wiem.

Archimedes uśmiechnął się. Lizzi nie mogła się opanować, pochyliła się w jego stronę i pocałowała go w usta. Tak bardzo chciała go dotknąć, przytulić. Lekko odwrócił głowę i spojrzał na nią z ukosa, jak zmęczony dorosły patrzy na tańczącą dziewczynkę.

Znów zaczęła robić notatki.

- Moje najcenniejsze znaczki trzymam w sejfie w londyńskim banku. Między nimi „oko byka”, wyemitowane w Brazylii sto czterdzieści lat temu i poszukiwane przez wszystkich zawodowych kolekcjonerów. Zdecydowałem się je spieniężyć. Poleciałem do Londynu i sprzedałem ten znaczek za sto dwadzieścia tysięcy dolarów. Po powrocie do Izraela poszedłem w piątek do „Savoyu” na spotkanie z Aleks. Powiedziałem jej o „oku byka” i zaproponowałem pożyczkę w wysokości stu tysięcy dolarów. Warunki mieliśmy omówić w niedzielę. Aleks była uszczęśliwiona. Opowiedziała mi, że zdecydowała się już opuścić męża, sprzedać dom i rozpocząć nowe życie u boku swojego architekta. „Tonę w gównie po uszy” - oznajmiła. Też miała powiedzonka! „Ostatni człowiek, którego mogłabym poprosić o pomoc albo o radę, to ten dureń, z którym żyję. Koniec! Nie pojutrze, tylko jutro!” Zapytałem, czy ten młody architekt zdaje sobie sprawę, że będzie biedna. Odparła, że nie wie jeszcze, co go czeka. Dokuczałem jej, śmiałyśmy się, atmosfera była radosna. Ja się rozstałem ze stu tysiącami dolarów, ona zamierzała pozbyć się majątku o wartości ponad ćwierć miliona i zniszczyć życie rodzinne. Piliśmy toma collinsa, pływaliśmy i pękaliśmy ze śmiechu. Uwierzyłybyś?

- Mogę dać do druku to, co mi opowiedziałeś?

- Tak, Lizzi Badihi.

- Dlaczego?

- Aleksandrze już nic nie wróci życia. Chcę odzyskać pieniądze, które jej pożyczyłem. Mam kłopoty z prawem i będę potrzebował każdego grosza. Chcę, żeby po śmierci oddała mi to, co pożyczyła za życia. Ktoś w końcu ma te pieniądze. Z twojego wywiadu z Archimedesem Lewim, podejrzanym o zamordowanie inżynier Aleksandry Hornszyk, ten ktoś - i nie obchodzi mnie, czy jest to Hornszyk, kibuc Sade Oznaja, Jackie, Bruchim czy ktoś podobny - dowie się, że nie zamierzam ustąpić. Pieniądze są moje i chcę je mieć z powrotem.

Jego głos zabrzmiał tak bezwzględnie, że Lizzi się przestraszyła. Zrozumiała teraz, dlaczego Klara i Jakow się go boją. Nagle odkryła cechę jego charakteru, której nie знаła. Ale czy w ogóle go znała?

- Klara dała mi butelkę wina, którą dla mnie zostawiłeś.

- To dobrze.

Grymas zniknął i przelotny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Trzymaj jaw suchym miejscu. Gdzie ją postawiłaś?

- W kuchni, obok octu i oliwy.

Archimedes roześmiał się, przytulił ją mocno i pocałował w czubek głowy.

- Lizzi, Lizzi, będę za tobą tęsknił.

- Wyjeżdżasz gdzieś?

- Mam nadzieję, że wygrzebię się z tego wszystkiego cały i zdrowy. Biedniejszy, ale cały i zdrowy. Na pewno skazą mnie na więzienie. Lecz kiedy w grę nie wchodzi kolosalne oszustwa, można wyjść po zapłaceniu grzywny. Tak przynajmniej powiedział mi adwokat.

- Mam nadzieję, że mój artykuł ci nie zaszkodzi.

- Tak czy owak, trafi to kiedyś do wiadomości publicznej, czemu więc nie miałabyś napisać tego artykułu? Przecież nie możemy dopuścić, żeby przyszedł Cement i zebrał, co zasiałaś. Nie pisz tylko o sfałszowanym znaczku. To mi na pewno zaszkodzi. Jesteś samochodem?

- Tak.
- Chodź.

Poszli, objęci, w kierunku bramy. Po raz pierwszy Lizzi cieszyła się z rozmiarów swojego ciała. Wzrostem prawie dorównywała Archimedesowi. Dotykali się ramionami, ręce splótłszy na biodrach. Pasowali do siebie. W milczeniu napawali się swoją bliskością. Nagle Archimedes zatrzymał się, nie rozluźniając uścisku, i zaczął nasłuchiwać. Lizzi stała wraz z nim wpatrzona w gwiazdy migoczące na zimnym nocnym niebie, także się przysłuchiwała chlupotowi fal i odległym klaksonom samochodów. Archimedes Lewi nie lubiłby krowy z wielkimi kopytami - pomyślała, kiedy znowu ruszyli. A nie mam wątpliwości, że mnie lubi. Śmieszę go, ale mnie lubi. Drewniany mostek stękał i skrzypiał pod ich stopami. W dole chlupotała czarna woda. Być może drzenie pali wypłoszyło jakąś wielką rybę z kryjówki albo zaniepokojony żółw wypłynął na powierzchnię. W pobliżu nie było widać żadnego policjanta. Lizzi zastanawiała się, czy zapomnieli wystawić straż na pomoście, czy też jest ona tak doskonała, że nie można jej zauważyć. Archimedes wyjął z kieszeni pęk kluczy, żeby otworzyć bramę, ale Lizzi zdążyła już przez nią przeskoczyć. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że się śmieje.

- Nawet jeżeli pójde do więzienia, będę wiedział, że czeka tu na mnie pewna dziewczyna, butelka pinot chardonnay i znaczek z królową Wiktoria i nominalnie pół pensa.

Rozdział 33

Lizzi wróciła do Beer Szewy, pojechała do redakcji, wystukała wywiad z Archimedesem Lewim, filatelistą podejrzanym o zamordowanie Aleksandry Hornszyk, żony sędziego okręgowego, i wysłała tekst do Tel Awiwu. Była druga nad ranem. Numer już został zamknięty i przekazany do druku, wywiad się jutro nie ukaże. Należy się tylko modlić, żeby właśnie jutro Adulam nie zdobył wyłączności na jakąś szczególną informację.

Pojechała do domu, zaryglowała drzwi, wyłączyła telefon i poszła spać. O jedenastej miała się odbyć konferencja prasowa działaczy Ligi Ochrony Przyrody. Lizzi nastawiła budzik na dziewiątą. Noc była burzliwa. Drzwi prowadzące z kuchni na balkon skrzypiały tak okropnie, że musiała wyjść z ciepłego łóżka, żeby je zamknąć. Wiatr wzmógł się i okna w mieszkaniu drżały, stukając o futrynę. Lizzi wstała po raz drugi i pobiegła boso, żeby je szczelniej zatrzaskać. Zawodzenia i szumy wiatru wdzierały się do jej snów. Kiedy w końcu zadzwonił budzik, leżała chwilę w łóżku jak człowiek, który przepłynął morze i dotarł wreszcie do spokojnej plaży, a teraz nie ma sił, żeby się poruszyć.

Ukroiła sobie kromkę chleba, posmarowała ją masłem i miodem, zrobiła mocną kawę. Wszystko to postawiła na nocnym stoliku i zziębnięta weszła z powrotem pod koc. Nie włączyła telefonu i zastanawiała się, czy nie pozwolić sobie na dzień choroby. Odkąd zaczęła pracować, nie opuściła jeszcze ani jednej konferencji prasowej. Należała do ich krajobrazu na równi z sokiem pomarańczowym i wafelkami. Miała wielką ochotę zostać w łóżku. Niech Cement idzie sobie na konferencję działaczy Ligi Ochrony Przyrody!

Dzieła Willego Achinoama i jego towarzyszy znikły z holu Domu Kultury. Ich miejsce zajęły wiszące na ścianach olbrzymie fotografie, dokumentujące wyjazd grupy młodzieży do Polski, sfinansowany częściowo przez Ministerstwo Edukacji, a częściowo przez Urząd Miejski Beer Szewy.

Tuż przy wejściu ustawiono stoiska miejscowych artystów amatorów. Przy prostych drewnianych stołach, zapewne wypożyczonych z sąsiedniej szkoły, siedzieli złotnicy, wydmuchiwacz szkła, snycerz i hafciarka. Lizzi pomyślała przez chwilę, że gdyby jej matka nie była tak zajęta gotowaniem obiadów i opieką nad wnukami, ją także można by posadzić w holu Domu Kultury. W skromnym dobytku Lizzi znajdowały się trzy gobeliny, wydobywane na światło dzienne wyłącznie podczas rzadkich wizyt matki.

- To ty jesteś Lizzi Badihi z „Czasu Południa”, prawda? - zapytała jedna ze złotniczek.
- Tak.

Na wyściełanej niebieskim aksamitem tacy leżały owoce jej pracy. Kolczyki, naszyjniki, bransoletki, sprzączki. Lizzi spojrzała na nastroszoną rudą grzywkę artystki i usiłowała sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widziała.

- Wiesz może, kiedy uwolnią Jackiego?

Bruria! Kelnerka z „Niebieskiego Pelikana”.

- Nadal jest w areszcie?

- Tak.

- Został zatrzymany na czterdzieści osiem godzin.

- Przedłużyli areszt na polecenie sędziego.

- Nie wiedziałam.

- Jestem pewna, że to nie on zabił Aleks.

- Znasz go?

- Oczywiście, że go znam. Każdy w „Niebieskim Pelikanie” go zna. Nie miała wstydu. Starsza kobieta, zameżna, z dziećmi. Trąbiła o tym na cały świat. Można było się spodziewać, że źle skończy. Ale to nie Jackie zrobił. To śmieć, podpisuję się pod wszystkim, co o nim mówią. Na pewno jednak jej nie zamordował.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Kilka godzin przed przyjęciem szukała go w „Pelikanie”. Zawsze kiedy nie mogła go znaleźć, dzwoniła do wszystkich miejsc, w których się kręcił. To było o piątej albo szóstej wieczorem. W „Pelikanie” byłam ja, barman Judele i Neema, która sprząta. Przy barze siedziało już dwóch klientów. Odebrałam telefon. Przedstawiła się i poprosiła Jackiego. Mówiła mu, co ma grać na przyjęciu. Tango, paso doble, takie tam kawałki, które pasują do prawników i podobnych nudziarzy. Potem powiedziała, że kiedy skończy grać, spotkają się na tyłach ogrodu. W barze prawie nie było ludzi i wszyscy słyszeliśmy, jak Jackie się denerwuje i mówi głośno, niemal krzyczy: „W porządku! Zrozumiałem! O dwunastej będę przy basenie za domem!” Kiedy odłożył słuchawkę, poprosiłam, żeby nie krzyczał przynajmniej przy klientach, a on wyskoczył na mnie z gębą. Cały czas o tym myślę. Jeżeli planował morderstwo, nie wrzeszczałby na nią tak, że wszyscy to słyszeli. A jeśli, założmy, tylko założmy, że coś mu odbiło, jak to się mówi, to pewnie przypomnieliby sobie w ostatniej chwili, że słyszeliśmy jego rozmowę w „Pelikanie”, i to by go powstrzymało. Słuchaj, Jackie jest oblesny, ale nie głupi.

- Czemu nie opowiedziałaś tego policji?

- Twój kuzyn pracuje w policji, prawda?

- Szwagier. Właściwie dwóch szwagrów.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z policją. Kiedyś miałam trochę. Nic takiego. Głupstwo. Ale wystarczy mi na całe życie. O mało nie umarłam w czasie śledztwa. Boję się ich śmiertelnie. Poza tym moim kolegom nie podobałoby się, że pomagam policji. Przekaż im to, co ci powiedziałam.

- Ładne.

Twarz Brurii się rozjaśniła. Bizuteria była naprawdę ładna. Wzrok Lizzi przyciągnęły duże kolczyki zrobione ze srebrnych i złotych ogniw.

- Ile kosztują te kolczyki?

- Przyjdź do „Pelikana”, jak zamkną wystawę, to ci je sprzedam o połowę taniej. Tutaj wszystkie ceny są wyśrubowane - powiedziała z uśmiechem Bruria.

- Czemu pracujesz w „Niebieskim Pelikanie”, skoro masz zawód?

- Mam zawód, ale trzeba też z czegoś żyć.

- To mi coś przypomina. Ja też muszę z czegoś żyć.

Dwie przyczyny skłoniły Wolfa-Zeewa, członka Ligi Ochrony Przyrody, do zwołania konferencji prasowej. Chciał zaprotestować przeciwko planom wybudowania nowej szosy na trasie Beer Szewa-Hebron oraz pozyskać poparcie dziennikarzy dla projektu „Kwiat Pustyni”. Wszyscy obecni znali Zeewa, jego policzki o popękanych naczyńkach krwionośnych, które same wyglądały jak płatki jakiegoś rzadkiego kwiatu, wystający brzusek, wojskowy płaszcz i koszulkę z wizerunkiem żółwia. Był pracownikiem ochrony przyrody, strażnikiem Negewu, wielbicielem wadi, skał i solanek oraz pięciuset czterdziestu dziewięciu gatunków roślin występujących na pustyni. Przedstawił swoich dwóch kolegów, Motiego Cufa, dyrektora szkoły, oraz agronoma, a przy tym rzeźbiarza amatora, doktora Wiwiena Sadego, który przed dwoma dniami wrócił z

biennale w Darmstadcie. Oni także byli ubrani w wojskowe płaszcze, ale nie mieli na sobie koszulek z żółwiami.

- Czemu właśnie na tej trasie? - Zeew domagał się odpowiedzi od wszystkich obecnych. - Czy nowi imigranci w naszym kraju mają swoje prawa? Dlaczego więc odbieramy je roślinom? Po co ten pośpiech? Pomyślcie o krokusach i hiacyntach, które każdej wiosny widzicie w okolicach Beer Szewy. Właśnie koło drogi do Hebronu.

Mein Zeew wyznał, że jest bardzo rozczarowany postawą dziennikarzy. Mniej więcej pół roku temu usiłował ich przekonać do obrony zagrożonego irysa pustynnego, jedyne gatunku irysa, który przystosował się do życia na pustyni. Wspaniały kwiat, jeden z najpiękniejszych na świecie, z płatkami dorównującymi płatkom irysa królewskiego, a co więcej - rośnie wyłącznie w Izraelu. Na poprzedniej konferencji prasowej prosił, żeby ostrzegali społeczeństwo przed zrywaniem tych kwiatów. W swojej naiwności myślał, że zdołał przekonać dziennikarzy, jak wyjątkowy jest irys pustynny dla flory Izraela. Przyznaje, że żywił pewne nadzieje. Prasa ma wielki wpływ na społeczeństwo i on mimo wszystko nie może bez jej pomocy walczyć o ochronę przyrody. Ale nic nie napisali. Ludzie zrywali kwiaty. A teraz nie mówimy o jednej roślinie. Mówimy o masowej zagładzie. Tym razem ma nadzieję, że coś napiszą.

- Ponieważ jeśli nie będzie równowagi w przyrodzie, nie będzie także równowagi w świecie zwierząt i ludzi. Te rośliny nie potrafią same się obronić. Wy przemówicie w ich imieniu. Wiwien!

Drżały mu ręce i Lizzi postanowiła, że napisze artykuł, a nawet wyjaśni w Urzędzie Miasta, dlaczego zaplanowano budowę drogi właśnie w tym miejscu.

Agronom-rzeźbiarz był wysokim, chudym mężczyzną o poważnym wyrazie twarzy i bródce a la prezydent Lincoln. Miał około trzydziestu pięciu lat. Na tablicy powiesił szkic projektu. Nie zamierza wchodzić w szczegóły i męczyć publiczności. Opracował go Rami Hardon, artysta, którego dzieła prezentowano na wystawach ekologicznych w Linzu i Akwizgranie. Za dwa miesiące w Canberze w Australii zostanie ustawiona jego kolejna ogromna rzeźba o przesłaniu ekologicznym. On sam podziwiał na biennale w Darmstadcie prace Hardona ze stali nierdzewnej. Wywarły na nim ogromne wrażenie. Jak widzimy na szkicu, dzieło Hardona stanie na skrzyżowaniu przy drodze Beer Szewa-Hebron. Jego elementy będą odzwierciedlać zjawiska i obiekty charakterystyczne dla pejzażu Negewu: erozję skał, luźne kamienie, wąwozy. Górną płaszczyznę utworzą elementy przezroczyste, negatywy powierzchni ziemi. Wąskie otwory umożliwią nawiew piasku do wnętrza instalacji. Podróżujący drogą Beer Szewa-Hebron nie domyśla się, że mają przed oczami dzieło sztuki. Będzie wyglądało zupełnie jak przystanek autobusowy. Dolna płaszczyzna, wykonana z betonu, zostanie podświetlona neonami.

Lizzi zapytała, ile będzie kosztować cała instalacja i jakie będą jej wymiary. Francuska korespondentka pokręciła głową, wydała z siebie przeciągły syk, który brzmiał jak pociągnięcie nosem, i spuściła oczy. Widać było, że wstydzi się przebywać w towarzystwie takich osób jak Lizzi, hańbiących zawód dziennikarza.

Doktor Sade nie poczuł się urażony, wręcz przeciwnie. Powiedział, że to dobre pytanie. Myślą, że projekt będzie kosztować około stu tysięcy dolarów, ale nie uzgodniono tego jeszcze z artystą. Nie ma sensu żądać od niego szczegółowej odpowiedzi, skoro dotąd nie dostali zgody samorządów. W radach fundacji wspierających kulturę siedzą komisarze, których naczelnym hasłem jest sztuka konceptualna. Rami Hardon co prawda był niegdyś zwolennikiem sztuki konceptualnej, ale - doktor Sade ma nadzieję, że mu nie zaszkodzi, mówiąc o tym - ostatnio porzucił w pewnym sensie formalizm i zwrócił się w stronę bardziej osobistych środków wyrazu, rodzaju automatyzacji istnienia. „Kwiat Pustyni” jest właśnie jej wcieleniem. Lęk przed unicestwieniem roślinności pustynnej uosabia tak naprawdę inny Wielki Lęk. On osobiście uważa, że to ważny temat. Bardzo ceni artystę i cieszy się, że ze strony Motiego Cufa i Meina Zeewa zyskał poparcie dla tego projektu. Byłoby mu bardzo przykro, gdyby nie udało się znaleźć pieniędzy potrzebnych na jego sfinansowanie. Rada miasta Perugia wyraziła gotowość ustawienia „Kwiatu Pustyni” na wielkim trawniku przed Akademią Architektury, która mieści się w barokowym budynku zaprojektowanym przez architekta ze szkoły Berniniego. Jednakże miejsce tej instalacji jest tutaj, a nie w Perugii.

Francuska reporterka zapytała doktora Sadego, czy wymowa instalacji jest polityczna. Lizzi wstała z miejsca i wyszła na zewnątrz. Wiał silny wiatr, niebo miało ciemnoszarą barwę i od czasu do czasu rozświeślały je odległe błyskawice. Przed Domem Kultury stała grupka demonstrantów - cztery kobiety i jeden mężczyzna. Dwie z kobiet miały zawieszane na piersi tekturowe tablice z

napisem: „Zakończyć okupację!” Spod płaszcza jednej z nich, niczym łepiek kangura, wyglądała główka dziecka w wełnianej czapeczce.

Rozdział 34

Na stopniach wiodących do Domu Kultury siedziała Szibolet, owinięta w niebieski płaszcz, i czekała na Lizzi. W ostatnich dniach jej zwykły radosny nastrój przygasł, niewątpliwie z powodu wydarzeń w Sade Oznai. Opowiedziała, że wszyscy mieszkańcy bojkotują Idona i Szajkego, a ich rodzice - ludzie, którzy wybudowali kibuc własnymi rękami! - pogrążyli się w smutku i zerwali wszelkie kontakty ze światem. Wyszły na jaw urazy, zazdrość i złość, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia. Jej rodzice chętnie by opuścili Sade Oznaję, ale dokąd mieliby pójść? Co będą robić? Czują się jak w pułapce. Całe życie harowali, a teraz nie mają grosza przy duszy, żeby rozpocząć od nowa. Szibolet jest pewna, że inni czują się tak samo.

- Ten sędzia, którego żona została zamordowana, chce z tobą porozmawiać. Powiedział, żebyś o drugiej przyszła do jego biura, ale ty nie odbierałaś telefonów i wyłączyłaś pager, więc Dahan pomyślał, że to może być coś ważnego, i pojechał do ciebie do domu, lecz i tam cię nie było. Wtedy przypomniał sobie, że wybierałaś się na konferencję prasową, i wysłał mnie tutaj, bo myślał, że chciałabyś o tym wiedzieć.

- Umiesz pływać?

- Tak. - Szibolet wyglądała na zdziwioną reakcją Lizzi.

- Masz dużą pojemność płuc.

- Owszem. Potrafię przepłynąć pod wodą cały basen w Sade Oznai. Dobrze zgadłaś.

- Cement przyjechał?

- Kiedy byłem w redakcji, jeszcze się nie pokazał. Dahan powiedział, że się tym gryziesz i dlatego zniknął bez wieści.

- Nigdzie nie zniknął. Skończyłam pracować o drugiej w nocy i wyłączyłam telefon, bo chciałam się wyspać, to wszystko.

- Brawo, Lizzi Badihi! - usłyszały męski głos.

Beni Adulam zwracał się do Lizzi i jednocześnie mierzył wzrokiem Szibolet, od mokrych tenisówek aż po roztrzepane loki. Lizzi nienawidziła mężczyzn taksujących kobiety spojrzeniem. Odczuwała to jako brutalność, przed którą nie można się obronić. Zdarzało się, że czasami protestowała głośno. Reakcja zawsze była taka sama: „Upadłaś na głowę?” Co takiego zrobił? „Ciesz się, że w ogóle ktoś chce na ciebie spojrzeć, ty krowo. Patrzcie ją! Nie jesteś jedyna na świecie”. I lekkie spojrzenie ustępowało miejsca innemu, znanemu powszechnie jako „mord w oczach”. Nieraz spotkała się z obelgami, a nawet groźbami. Nauczyła się milczeć i stawać niewidzialna. Jak wszystkie kobiety. Ale Beni Adulam? On także? To tylko dowodzi, że nikogo się nie zna naprawdę. Myślała, że Beni ją lubi, a tymczasem okazuje się, że on też, tak jak wszyscy, myśli tylko o jednym.

- Nie zamierzasz nas sobie przedstawić? - zapytał.

- Nie.

Adulam i Szibolet roześmieli się. Dziewczyna wstała ze schodka.

- Bardzo mi miło - przedstawiła się. - Szibolet, sekretarka „Czasu Południa”.

Beni pochylił się, podniósł jej parasolkę.

- Bardzo mi miło - odparł. - Beni Adulam, „Dziennik Południa”. Powiedziałaś „Szibolet”?

- Szibolet, żebyś się nie ważyła powtórzyć mu tego, co mi powiedziałaś.

- Nie jestem aż tak głupia, Lizzi.

- Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała.

- Lizzi Badihi, czy ty czasem nie przesadzasz? - zapytał Adulam. - Żyjemy w wolnym państwie i mogę rozmawiać z kim chcę i kiedy chcę. Nie będziesz mówić, co mi wolno, a czego nie wolno robić.

- Co się stało? - Szibolet była zdumiona burzą, którą wywołała jej obecność.

Jeżeli on odkryje, że Szibolet jest z Sade Oznai - pomyślała Lizzi - to już teraz mogę zacząć szukać pracy w fabryce. Fabryka czekała na nią od zawsze. Fakt, że tam nie pracowała jak jej

matka, co dzień od nowa napełniał ją zdziwieniem. Czuła się jak ktoś, kto oszukał los i na kogo za najbliższym rogiem czeka za to kara.

- Kiedy rozmawiałaś z Archimedesem Lewim? - zapytał Adulam.

- Dlaczego pytasz?

- Kiedy chciałem się z nim zobaczyć, powiedzieli mi, że nie wolno.

- Kto?

- Dyżurna na policji. Powiedziała, że nie mogę robić wywiadu z więźniem. Ale ty z nim rozmawiałaś i nie mogę zrozumieć, w jaki sposób ci się to udało.

- Skąd wiesz, że z nim rozmawiałaś?

- Lizzi! - wykrzyknęła Szibolet. - Nie widziałaś dzisiejszej gazety?

- Nie.

- Na pierwszej stronie jest odsyłacz, który kieruje na trzecią - do twojego wywiadu z Archimedesem Lewim.

Lizzi była w siódmym niebie. Te skurwysyny z Tel Awiwu zdążyły zamieścić jej artykuł! Prawdopodobnie w ostatniej chwili zrezygnowali z jakiegoś gotowego już tekstu. Najwyższy czas, żeby francuska korespondentka nauczyła się czytać po hebrajsku. Może przestanie się zachowywać jak księżna na prowincji.

Adulam wyciągnął gazetę z teczki i podał ją Lizzi. Kolekcjoner znaczków podejrzany o morderstwo. Korespondencja z Południa: Lizzi Badihi. Nagłówek zajmował pół strony. Lizzi poczuła się niepewnie; własnymi rękami przygotowała zgubę Archimedesa. Ona wiedziała i on wiedział, i ci, którzy powinni wiedzieć, wiedzieli, że to nie on zamordował Aleksandrę. Jednak w oczach opinii publicznej już zawsze będzie podejrzany o morderstwo. Zostanie osądzony za przestępstwa podatkowe i ludzie powiedzą, że nie ma dymu bez ognia.

- To pewnie dlatego...

- Szibolet!

- Oj, zapomniałam.

Szibolet przygryzła wargi. Lizzi poprosiła ją, żeby wróciła do redakcji. Kiedy Adulam zaczął protestować, oświadczyła, że Szibolet może zostać i nawet zjeść z nim obiad, tylko że będzie ją to kosztowało utratę pracy, to wszystko. Dziewczyna, zdziwiona obrotem sprawy, naciągnęła kaptur na głowę, otworzyła parasolkę i pobięła w stronę przystanku autobusowego, oglądając się co jakiś czas na Lizzi i Adulama, którzy stali pod daszkiem u wejścia do Domu Kultury. Lizzi chciała zobaczyć na własne oczy, jak Szibolet wsiada do autobusu, i upewnić się, że Adulam za nią nie pobiegnie.

- Jesteś zazdrosna, Lizzi?

- Oczywiście, mój drogi.

- Zjemy coś w Cafe Moskwa?

- Ty możesz coś zjeść w Cafe Moskwa. Ja jestem zajęta.

- Czego się obawiasz?

- Niczego.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Słucham.

- To prawda, że nie jesteś przyzwyczajona do towarzystwa mężczyzn?

- Chyba mogę sama o sobie decydować? Mamy przecież dwudziesty wiek!

- Za bardzo się przejmujesz głupstwami. W końcu zaproponowałem ci tylko pójście do kawiarni. O co ci chodzi?

- O nic mi nie chodzi. Do widzenia.

Lizzi miała jeszcze prawie godzinę, więc postanowiła pójść do „Mikado” i kupić trochę kaset.

Ręka Klary cały czas była zabandażowana. Siniec pod okiem zmienił kolor z niebieskiego na żółty. Jakow stał na stołku i zmywał szczotką ścianę sklepu. W nocy nieznana ręka napisała czarną farbą na fasadzie domu: ZBOCZENICY. Lizzi nałała do plastikowego wiaderka płynu do mycia naczyń i wzięła szczotkę z ręki Jakowa. Stała na ulicy, gotując się z wściekłości, i myślała, że gdyby autor napisu wpadł jej w ręce, zamordowałyby go bez chwili wahania. W całej Beer Szewie nie było bardziej skromnej i delikatnej pary. Komu to szkodziło? Komu zrobili krzywdę? Skąd ta nienawiść? Zawsze tyle nienawiści! Jak można żyć w świecie, gdzie jest tyle nienawiści? Co

człowiek powinien zrobić, żeby to zmienić? Lizzi była wyczerpana własną bezsilnością. Napisze wzruszający artykuł o zagrożonych gatunkach roślin i ich dzielnym obrońcy. W końcu dlaczego nie? Nie żąda przecież niczego wielkiego. Postara się też pomóc Ramieniu Hardonowi. Artysta postanowił uczynić pustynną roślinę symbolem jedności między narodami. A w dodatku zrezygnował z Perugia na rzecz szosy Beer Szewa-Hebron. To, że ona nie rozumie jego twórczości, jeszcze nie znaczy, że Hardon nie jest artystą. Znaczący jedynie, że ona go nie rozumie. To wszystko. A może nawet nie musi go rozumieć. Bo czy rozumie Klarę i Jakową?

Kiedy ściana była już znowu czysta, Lizzi zrobiła dla wszystkich kawę po turecku i opowiedziała o konferencji prasowej z ekologami.

- Gilbert i Sullivan nigdy nie chcieli naśladować natury. Natura to natura, a sztuka to sztuka - powiedziała Klara. - Puccini chciał naśladować rzeczywistość, ale gdzie Madame Butterfly do Mikado?

Lizzi nie miała pojęcia, gdzie Madame Butterfly do Mikado, i jej milczenie najwyraźniej utwierdziło Klarę i Jakową w ich przekonaniu. Wymienili ostrożne uśmiechy.

- A nawet do Turandot - powiedział Jakow.

- W orkiestrze naszej opery - powiedziała Klara - był szkocki perkusista, który uważał, że światem rządzą dwie grupy stworzeń: ludzie i mrówki. Ludzie nad ziemią, a mrówki pod ziemią. Mrówki, tak jak ludzie, mają własne państwa, rządy, królów i armie, i kiedy my żyjemy sobie spokojnie na ziemi, one pod ziemią planują nas podbić. Nie chcieliśmy wysłuchiwać tych bzdur, więc pewnego wieczoru, na premierze Turandot, napuścił do sali masę mrówek i trzeba było odwołać przedstawienie. „Teraz mi wierzycie?” - pytał. Łaził od człowieka do człowieka i pytał: „Teraz mi wierzycie?”

- Pochodził z rodziny wojskowych i marynarzy. Opera zawróciła mu w głowie - dokończył Jakow. - Ponad miesiąc szukali nowego perkusisty.

Klara roześmiała się. Z jej gardła wydobył się dźwięk podobny trochę do tego, który wydaje pompka rowerowa.

- Byłaś u lekarza? - zapytała Lizzi.

- Po co?

- Ręka. Oko.

- Klara nie lubi lekarzy - powiedział Jakow.

- Powinna dać się zbadać.

- Jesteś kochaną dziewczyną, Lizzi - rozczulił się Jakow.

Dopiero kiedy się pożegnała i wyszła na ulicę, pomyślała, że jest jakiś związek między napisem na ścianie a ich lękiem przed lekarzami. Nigdy nie myślała o nich jako o takich. Odkąd pamiętała, byli ciotką Klarą i wujem Jakowem. Matka wychowała ją w szacunku dla nich. Kochała swojego brata, kiedy nazywał się Menasze, i nie widziała żadnego powodu, żeby przestać go kochać, gdy zmienił się w Klarę i ożenił z Jakowem.

Rozdział 35

Lizzi weszła do gmachu sądów pewnym krokiem.

- Do sędziego Hornshtyka - powiedziała strażnikowi - jestem umówiona.

Na drugim piętrze, idąc wzdłuż korytarza, zobaczyła wychodzącą z pokoju kobietę w czarnej todzie, ze stosem urzędowych teczek w rękach. Miała szpakowate włosy i twarz bez makijażu. Lizzi stanęła nieruchomo i czekała. Nie miała najmniejszych wątpliwości, kto się do niej zbliża: ta pani!

- Sędzia Taana Berger? - zapytała.

- Nie mogę teraz rozmawiać.

- Lizzi Badihi, „Czas Południa”, mam tylko jedno pytanie.

- Proszę się zwrócić do rzecznika sądu.

- To pani zaniósł czek sędziego Hornshtyka w niedzielę rano do banku?

Taana Berger wyminęła ją, jakby Lizzi była powietrzem. Ani jeden mięsień nie drgnął w jej twarzy. Szła z oczami utkwionymi w poręcz schodów. Lizzi zastanowiła się, czy za nią pobiec, lecz stwierdziła, że naraziłaby się na kłopoty. Taana Berger wyglądała na twardą i nieco groźną kobietę.

Hornszyk wiedział, że jego koleżanka z pokoju będzie na rozprawie, i dlatego umówił się z Lizzi na drugą.

Zapukała do drzwi. Minęło kilka sekund, zanim usłyszała stłumione „wejść” i otworzyła drzwi. Hornszyk siedział, zagłębiając się w lekturze dokumentów z teczki, która leżała przed nim na biurku, i skinął Lizzi, żeby usiadła.

Czekając, aż sędzia skończy, rozejrzała się po pokoju. Na wieszaku wisiał płaszcz w kolorze khaki i czarny parasol. Czarna aktówka stała na podłodze obok biurka sędziny. Są tysiące takich płaszczy i teczek - pomyślała Lizzi - ale mimo wszystko! Intuicja mówiła jej, że Taana Berger była tą panią, która wpłaciła pieniądze Archimedesowi na konto Pinchasa Hornszyka. Dlaczego? Czyżby działali razem od początku? Czy była w nim zakochana? Czy zmusił ją w jakiś sposób? Miał w tym duże doświadczenie, jeszcze z początków swej kariery w kancelarii „Adler, Abraham i Brill”, kiedy to szantażował handlarza winami.

- Byłeś wtedy biedny? - zapytała Lizzi.

- Słucham?

Wyglądał na zdziwionego. Lizzi sama się zdziwiła, słysząc pytanie, które zadała.

- Kiedy zacząłeś zajmować się prawem.

- Tak?

- Byłeś młodym, zdolnym i biednym adwokatem?

Hornszyk popatrzył na nią tak, jak patrzy na swoich uczniów profesor odchodzący na emeryturę. Taki, co wszystko już widział i słyszał, był bardzo zmęczony i bardzo cierpliwy i starał się zebrać siły, aby przepracować jeszcze ten jeden, ostatni rok, a potem w końcu usiąść i napisać książkę o wędrówkach rabina z Raryzboni. Wtedy pokaże tym wszystkim małym łobuzom, którzy uczyli się w jego klasach, przyklepiali pod ławkami gumę do żucia, puszczały papierowe samolociki i ścigali na klasówkach, z kim mają do czynienia. Zapominasz się - upomniała siebie Lizzi. To prawda, że ma niewinne spojrzenie, ale przecież nie aż tak.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedział Hornszyk i wrócił do studiowania swojej teczki. Podpisał jakiś papier, zszył go, przedziurkował i włożył do segregatora. Potem wstał z miejsca, zbliżył się do drzwi i przekręcił klucz w zamku. No cóż - pomyślała Lizzi - on tylko zamknął drzwi, co w końcu mógłby mi zrobić? Postanowiła nic nie mówić. Pan sędzia sam ją zaprosił, niech więc pierwszy raczy otworzyć usta i przemówić.

- Zamierzam wystąpić do Kolegium Dziennikarskiego i wnieść skargę na ciebie i twoją gazetę z powodu artykułu, który się dzisiaj ukazał. - Jego głos jednak przypominał głos starego nauczyciela, który odchodzi na emeryturę.

- Dlaczego?

- Zniesławiliście moją świętej pamięci małżonkę. Ona nie może już się obronić. Ale ja mogę. Zasugerowałaś, że moja świętej pamięci żona ukradła pieniądze należące do kibucu Sade Oznaja, żeby inwestować w szarej strefie. Opisałaś ją jako bezwzględną i chciwą osobę, która nie cofnie się przed niczym, aby tylko więcej zarobić. Zraniłaś moje dzieci i mnie, sugerując, że moja żona zamierzała nas opuścić dla młodego kochanka. Zraniłaś je także, gdy napisałaś, że tonęła w długach i jest winna sto tysięcy dolarów Archimedesowi Lewiemu. Jeśli dobrze rozumiem, wszystkie te informacje pochodzą właśnie od niego. Etyka dziennikarska nakazuje, abyś zwróciła się do mnie i poprosiła o opinię na temat tych oszczerstw. Nie zrobiłaś tego, bo obawiałaś się, że wszystkiemu zaprzeczę i nie będziecie mieli tego tak zwanego ekskluzywnego wywiadu. Sensacja okazała się ważniejsza od prawdy. To, że zniesławiasz rodzinę, która przechodzi teraz ciężki okres, najwyraźniej w ogóle cię nie obchodziło.

- Pozwij mnie do sądu.

- Zrobiłbym to chętnie. Niestety, nasze prawo nie chroni tych, którzy przenieśli się na tamten świat.

Jego oczy utkwione były w ścianę nad jej głową. Głos drżał mu ze zdenerwowania, ale twarz pozostała nieprzenikniona. Wyglądał, jakby deklamował czyjaś kwestię. Lizzi miała nieprzyjemne uczucie, że coś jej się wymyka. Coś, czego nie może pojąć. Coś, co ma przed oczami albo w zasięgu ręki, i wystarczyłoby tylko mały wysiłek, aby odgadnąć, co to takiego.

Hornszyk rozpiął guziki swetra i zaczął chodzić po pokoju. Wyglądał na wzburzonego. Podeszedł do okna i zaczerpnął pełną piersią chłodnego powietrza. Wiatr przewrócił kosz na papiery.

Lizzi nachyliła się, zgarnęła do środka jego zawartość i ukryła pod biurkiem, gdzie wiatr nie miał dostępu. Dobrze, że nie zdjęłam płaszcza - pomyślała.

- Nie napisałam nic, czego nie można by potwierdzić.

Hornszyk odwrócił się i popatrzył na nią ze swego stanowiska przy oknie tęnym, zamglonym spojrzeniem, które poznała już wcześniej. Ależ on jest odpychający! Było jej żal stukniętej Lizzi, która wylądowała w łóżku tego starego skunksa. Moja biedna Lizzi - powiedziała do siebie - czy aż do tego stopnia byłaś pogrążona w rozpacz? Mimo wszystko nie powinnaś go tak bardzo nienawidzić, bo dzięki niemu znalazłaś się w łóżku Archimedesa, a to już zupełnie inna bajka.

- Jesteś w stanie udowodnić, że Archimedes pożyczył Aleksandrze sto tysięcy dolarów? Udowodnisz, że Aleksandra oświadczyła Bruchimowi, że opuszcza mnie i dzieci? Masz dowody na to, że chciała sprzedać nasz dom i rozpocząć nowe życie?

Lizzi postanowiła, że będzie milczeć. Jest bystrzejszy ode mnie - stwierdziła - i bardziej doświadczony. Nazwisko Bruchim nie padło w tekście. Pamiętała dobrze, że pisząc, zastanawiała się nad tym, lecz doszła do wniosku, że lepiej nie narażać się na umieszczanie „nie sprawdzonych informacji”, i z żalem zrezygnowała z rodzynka zwanego Jaron Bruchim. Teraz ma dowód na to, że Hornszyk wiedział o nowym romansie Aleksandry. Jeśli zaś chodzi o potwierdzenie faktu, że „świętej pamięci małżonka” zamierzała sprzedać dom, to sędzia doskonale zdaje sobie sprawę, że nie przysporzy ono najmniejszej trudności. Czyżby próbował wyciągnąć ode mnie, jak dużo wiem? Dowiedzieć się, jakie „sprawdzalne informacje” posiadamy ja i gazeta?

On chce coś osiągnąć - tłumaczyła sobie Lizzi. Chce czegoś, a ja nie wiem czego. Dopóki milczę, nic mi nie grozi. Ale przed czym powinnam się bronić? Czuję, że jest w niebezpieczeństwie, ale nie wiedziała, co dokładnie jej zagraża.

Hornszyk odszedł od okna i zbliżył się do niej. Stał i przewiercał ją wzrokiem. Jego zniszczona twarz odmłodziła o kilka lat. Wąż zrzucił starą skórę. Lizzi przypomniała sobie, co przyszło jej do głowy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy - że ma siłę, aby czynić zło.

- Mścisz się na mnie - powiedział.

- Co?

- Nie wybaczyłaś mi.

- Bzdury.

- Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś dziewicą?

- O nic cię nie obwiniam. Ani wtedy, ani teraz.

- To ty zabiłaś Aleksandrę, a teraz chcesz zniszczyć mnie.

Lizzi rozdziawiła usta. Nagle pojęła to, czego nie zauważyła wcześniej. Rozmowa była nagrywana. Pinchas Hornszyk, sędzia okręgowy, mówił do mikrofonu. Nie do jej mikrofonu. Do swojego. Wszystko, co powiedział, może posłużyć jako dowód. Na co? Lizzi jest dużą i silną dziewczyną, ale drzwi były zamknięte na klucz, a okno otwarte. Hornszyk trzymał w ręku parasol Taany Berger. Zawahała się, czy nie zacząć krzyczeć.

- Nie zaprzeczyłaś.

- Oczywiście, że zaprzeczam. Jesteś obłąkany! Zamordowałeś swoją żonę. Miałeś i motyw, i okazję. Wiedziałaś, że zamierza sprzedać dom i cię opuścić. Wiedziałaś, że ma długi. Gdyby żyła, musiałaby je spłacić. A ty zwykłeś brać, a nie dawać, jeszcze w czasach, kiedy byłeś młodym adwokatem i zmusiłeś handlarza winami, Lubicza, aby oddał ci rękę swojej pięknej córki i wypłacał dziesięć procent ze swoich dochodów do końca życia. Spadłam ci z nieba. Alibi, które cudem pojawiło się w ostatniej chwili jak królik z kapelusza. Wiem, czym jestem dla pana, panie Hornszyk. Kartą, którą wyciągniesz, gdy tylko będziesz musiał powiedzieć, co robiłeś między jedenastą a dwunastą w sobotę w nocy. Krew na prześcieradle uwieńczyła twoje alibi. Aleksandra umówiła się z Jackiem Danzigiem obok małego basenu za domem. Zadzwoiła do niego z domu. Słyszałeś tę rozmowę i znałeś termin spotkania. Jackie miał grać na fortepianie do pomocy. Nikt nie mógł pojąć, dlaczego uparłeś się stać przy wejściu i rozdawać fajerwerki jak idiota. Zrobiłeś to, żeby wszyscy pamiętali, gdzie byłeś przez cały wieczór. Uwiedzenie Lizzi przyszło ci do głowy prawie dosłownie za pięć dwunasta. Plan alternatywny. Ale ja, panie Hornszyk, wyszłam wcześniej, bo o trzeciej musiałam wstać, żeby jechać na przejście graniczne. A ty miałeś dość czasu, żeby pójść do ogrodu, zamordować żonę i wrócić do drzwi wejściowych.

- To ty wymknęłaś się tylnym wyjściem. Zobaczyłaś Aleksandrę siedzącą na ławce i strzeliłaś do niej w ataku wściekłości.

- Jak? Skąd mogłam wiedzieć, że masz broń i gdzie ją trzymasz?
- Pokazałem ci dom. Przechodziliśmy z pokoju do pokoju, weszliśmy też do sypialni. Szuflada była otwarta i wtedy zobaczyłaś broń.
- Byłam niepoczytalna?
- To ci nie pomoże w sądzie, Badihi. Zatrąszczę się, aby dowiedziono, że byłaś w pełni poczytalna. Zrobiłaś to z zimną krwią. I to jest być może najstraszniejsze. Nawet nie żałujesz swego czynu. Wymyśliłaś przekonującą, nawet wzruszającą historyjkę, która jednak zawali się w śledztwie jak domek z kart. Jesteś gotowa poddać się badaniu wykrywaczem kłamstw?
- Oskarżasz mnie o zamordowanie twojej żony?
- Tak. I mogę tego dowieść. Była wspaniałą, piękną, zdolną kobietą! Wszystkim tym, czym ty nigdy nie będziesz. Byłaś zła na mnie, a na niej się zemściłaś. Chciałaś się odplącić za swoje nieszczęsne życie. A ja doprowadziłem do tego w chwili słabości, której nie mogę zrozumieć. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej nie mogę zrozumieć, dlaczego uwiodłaś właśnie mnie i dlaczego tak się zachowałem. Przedstawienie skończone, Badihi. Postanowiłem zwrócić się do policji i opowiedzieć wszystko, co wiem.

- Nie zabiłam pańskiej żony, panie Hornszytk.

Lizzi usłyszała zgrzyt zębów, który zabrzmiał jak szloch, ale - jak powiedziała Dworin w słynnym procesie - „żadnych łez”. Czego on chce? - pomyślała. Żebym przyznała się do zamordowania jego żony i popełniła samobójstwo, skacząc z okna? Czy żebym go zaatakowała, by mógł wypchnąć mnie przez okno, a potem twierdzić, że uczynił to w obronie własnej? Muszę stąd wyjść. Mam dwa kroki do drzwi. Przekręcę klucz. Jeżeli nie zamierza zrobić mi krzywdy, to pozwoli, bym wyszła, a jeżeli spróbuje mnie zatrzymać, będę walczyć. Jestem wyższa, silniejsza, szybsza, mogę krzyknąć.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Potem Lizzi nie mogła sobie przypomnieć, co zdarzyło się najpierw. Sędzia uniósł parasol i uderzył ją w kark. Mocno i precyzyjnie. Istny Bjorn Borg wymiaru sprawiedliwości. Rączka parasola była wypełniona czymś ciężkim, być może ołowiem. Następnie usiłował zaciągnąć ją w kierunku okna, krzycząc: „Nie, nie rób tego!” Zaczęła odpychać jego ręce i walczyć, a potem chwyciła go z całej siły i wrzasnęła. Kopnął ją i odepchnął od siebie, znowu kopnął. Lizzi wiedziała, że musi od razu wstać, ale dosięgnął ją jeszcze jeden cios. Hałas w głowie zmieszał się z hałasem dochodzącym od drzwi, z krzykami ludzi. Wtedy zemdląca i błogosławiona cisza owineła miękko jej ciało i umysł.

Rozdział 36

- Ocaliła cię Taana Berger.

Lizzi leżała w łóżku i usiłowała nie ruszać głową. Upłynęło już trzydzieści godzin od „zajścia” i Benci zdecydował, że może z nią porozmawiać. Jej matka siedziała przy łóżku. Lizzi wiedziała, że zamartwia się z powodu swojej nieobecności w pracy, i myślała, jak usprawiedliwiła się szefowi w fabryce. Ktoś usiłował zabić moją córkę i nie przyjdę do pracy przez jakieś dwa dni? Właściwie ból w klatce piersiowej i w udzie nie był taki straszny, ale kiedy chciała wstać, poczuła dreszcze i nudności. W szpitalu stwierdzili, że przeżyła wstrząśnienie mózgu, i kazali jej leżeć. Jedną dobę z życia straciła z powodu leków znieczulających. Była otumaniona i bezradna, kiedy rozmawiano z nią o rzeczach, których nie pamiętała. Tak pewnie czują się starzy ludzie, gdy znajdują się nagle w obcym miejscu i nie mogą sobie przypomnieć swojego nazwiska ani adresu. Lekarz, który ją badał, powiedział jej matce, że ma bardzo miłą córkę, ale Lizzi nie pamiętała żadnego lekarza. Podły Arieli przyjechał do Beer Szewy i dopilnował, żeby dobrze się nią opiekowano, ale nie pamiętała nawet tego. Gdyby nie dwa plastry na czole, nie pamiętałaby nawet, że była w szpitalu.

- Słuchasz mnie? - zapytał Benci.

- Tak - odpowiedziała Lizzi.

Przez ostatnie dwa lata sędziowie Taana Berger i Pinchas Hornszytk siedzieli w jednym pokoju. Ich wzajemne stosunki były serdeczne, przyjacielskie i ograniczały się do spraw zawodowych, jak to bywa w przypadku osób pracujących w jednym pokoju. Wyświadczali sobie drobne przysługi: wrzucali listy do skrzynki, odbierali teczki z sekretariatu, udzielali informacji przez telefon. Czasami radzili się nawzajem w kwestiach prawnych. Mniej więcej raz do roku

odwiedzali się w domach. W dniu przyjęcia Hornszyk powiedział jej, że nazajutrz może trochę się spóźnić, gdyż zobowiązał się zrealizować czeki w banku. Poprosił, żeby zrobiła to za niego i wzięła czek bankowy. Taana Berger nie przywiązywała do tego większego znaczenia. Oczywiście, dlaczego nie? Zrobiła, o co prosił, a nawet przyniosła mu czek, kiedy przyszła do niego z kondolencjami. Dopiero potem zaczęło ją coś niepokoić. Dlaczego nie dał czeku swojej żonie albo komuś z rodziny? Albo dlaczego sprawa nie mogła poczekać kilku godzin, aż sędzia będzie wolny? Przecież kiedy jej przekazywał czeki, nie wiedział jeszcze, że jego żona zostanie zamordowana. Nie istniał żaden logiczny powód, dla którego właśnie ona miała to zrobić w niedzielę rano. Chyba żeby zaszła konieczność przedstawienia jakiegoś dokumentu, a w takim wypadku fakt, że była sędzią, nie powinien zaszkodzić. Wciąż wracała myślami do tych czeków. Prośba Hornszyka nie do końca wydawała się jej przekonująca. Niepokój sędziny wzmógł się, kiedy przeczytała w gazecie o aresztowaniu Archimedesza Lewiego i o pieniądzech, które pożyczyła Aleksandra Hornszyk.

Podczas gdy Taana Berger zadreślała się kwestią czeków, sierżant Szoszi siedziała w swoim biurze, badając podpis kobiety, która zrealizowała czeki w niedzielę rano. Sierżant miała fotograficzną pamięć. Była pewna, że widziała już wcześniej ten podpis, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Dzięki niezwykle zbiegowi okoliczności na policję dotarły wówczas dokumenty, które podpisała sędzina Berger. Koordynator śledztwa przekazał teczkę Szoszi, a ta aż podskoczyła z wrażenia. Zamiast jednak wykrzyknąć: „Eureka!”, jak to miała w zwyczaju, gdy udawało się jej rozwiązać szaradę, zacisnęła usta i opadła na krzesło, oniemiała. Potem poszła do pokoju Benciego i opowiedziała mu, co właśnie odkryła.

Benci uznał, że to go przerasta. Stwierdził, że należy zatrudnić w śledztwie najzdolniejszych pracowników, zarówno z wydziału zabójstw, jak i z wydziału fałszerstw. Dotychczas uważał Hornszyka za ofiarę, ale teraz zaczął coś podejrzewać. Wtajemniczył w sprawę swojego przełożonego, Eliszę Karnafuła, który ostrzegł go, aby miał się na baczności. W końcu mówimy o sędziach okręgowych, na litość boską!

Kiedy Lizzi opowiedziała Benciemu o szantażu Jackiego Danziga, przesłuchał go raz jeszcze; powiadomił, że ma w kieszeni nakaz zatrzymania na piętnaście dni i że zamierza go przedłużyć. Nie umrze z rozpaczy, jeśli proces Danziga odbędzie się nawet za trzy lata.

- Bencijon, jesteś diabłem wcielonym - powiedziała mama Lizzi. Siedziała w fotelu przed lustrem i cerowała podkoszulki i majtki swoich wnuków.

- Ten diabeł uratował życie twojej córce. - Benci poczuł się urażony i Lizzi wydało się, że grzmiący głos szwagra rozbija jej słabą głowę na tysiące kawałków.

Poczekala, aż burza ucichnie, a potem położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała mamie, żeby go przeprosiła.

- Co znowu, ja mam go przeproszać? Oszukał Jackiego czy nie?

Matka ani myślała przeproszać Benciego. Ten zaś oświadczył, że nie zamierza pozostać w jednym pokoju z kimś, kto właśnie nazwał go diabłem. Lizzi poprosiła więc mamę, aby poszła do domu, na co ona odparła, że nie zamierza zostawić jej samej z mężczyzną, i nie ruszyła się z miejsca. Kłótnia rodzinna - pomyślała Lizzi - to akurat lekarstwo na wstrząśnienie mózgu.

- Chodźmy, zrobimy kawę. - Niezapomniany bas Zilhy zabrzmiał z rogu pokoju. Lizzi nie zauważyła go do tej pory, ponieważ usiłowała nie poruszać głową. A może zauważyła, tylko o tym zapomniała? Zaczęła się zastanawiać, czy ma na sobie ładną koszulę nocną, czy meble nie są zakurzone i czy nie powiedziała czegoś, czego mogłaby żałować.

Mama Lizzi zawahała się przez moment, potem zgarnęła stos majtek i koszulek i położyła go na toalecie. Następnie wstała z obrażoną miną i udała się do kuchni w towarzystwie Zilhy.

- Przyznaj sama, że staram się nad sobą panować.

Lizzi pogłodziła Benciego po rękę i przymknęła oczy.

- Powiedz Georgette, że to ona zaczęła. Zawsze mnie oskarża, a tak naprawdę to właśnie ona atakuje pierwsza. Na czym skończyliśmy?

- Benci! - szepnęła Lizzi.

- Co takiego?

- Moje kasety!

- Przesłuchałem je. Schowałem w twojej szafie. Jeżeli się uda, nie zostaną wykorzystane w sądzie. Oj, Lizzi, Lizzi.

- Nie mów o tym nikomu.

- Ilan też je przesłuchał.
- Powiedz mu, żeby milczał.
- Ilan nic nie powie. Skurwysyn z tego sędziego. Należy mu się dożywocie.
- On mnie nie zgwałcił.
- Ale dlaczego? Dlaczego?! Jesteś świetną dziewczyną, Lizzi. Po co ci był ten gnojek?
- To skomplikowane.

- Zacząłem podejrzewać, że stało się coś takiego, kiedy przyszedł z kondolencjami i pozwolił ci zostać. Czemu on jej nagle pozwala tam zostać, zastanawiałem się. A sposób, w jaki do niego podeszłaś i z nim rozmawiałaś... Widać było, że jesteś pewna, że cię nie wyrzuci z domu. Kto, jeśli nie ja, wie najlepiej, że w takich sytuacjach ludzie wyrzucają dziennikarzy. Była w tym jakaś intymność. Ale powiedziałem sobie: daj spokój, to bzdura. Upadłeś na głowę, Benci? Co tylko dowodzi, że w mojej profesji człowiek powinien zawierzyć intuicji.

- On będzie chciał mnie wykorzystać jako alibi. Jestem dowodem na to, że nie mógł zamordować swojej żony między jedenastą a dwunastą w nocy.

- Sprawdziłem dokładnie, ile czasu potrzeba na przejście z pokoju służącej do sypialni, żeby zabrać broń, i z sypialni do ławki przy basenie. Dokładnie dwie minuty.

- Ale dlaczego chciał mnie zabić, skoro według planu powinnam być jego alibi?

- Hornszyk to bardzo doświadczony sędzia. Widocznie wyczuł, że prowadzi się śledztwo w jego sprawie, i postanowił zmienić plan. Z waszej rozmowy miało wynikać, że to ty zamordowałaś Aleksandrę. Przespał się z tobą, a ty zemściłaś się na jego żonie. Potem żalowałaś, miałaś wyrzuty sumienia, przyszedł do niego, aby się przyznać do winy, i popełniłaś samobójstwo, a on oczywiście usiłował cię powstrzymać.

- Kto mógł uwierzyć w te brednie?

- Wszyscy. W sprawach sercowych nikt nie doszukuje się logiki.

- Kto wyważył drzwi?

- Ja, Zilha i jeden policjant, którego przysłała Taana Berger.

Benci popatrzył na nią z troską.

- Lizzi, zadajesz to pytanie po raz trzeci.

- Przepraszam, mój drogi. Czy można zeznawać przy zamkniętych drzwiach?

- Tak.

- Nie chcę, żeby się o tym dowiedziano. Matka umrze ze wstydu. Ja zresztą też.

- Dosyć. Nie mów już o tym.

Lizzi zamknęła oczy, a Benci położył dłoń na jej dłoni i powtórzył:

- Dosyć, dosyć...

- Przysięgasz?

- Przysięgam. Wróćmy do Jackiego.

Rozdział 37

Teraz, gdy w pokoju nie było ani matki, ani Zilhy, Benci poczuł się swobodniej. Przyznał, że wywierał nacisk na Jackiego Danziga. Duży nacisk. Dało to zaskakujące wyniki.

Po zakończeniu tygodnia żałoby Hornszyk poszedł do biura Aleksandry, żeby przejrzeć jej papiery. Zabrał do domu wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z funkcjonowaniem firmy, w tym także karteczki pisane ręką Jackiego. Na szczęście nie wiedział, że Lizzi odkryła ich istnienie i przepisała treść. Sędzia zaprosił Jackiego na rozmowę, poinformował, że ma jego listy, i zaproponował mu - uwaga! uwaga! - żeby włamał się do mieszkania Lizzi i ukradł kasety. Zawarli układ: kasety w zamian za listy.

- Dlaczego tak bardzo mu zależało na tych kasetach?

- Chcesz znać moje zdanie? Sądzę, że z powodu twoich pytań o pieniądze, które dostaje od Lubicza. To pachnie szantażem. Nie marnowaliśmy czasu i sprawdziliśmy kartę zdrowia młodego Hornszyka. Lekarz, który stwierdził u niego uszkodzenie nerek spowodowane zatrutym winem, przeniósł się już na tamten świat. I mam poważne obawy, że nie siedzi między aniołami. Hornszyk zaś na razie sprawia wrażenie zupełnie zdrowego.

- Dlaczego Lubicz cały czas mu płacił?

- Podpisali umowę. Nie wspomina się w niej o żadnej chorobie nerek. Hornszyk wytłumaczył Lubiczowi, że to na jego korzyść. Umowa jest sformułowana bardzo ogólnikowo, widziałem ją. Hornszyk udziela Lubiczowi porad prawnych i dostaje za to dziesięć procent od dochodów. Bogatego przedsiębiorcy za bardzo to nie obciążało. Odkąd Hornszyk został mianowany sędzią, w zasadzie przestał pracować dla Lubicza. Umówili się nieoficjalnie, że nadal będzie mu pomagał i dostawał swoje dziesięć procent, ponieważ sędziemu nie wolno prowadzić prywatnej praktyki. Lubicz to prosty człowiek. Wiedział o przygodach swojej córki i obawiał się, że pewnego dnia przekroczy granicę i czcigodny sędzia ją rzuci. Był przekonany - zapewne słusznie - że dopóki będzie zięciowi płacił, ten nie zostawi swojej żony. Hornszyk zagroził Jackieemu, że jeśli nie ukradnie twoich kaset, przekaże dowody szantażu policji. Odważy się złożyć skargę na sędziego? A kto mu uwierzy?! Jackie to ćma barowa, bierze narkotyki, czasami sprzedaje towar, jest kiepskim pianistą i żigolakiem. Ale nie złodziejem. Ma kraść dla sędziego? Tego było dlań za wiele. Postanowił, że najbezpieczniej będzie zrobić sobie kopie twoich kaset, i tak też uczynił.

Kiedy został zabrany na przesłuchanie, wszystko poszło gładko. Zbyt gładko. Jackie miał przygotowaną odpowiedź na każde pytanie. W pewnym momencie kochany Ilan, który siedział w pokoju obok i się przysłuchiwał, wywołał Benciego na zewnątrz i powiedział, że jego zdaniem Jackie zbyt dobrze zna swoją rolę. Wie, co mówić, bo przesłuchał te kasety przed nimi. „Trzeba go przycisnąć, powiedzieć, że wiemy o jego włamaniu do mieszkania Lizzi i kradzieży kaset”.

Ilan miał rację. Nastraszyliśmy go trochę i Jackie przyznał się do wszystkiego.

I w ten sposób dowiedzieli się wstrząsającej prawdy o Hornszyku.

Jackie został zatrzymany w areszcie głównie po to, żeby nie skontaktował się z sędzią Karnaful, ich przełożony, poprosił o pilną rozmowę z doradcą prawnym rządu. Następnego dnia Benci i Karnaful pojechali do Jerozolimy i zdali raport ze swoich podejrzeń wobec sędziego okręgowego. Dodali, że w sprawę może być zamieszana również Taana Berger.

I wtedy dowiedzieli się, że sędzina już ich wyprzedziła. Spotkała się z doradcą rządowym i opowiedziała mu o czekach Hornszyka, a nawet podpisała swoje zeznanie. „Nie wiem, co może się zdarzyć - powiedziała. - Tu chodzi o sędziego okręgowego, mojego kolegę, szanowanego obywatela, na którego nie padł cień podejrzenia. Dlatego wolę złożyć to zeznanie u was. Jeżeli kiedyś zajdzie potrzeba, policja może z niego skorzystać. Jeżeli nie miałam racji, proszę zniszczyć ten dokument, a ja w Jom Kipur będę żałować za grzechy i prosić o wybaczenie, że podejrzewałam niewinnego”.

Doradca rządowy pokazał komendantowi Eliszy Karnafulowi i Benciemu zeznanie sędziny Berger. Kiedy je przeczytali, wyznał, że ma dylemat. Od spotkania z Taaną Berger nie sypia po nocach. Tej nocy z pewnością również nie zmruży oka. Dokuczają mu wrzody żołądka. Czy wiedzą, o czym mówi? Czy któryś z nich ma może wrzody żołądka? Zresztą, dlaczego mieliby mieć. To przywilej doradców rządowych. Uśmiechnął się, by pokazać, że tylko żartował, a oni roześmieli się, by pokazać, że mają poczucie humoru. Potem spoważniał i powiedział, że rozumie, dlaczego do niego przyszli. Chcą prosić o pozwolenie na wszczęcie śledztwa przeciwko Hornszykowi, izraelskiemu sędziemu. Naturalne jest, że on identyfikuje się raczej z sędzią niż z policją. Sędziowie w Izraelu to wspaniali, mądry ludzie, którzy zrezygnowali z wielkich zysków i zdecydowali się poświęcić służbie społecznej. Sam pomyślał, że sędzia może być zamieszany w przestępstwo, wydaje się świętokradztwem. Cały system sądowniczy w naszym państwie opiera się na uczciwości sędziów. Jego siła wypływa z ich szczerości i odwagi cywilnej. To jakby nastąpił koniec świata!

To wzruszające przemówienie wygłosił w obecności policjantów Koresza i Karnafula oraz prokurator Edny Schulz, znanej jako „Straszna Schulz”. Teczka ze sprawą Hornszyka została przekazana w jej ręce. Koresz i Karnaful przysięgli, że bez zgody pani prokurator nie wykonają najmniejszego ruchu.

Już następnego dnia Salvador Tut udał się do Jerozolimy ze wszystkimi dostępnymi materiałami: raportem ze śledztwa w sprawie morderstwa, szczegółowym sprawozdaniem o interesach Aleksandry Hornszyk, rozmaitymi rachunkami, opisem kłopotów w Sade Oznai, zeznaniami Idona Gabrielowa i Archimedesza Lewiego, notatką na temat znajomości denatki z Jackiem Danzigiem i Bruchimem, raportem o kradzieży kaset i relacją o stosunkach Aleksandry z mężem, nie pomijającą afery z zatrutym winem, i wieloma innymi informacjami.

„Straszna Schulz” przeczytała wszystkie te materiały. Wieczorem Salwador Tut wrócił do Beer Szewy z pozwoleniem na zbieranie informacji i śledzenie poczynąń sędziego Pinchasa Hornszyka. Nie wiedzieli wówczas, że kiedy Tut był jeszcze w drodze z Jerozolimy na Południe, pani prokurator zadzwoniła do Taany Berger i opowiedziała jej o podejrzeniach. Schulz była koleżanką Taany (która nazywała ją zdrobniale Fajgą) jeszcze z czasów studiów. Wiedziała, że jest uczciwa i praworządna do granic śmieszności. Polegała na jej intuicji. Policja mimo wszystko jest tylko policją, tak samo jak doradca rządowy jest tylko doradcą rządowym. Tu zaś chodzi o sprawę wymagającą wiele delikatności i inteligencji, czyli dokładnie tych cech, które zawsze przypisywała Taanie. Krótko mówiąc, pani prokurator potrzebowała jej cichej pomocy w tych ciężkich chwilach.

Tak więc Taana Berger wiedziała, że policja Beer Szewy uwzględniła możliwość, że to sędzia okręgowy zabił swoją żonę, i w największej tajemnicy prowadzi w tej sprawie śledztwo. Nic więcej nie chciała wiedzieć. Ze zdwojoną uwagą studiowała teczki leżące na jej biurku i unikała kolegi z pokoju. Kiedy Lizzi, mijając ją na korytarzu sądu, zapytała o czeki, sędzina zrozumiała, że coś wisi w powietrzu. Hornszyk nic nie wiedział o toczącym się śledztwie. Dziennikarka stanowiła zagrożenie. Jeżeli zabił żonę, z pewnością nie zawaha się przed zabiciem dziennikarki.

- Nawet jeżeli była to możliwość jedna na sto, nie chciała cię narażać. Postanowiła wrócić do pokoju chociaż na chwilę, aby Hornszyk wiedział, że widziała go w twoim towarzystwie. Kiedy doszła do drzwi, usłyszała odgłos klucza przekrecanego w zamku. Zawróciła więc i w drodze na salę sądową powiedziała stażystce, żeby jak najszybciej wezwała policję do biura Hornszyka.

Pani prokurator miała rację, że sędzinę Berger cechuje niezwykle intuicja. Na myśl o tym Lizzi aż zadrżała.

- Wyglądała groźnie - rzekła.

- Silni ludzie są groźni - potwierdził Benci. - Co z tą kawą?! - krzyknął w stronę kuchni.

Krzyk Benciego przyspieszył to, co od pewnego czasu działo się w głowie Lizzi. Zamknęła oczy i dała się unieść strumieniowi lawy, który porwał ją ze sobą, bezskutecznie szukając punktu zaczepienia.

Rozdział 38

Kiedy się przebudziła, w pokoju panowała ciemność. W kuchni paliło się światło, szurały krzesła, słychać było stłumione głosy.

Po chwili Benci i Ilan zajrzeli do niej z wąskiego korytarza łączącego kuchnię z sypialnią. Pojawiła się też matka ze szczotką w ręku. Lizzi nigdy jeszcze nie widziała jej z pustymi rękami. Z pewnością wykorzystała swój pobyt u mnie, żeby wysprzątać szafki w kuchni - pomyślała.

- Która godzina? - zapytała i szybko dodała: - Mówcie po cichu.

- Piąta.

- Rano czy po południu?

- Po południu. Spałaś sześć godzin. Zapalić ci światło?

- Tak.

- Lepiej się czujesz?

Spróbowała poruszyć głowę. Wulkan się uciszył i nawet mdłości nieco ustąpiły.

- Wydaje mi się, że tak.

- Jesteś głodna, Lizzi? - spytała matka.

- Tak.

- Lizzi, musimy już iść - powiedział Ilan. - Narada rodzinna.

Uśmiechnął się i Lizzi znów pomyślała, jakim cudem Georgette mogła woleć Benciego. Kiedy Ilan się uśmiechał, jego twarz przybierała niewinny wyraz, który podbijał wszystkie serca.

- Idźcie, idźcie - powiedziała matka.

- W jakiej sprawie macie naradę?

- Spółdzielnia zaproponowała, żebyśmy wykupili na własność nasze mieszkania. Myślę, że stać nas na to. Warunki są w miarę dogodne.

- Och! - zawołała Lizzi.

- Co się stało?

- O mało nie zapomniałam! Benci, nie zabij mnie. Dahan i Szibolet, nasza sekretarka, zapisują w specjalnym zeszycie wszystkie zamówione ogłoszenia. Jest tam też ogłoszenie Aleksandry Hornszyk o sprzedaży domu w Omerze, sześć pokoi i basen. Ukazało się tylko raz. Jakiś mężczyzna zadzwonił i polecił je zdjąć. Porozmawiaj o tym z Dahanem.

- Gdzie jest ten zeszyt?

- Dahan obiecał mi, że zanieś go do sejfów w swoim banku.

- Jesteś bystrzejsza, niż na to wyglądasz, Lizzi.

- Ty też, Benci.

- Jeśli cię wyrzucą z gazety, przyjdź do nas.

- Jeśli cię wyrzucą z policji, przyjdź do nas.

- Ona wyzdrowiała.

Kiedy Benci i Ilan poszli, mama przyniosła Lizzi tacę zjedzeniem i postawiła ją na łóżku.

- Dlaczego mieliby wyrzucić cię z gazety? - zapytała urażonym tonem. - Napisali, że jesteś bohaterką.

- Kto tak napisał?

Matka podeszła do toaletki i podała Lizzi wczorajszy numer „Czasu”. Na pierwszej stronie widniała jej fotografia, a wyżej wydrukowane słowa: MIEJSCOWA BOHATERKA. Pod nimi było napisane: „Sędzia zaatakował dziennikarkę”. Autor: Doron Cement. Więcej nie przeczytała. Mimo protestów matki usiadła na łóżku, wzięła telefon i wykrciła numer redakcji w Tel Awiwie. Ariego nie było w biurze. Kiedy zadzwoniła do domu, dziecięcy głos powiedział, że tata jest na obiedzie u ambasadora Szwecji, i spytał, czy można coś przekazać. Lizzi miała ogromną ochotę coś przekazać. „Mówi Lizzi Badihi, a ty jesteś świnią, Gedalio Arieli”. Zmieniła jednak zdanie, bo w końcu co dziecko jest winne. Rzuciła słuchawkę i zadzwoniła do Dahana. Był zachwycony, słysząc głos Lizzi, i dał temu wyraz w okrzykach, które o mało nie rozsadziły jej czaszki.

- Cement został? - zapytała.

Dahan nawet nie usłyszał pytania, pochłonięty zachwytem nad odwagą Lizzi. Co nas w ogóle obchodzi jakiś Cement w tej wielkiej chwili?

- Lizzi, jesteśmy najlepsi! - krzyknął jej do ucha. - Nawet „Dziennik Południa” musiał przelknąć żabę i napisać o twoim bohaterskim wyczynie. Beni Adulam poświęcił ci całą stronę.

- Czy Cement został? - zapytała znowu Lizzi.

- Zostanie, dopóki nie wyzdrowiejesz.

- Kto tak powiedział?

- Arieli. I dostałaś premię, Lizzi. Pół pensji.

- Jesteś pewien, że Cement wróci do Tel Awiwu, jak wyzdrowieję?

- Tak. Pytałem go o adres, telefon i tym podobne, a on powiedział, że nie zostaje.

- Dahan?

- Co takiego?

- Jesteś skurwysyn.

- Dziękuję. Kiedy wracasz do pracy?

- Jutro.

- Lizzi!

- Powiedz mi, że wracam jutro i żeby się stąd wyniósł, zanim pokażę się w redakcji.

- Jesteś sama w domu?

- Z mamą.

- Daj mi ją na chwilę.

Lizzi rzuciła słuchawkę. Gdy telefon zadzwonił, położyła na nim rękę, ale go nie odebrała.

- Obiad stygnie - powiedziała matka.

Na widok uśmiechniętej Lizzi w jej oczach wezbrały łzy. Nadal chciała rozpieszczać swoją małą córeczkę, wspomagać ją dobrą radą, ale nie wiedziała, jak się do niej zwracać. Ta silna dziewczyna zwykła chadzać własnymi drogami. Niczym emerytowany kapitan statku handlowego, zagubiony na lądzie. Niech no ktoś mu spróbuje wytłumaczyć, że większość ludzi nie żyje na morzu.

- Nie możesz iść jutro do pracy, Lizzi - oznajmiła matka, gdy odniosła już tacę do kuchni.

- Mogę.

- Lekarz powiedział: tydzień odpoczynku.

- Niech sam leży przez tydzień.

- Czemu tak ci pilno?

Dzwonek u drzwi zadźwięczał, zanim Lizzi zdążyła wytłumaczyć, co jej grozi ze strony Cementa.

- Nie otwieraj - powiedziała.

Dzwonek zabrzączał jeszcze kilka razy. Zza drzwi dobiegł dźwięczny kontralt Klary:

- Lizzi, to my!

- Otwórz, mamó - poprosiła Lizzi.

Do sypialni weszły trzy osoby. Klara, Jakow i Archimedes Lewi. Ten ostatni miał niewzruszony wyraz twarzy, ale Lizzi zauważyła iskierki śmiechu czające się w jego oczach. Klara trzymała w ręku niewielkie pudełko owinięte w ozdobny papier i przewiązane kolorowymi wstążeczkami. Bez wątplenia Chanel nr 5, bez którego żadna prawdziwa kobieta nie może się obejść. Jakow trzymał bukiet kwiatów, prawie tej samej wielkości co on sam. Archimedes przywiózł ich swoim samochodem. Lizzi wiedziała, że przejażdżka luksusowym Citroënem oraz wizyta u siostrzenicy, która złapała sędziego mordercę, na zawsze znajdą miejsce w ich osobistej mitologii. Razem z Gilbertem i Sullivanem oraz Operą Królewską w Aleksandrii.

Rozdział 39

Armand Zilberman był pierwszym człowiekiem, który nie powiedział: „To ty jesteś tą dziewczyną, która złapała mordercę?” Lizzi była mu za to tak wdzięczna, że miała ochotę go ucałować. Wersje wydarzeń zmieniały się z dnia na dzień: sędzia zaatakował ją nożem rzeźnickim, rzucił się na nią z krzesłem, groził kałasznikowem i oblał kwasem solnym. Wszystko zależało od bogactwa wyobraźni pytającego lub jego sąsiadki. Na końcu każdej historyjki jednakże Czerwony Kapturek pokonywał złego wilka i zakuwał go w kajdanki. Lizzi nie zaprzeczała niczemu, co słyszała. Znudziło jej się. Chcą mieć miejscową bohaterkę, będą ją mieli, na zdrowie!

- Podać toma collinsa, panie Lewi? - zapytał Armand.

- Co ty na to? - zwrócił się do niej Archimedes.

- Tak, poproszę.

Tom Collins, Dick Collins, Harry Collins... Przecież on dobrze wie, że nie mam o tym pojęcia - pomyślała Lizzi.

Restauracja „Escopie” była pusta, tak jak poprzednim razem. Lizzi zastanawiała się, jak właścicielowi udaje się ją utrzymać. Siedzieli przy narożnym stoliku, skąd nie mogli zobaczyć drzwi do kuchni ani drzwi wejściowych. Był to, jak widać, stały stolik Archimedes. Ciekawe, czy przyprowadza tutaj wszystkie swoje dziewczyny. Z wnętrza restauracji, prawdopodobnie z kuchni, dobiegały hałasy. Może budzą kucharkę?

- Co cię rozbawiło? - spytał Archimedes.

- Pomyślałam sobie, że pewnie poszli obudzić kucharkę.

- Armand jest kucharką.

- Myślałam, że jest kelnerem.

- Jest i kelnerem, i kucharzem.

Lizzi nauczyła się już rozpoznawać subtelne zmiany na jego zawsze poważnej twarzy. Uśmiech, skrywający się wśród zmarszczek wokół czarnych oczu. Wyraz oczekiwania, kiedy spokojnie siedział i czatował na głupstwa, które ona powie. Chwilami przywodził jej na myśl lwa drzemiącego gdzieś daleko na pustyni. Musiała sobie przypominać, że słyszy każdy szmer i w każdej chwili gotów jest dopaść swojej ofiary. Wiedziała, że lubi jej towarzystwo, jej niezręczność, naiwność. Te właśnie cechy, które zawsze przeszkadzały Lizzi w kontaktach z mężczyznami. Pociągało go jej duże ciało i to sprawiło, że zaczęła też dostrzegać jego walory. To prawda, miała duże stopy, ale za to ładne kostki i wąskie biodra. Krótkie kręcone włosy podkreślały z wdziękiem okrągły zarys czaszki. Lizzi miała teraz na sobie szarą wełnianą spódnicę, którą kupiła w „Jacqueline International” za pieniądze z premii. Nie wkładała spódnicy od dnia ślubu Hawacelet. Sprzedawczyni powiedziała, że ma ładną figurę i każde ubranie będzie na nią pasować, a Lizzi po raz pierwszy w to uwierzyła i nie pomyślała w głębi duszy: Ona na pewno mówi to każdemu.

Przyjrzała się sobie w sklepowym lustrze i to, co zobaczyła, spodobało się jej. Stała tam wysoka dziewczyna, nie za chuda i nie za gruba, o ładnych szerokich ustach. Jej odrobinę skośne orzechowe oczy niejedno już w życiu widziały, ale nie straciły jeszcze wyrazu ciekawości.

Armand przyniósł im dwa kieliszki. W każdym była słomka i czerwona wisienka wśród kostek lodu.

- Czy mam zamówić dla nas dwojga? - zaproponował Archimedes.

Lizzi skinęła głową. Piła toma collinsa i pozwoliła mężczyznom dyskutować nad zawartością menu.

- Co będzie z tobą? - spytała Archimedes, kiedy Armand zniknął w kuchni.

- Tak wiele już przeszedłem w życiu, zniosę i to.

- Mówisz, jakbyś miał dwieście lat.

- Mam pięćdziesiąt.

- To dużo czy mało?

- A jak myślisz?

Lizzi nie mogła się powstrzymać. Pochyliła się i pocałowała go. Nie cofnął się. Stwierdziła, że jeśli on nie ma nic przeciwko całowaniu się w restauracji, to ona tym bardziej. Później odsunęła krzesło na koniec stołu, ponieważ nie była pewna, czy zdoła zachowywać się przyzwoicie, siedząc tak blisko niego. Archimedes uśmiechnął się łobuzersko, a Lizzi oznajmiła:

- Powinniśmy byli kupić kanapki i pojechać od razu na „Neptuna”.

Archimedes wybuchnął śmiechem, tym silnym i gwałtownym śmiechem, który rozbrzmiewał, ilekroć powiedziała coś zabawnego.

- Pytałaś mnie o coś. Chcesz usłyszeć odpowiedź?

- Tak, mój drogi.

- Nie do druku?

- Nie do druku.

- Wydział do spraw Przepływów Gospodarczych chce mnie przedstawić jako światowej sławy oszusta milionera, króla szarej strefy w Beer Szewie. Przyznałem się, że złamałem prawo. Mam konta w bankach szwajcarskich i angielskich. Wywoziłem z Izraela znaczki i monety, nie prosząc o pozwolenie. Opowiedziałem im wszystko, co chcieli. Jak to się mówi, wyraziłem chęć współpracy. Na razie nie złożyli podania o przedłużenie mojego aresztu. Mój adwokat mówi, że prawie nie ma szansy, bym odzyskał pieniądze pożyczone Aleksandrze. Nie podpisaliśmy żadnej umowy, nie było świadków. Jedynym dowodem jest sam czek. Ale jeżeli będę się upierał, że to ja pożyczyłem jej sto tysięcy dolarów, doborą się do mnie ludzie z Sade Oznai. Będą próbowali udowodnić, że byłem jej nielegalnym współnikiem, i zażądają zwrotu zaginionej sumy. W każdym razie mój adwokat mówi, że należy siedzieć cicho, przyznać się do złamania prawa, zapłacić grzywny i podziękować.

- A jaka jest inna możliwość?

- Całkowite uniewinnienie, przynajmniej od ciebie. Co ty na to?

- Mogą cię zamknąć?

- Teoretycznie tak. Ale najprawdopodobniej tego nie zrobią. Chciałabyś, żeby mnie zamknęli?

Wydaje ci się to romantyczne - ukochana skazańca?

- Nie. Żadne przestępstwo nie jest dla mnie romantyczne. Całe życie ciężko pracowałam na każdy grosz. Nie rozumiem, dlaczego ja mam płacić podatki, a inni nie. Poza tym nie jestem twoją ukochaną.

Miała nadzieję, że odpowie: „Chciałbym, żebyś nią była”, ale pojęła, że po jej umoralniającym przemówieniu nie będzie to takie łatwe. Ty i ta twoja niewyparzona gęba, Lizzi! - skarciła sama siebie. Kim ty jesteś, sędzią? Włożyłaś nową spódnicę, skropiłaś się Chanel nr 5, a teraz mówisz mu, że jest złodziejem. Pięknie, Lizzi!

Jedli zeberka jagnięce, brokuły, pieczone ziemniaczki i szpinak. W restauracji panowało ciężkie milczenie i Lizzi była pewna, że w całym Aszkelonie słychać, jak je. Kiedy napiła się wina, pomyślała, że mieszkańcy miasta są pewni, że zaczęto kopać nową studnię.

- Coś cię rozbawiło?

- Nie.

- Zrezygnujemy z deseru?

- Tak.

Już nauczeni doświadczeniem, zaczęli rozbierać się w momencie, kiedy zamknęli za sobą drzwi. Byli zupełnie nadszy, gdy dotarli do kajuty na dziobie. Jego skóra roztaczała znajomy zapach słońca i morza. Odzyskawszy świadomość, Lizzi miała obrzmiałe wargi i czuła na całym posiniaczonym ciele jego pocałunki.

Archimedes, pięćdziesięcioletni nagi mężczyzna, ze świeżym śladem ugryzienia na piersi, przyniósł z lodówki butelkę białego wina i dwa kieliszki. Pili, wpatrując się w siebie nawzajem, badając to, co jawne, i to, co ukryte.

- Co będzie, jeżeli pójdziesz do więzienia?
- Poczekasz na mnie?
- Tak.
- Zanim odzyskam wolność, zdążysz wyjść za mąż i urodzić czwórkę dzieci.
- Nie zamierzam wychodzić za mąż.
- Z zasady?
- Nie mam na to ochoty. Widzę, jak żyją moje siostry.
- Nie chcesz mieć dzieci?
- Nie aż tak.
- A jeśli się zakochasz?
- Jestem zakochana.
- Chcesz wyjść za mnie?
- Nie.
- A czego chcesz, Lizzi? Czego chcesz, Lizzi?

Oparła swoje długie nogi na szafce, pociągnęła łyk zimnego wina i popatrzyła na niego. Właśnie tego chciała naprawdę. I pracować, oczywiście. Z ręką na sercu? Najbardziej chciała dalej pracować.